R G B WH GR BL
Grey Scale #13
C M Y K
DANES-PICTA.COM
A 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

Colour Chart #13
Blue
Cyan
Green
Yellow
Red
Magenta
White
3/Color
Black
Inches
Centimetres
DANES-PICTA.COM



NOWOŚCI LITERACKIE TOM XXIX, XXX.

WALERY PRZYBOROWSKI

Przyczyny upadku Polski

Zarys historyczny.

„Tylko siła odbudować może,
co siła zniszczyła".

(Słowa Napolena I do deputacyi polskiej w Berlinie).

Z portretami autora i 5 wodzów.

WARSZAWA — 1909.
WYDAWNICTWO ST. SADOWSKIEGO
UL. ZŁOTA 1

Redaktor i Wydawca Stanisław Sadowski.
Kierownik Literacki Gustaw Olechowski.
Odpowiedzialny za redakcyę we Lwowie K. Pepłowski.



Druk Ksawerego Trębińskiego, Senatorska 8.

Od stu lat przeszło, od chwili upadku naszej nieszczęśliwej ojczyzny, wszystkie umysły lepsze, wszystkie serca, rozdarte tą katastrofą, zastanawiały się nad przyczynami tego upadku, w tej, może zawodnej nadziei, że skoro te przyczyny zbadane i poznane zostaną, uda się je usunąć i pogrążonej w śmierci politycznej Polsce, dawne życie i chwałę dawną przywrócić. W tych badaniach, pełnych bólu i goryczy, niepośledni brali udział cudzoziemcy, zwłaszcza te rządy, które dokonały rozbioru, i które, w głębi obrażonego sumienia ludzkiego, swój postępek usprawiedliwić przed światem i przed sobą pragnęły. Z natury rzeczy obrona taka musiała się na kłamliwych i fałszywych podstawach opierać, bo jest to zawsze Szyllerowskiem przekleństwem złego czynu, że zło i kłamstwo płodzić musi.

Nie ulega jednak wątpliwości, że ta obrona głośno wypowiadana, rozszerzana wśród świata ucywilizowanego z całym aparatem potężnych środków, leżących w rękach rządów, musiała zagłuszyć inne głosy, opinię wśród tego świata ustalić, a co najgorsza, na badania synów pogrzebanej Polski wpływ swój w sposób stanowczy wywrzeć.

Państwa więc rozbiorowe twierdziły, że Polskę zgubiły nie obce, sąsiednie mocarstwa, ale niemoc własna, brak rządu, skarbu, wojska i anarchia zupełna, która podwalinami Rzeczypospolitej zachwiała i do koniecznego upadku doprowadzić ją musiała. Utrzymywały one, że zepsucie, rozszerzające się wśród warstw rządzących Polską, wśród szlachty, jedynie prawo polityczne posiadającej, brak stanu trzeciego, ucisk chłopa, nierząd zupełny, a stąd sparaliżowanie wszystkich tych organów życia publicznego, które mu nadają moc i krzepkość, nieuniknioną ruinę gmachu państwowego spowodowały. Rządy owe udowodnić się starały, że, rozbierając Polskę, naprzód odzyskiwały to, co było niegdyś ich własnością, utraconą wskutek nieszczęśliwych wypadków, oraz, że wobec prze-

życia się politycznego Rzeczypospolitej, wyrok tylko Nemezis historycznej spełniły.

Opinie te, pozornie słuszność mające, głoszone z naciskiem i wrzawą, wobec niemożności obrony ze strony oskarżonej i podeptanej Polski, powszechnie w świecie ucywilizowanym przyjęte i za prawdziwe uznane zostały. Ale byłoby to jeszcze złem najmniejszem, boć znowu o to, co świat o nas mówi, nie wiele dbać powinniśmy, gdyby nie okoliczność, że mniemania powyższe przekradły się do nas samych, zatruły nasz organizm, oślepiły nasze oczy i za prawdę przez większość badaczy uznane i do dziś powtarzane bywają. Już w roku 1836-ym Towarzystwo demokratyczne, zawiązane przez emigracyę w Paryżu, w manifeście swym (z d. 4 grudnia, napisanym przez Wiktora Heltmana) tę samą teoryę głosiło, że „ojczyzna nasza nie obcą przemocą, ale wadami stanu społecznego upadła; że „dziedzice przesądów i wyobraziciele panującego niegdyś stanu, woleli sprawę ojczystą zabić, jak rozstać się z przywłaszczeniami swojemi“. Były to więc te same zdania, które wypowiadały rządy rozbiorcze, zdania z czasem przeszczepione na grunt polski, rodzące najgorsze w umysłach skut-

ki. Mając się bowiem za naród zepsuty i upadły moralnie, sami w wielu razach nie mieliśmy ufności i wiary w siebie, i jeden z najpotężniejszych czynników wszelkiego działania, pewność powodzenia, z obrębu naszych sił duchowych dobrowolnie usuwaliśmy. Słusznie też poeta mówi, że wszystko jest niczem, „lecz narodu duch zatruty, to dopiero bólów ból“, a taki jad niewiary w siebie, lekceważenie swej wartości wewnętrznej i tęgości ducha, rządy obce w nas zaszczepiły i jadem tym siłę naszą skrępowały.

Tymczasem w twierdzeniu tem, jakobyśmy byli społeczeństwem rozbieżnem i nieumiejącem żyć politycznie, jakobyśmy tylko z własnej winy przyczynili się do upadku Polski, niema ani krzty prawdy, a przynajmniej jest jej bardzo niewiele. Warstwa przodująca i rządząca Polską, t. j. szlachta, w przeddzień upadku, w czasie rozbiorów i po rozbiorach, wbrew twierdzeniu naszych nieprzyjaciół, jakoby była do gruntu zdemoralizowaną, okazała przeciwnie wielką tęgość ducha i wysoki jego nastrój, który może być tylko własnością serc i głów zdrowych moralnie. Przez sto lat, w szeregu nieraz Orlandowych przygód, walk krwawych i heroicz-

nych, usiłowała ona odbudować upadłą politycznie ojczyznę, życia i mienia dla niej nie szczędziła, pokotem na pobojowiskach się kładła, w kazamatach Spilbergu i cytadeli warszawskiej, w kopalniach i tajgach sybirskich jęczała, tysiącami na szafotach i szubienicach konała.

Przypuśćmy, że te wszystkie jej czyny nie miały w sobie cechy rozumnej, że nie nosiły znamion praktyczności mieszczańskiej, że nie były obrachowane z góry i nie liczyły się z rzeczywistością; że, jednem słowem, były rzeczą niemądrą, ale ze stanowiska moralnego nikt nie może odmówić tym ludziom wysokich, podniosłych uczuć i heroizmu, który może być przymiotem ciał rzeźkich i pełnych żywotności.

W życiu domowem, rodzinnem, które po wsze czasy służyło za probierz wartości moralnej społeczeństwa, ta heroiczna szlachta, w ogromnej swej większości, okazywała wiele przymiotów dodatnich. Rządność, oszczędność, silna spójnia rodzinna, poszanowanie ogniska domowego, przykładne pożycie małżeńskie, duże poczucie obowiązku, zasadnicze i dominujące tło społeczności szlacheckiej stanowią. Z tradycyi i licznych pamiętników

wiemy, jak surowe, moralne i bogobojne było wychowanie dzieci; dorosły Franciszek Karpiński, o wiele przewyższający ojca wykształceniem i umysłem, otrzymujący od tego ojca policzek jedynie dla fantazyi, dla przekonania się, czy szanuje władzę rodzicielską, uderzającym jest tego przykładem [1]). Że

[1]) „Mieliśmy zawsze... dla ojca groźnego uszanowanie, pisze on w swych pamiętnikach (wydanie warszawskie S. Lewentala, p. 570), nie można było w przytomności jego siedzieć, stanąć do niego tyłem, a nawet, stojąc przed nim, o ścianę oprzeć się. Pamiętałem zawsze to wszystko i chętnie sobie przykrość zadawałem, bylebym ojca nie obraził. Chodził raz starzec po izbie, a ja z kimści rozmawiając, wszystkie wspomniane ostrożności zachowałem względem ojca, kiedy raz, przystąpiwszy do mnie, ciężki mi on wyciął policzek i znowu po izbie, jak przedtem, przechodził się. Kryminałem byłoby spytać się: za co to? w milczeniu skromnem, z oczyma w ziemię opuszczonemi czekałem końca; wtem ojciec rzucił mi się na ramiona i mówić ze łzami począł: „synu mój! ja symplak, bo czytać tylko i ledwo co napisać mogę, a ty już filozof! doświadczałem cię tylko, jak też przyjmiesz policzek od ojca twego, ale kiedyś ty skromny i pokorny, kiedy mię w starości mojej szanujesz, (wtem ukląkł w pośrodku izby i podniósłszy ręce do góry) Boże Abrahama, Izaaka i Jakóba! pobło-

młodzież źle i niewiele uczono, że pod względem umysłowym bardzo ciasny i ograniczony widnokrąg w jej głowach wytwarzano, temu nikt nie zaprzeczy, ale czyż gdzieindziej było inaczej? Czy dziś jeszcze kwestya wychowania publicznego nie stanowi zagadki nierozwiązalnej i czy każde pokolenie nie jest uważane za żywe ciało dla eksperymentów różnych doktryn pedagogicznych? Wreszcie nie zapominajmy, że w przeddzień rozbiorów zjawił się u nas Konarski i reformę wychowania publicznego przeprowadzać począł, że powstała później Komisya edukacyjna, która tę sprawę odrazu na wysokości współczesnych pojęć pedagogicznych postawiła, a nawet w wielu razach znacznie je prześcignęła.

---

gosław: to dziecię moje, niech żyje długo, zdrowo i szczęśliwie!“ Padłem mu do nóg rozrzewniony i wzruszony mową jego, zapomniawszy nawet o policzku, który odebrałem, a on klęczący do klęczącego mówił rozrzewniony: „Synu mój! szanuj ludzi, a będziesz szanowany; ten policzek, który odebrałeś od ojca, niech będzie ostatni, który ci w życiu dany, a gdyby kiedy do tego komu obcemu przyszło, żeby cię tak skrzywdzić miał, krew tylko nieprzyjaciela twego wzgardę takową zmazać może.“

Czy więc naród, mający tak spójną i silną rodzinę, tak wysokie poczucie obowiązku, wychowujący dzieci tak surowo, może być uważany za upadły moralnie, jak to rządy rozbiorcze, a zwłaszcza Prusacy, głosili? Najbardziej uprzedzony człowiek, jeżeli ma tylko jakie takie poczucie sprawiedliwości, odpowie, że nie.

Oskarżano nas, że urzędnicy, ministrowie, naczelnicy państwa byli sprzedajni, byli na żołdzie obcych rządów i to rządów wrogich krajowi. Nie myślimy zaprzeczać, że tak było, ale czyż gdzieindziej w owym XVIII wieku działo się inaczej? Czyż w kraju „cnoty i bojaźni Bożej“, w Prusach, powstałych z gwałtu i rozboju, ministrowie, piszący memoryały o zepsuciu polskiem, nie brali łapówek zagranicznych? Wszyscy tam byli sprzedajni, zaczynając od księcia następcy tronu (który za pośrednictwem ministra Grumbkowa otrzymywał od Austryi 1,000 dukatów rocznie) i księczniczek krwi. Wspomniany minister Grumbkow dostał od skarbu austryackiego przeszło 250 tysięcy florenów, że nie powiemy już o drobniejszych dygnitarzach, jak Derschau, Poltnitz i inni. Czy zresztą gdziekolwiek wtedy nie sprzedawano sumienia

i narodu własnego? W Wiedniu kanclerz Sinzendorff był na żołdzie saskim i hiszpańskim. Drobni książęta niemieccy, od wszystkich, od kogo tylko się dało, brali pieniądze. Fryderyk Wielki pruski mawiał: „*points d'argents, points des princes et Allemagne*“. W Rosyi kanclerz Bestużew brał pensyę od Brühla i od Czartoryskich. Fryderyk Wielki w roku 1744 posłał do Petersburga 200,000 talarów na przekupienie tegoż Bestużewa i podkanclerzego Woroncowa. Poseł angielski w Petersburgu donosił swemu dworowi za panowania Katarzyny Wielkiej: „Król pruski zna doskonale mapę tego kraju i jest jego panem. Pozyskał on pierwszych dostojników na dworze imperatorowej i z gorących zwolenników Austryi, przerobił ich na usłużnych Prus obrońców. Nie można sobie wyobrazić, do jakiej wysokości doszła sprzedajność w Rosyi, jak przesadne są żądania i z jaką bezczelnością czynione.“ Wszyscy więc brali łapówki. Kayserling do śmierci pobierał od Stanisława Augusta 15,000 dukatów rocznie; Repnin podczas pobytu w Warszawie 10,000 dukatów rocznie; Salderna mieli na swym żołdzie Czartoryscy. Potemkin w czasie wojny amerykańskiej otrzymał od posła angielskiego

Harrisa dwa miliony liwrów. Szwecya przedstawiała jedno wielkie targowisko sumień i najniegodziwszych sprzedawczyków. Anglia była teatrem bajecznych, trudnych dziś do uwierzenia, gdyby nie popartych dokumentami, szalbierstw, milionowych przeniewierstw, w których maczał ręce nawet król Jerzy, a minister Walpole przechwalał się głośno, że zna cenę każdego członka parlamentu angielskiego. Na tysiąc członków izby lordów, tylko 40 było nieprzekupionych, reszta brała po 3 do 4-ch tysięcy liwrów. Izba gmin kosztowała ryczałtowo 50,000 liwrów. Wielki Malborough brał pieniądze od Francyi. To też historyk angielski, Macaulay, kreśląc obraz opłakanych stosunków swej ojczyzny, powiada: „niepodobna nikogo surowo potępiać za to, że nie górował cnotami ponad swą epokę.“ Tak mówi poważny dziejopis angielski, my tylko nie mamy uwzględnienia dla naszych sprzedawczyków, a nie mamy dlatego, że gdzieindziej tymi postępkami nie zatracono ojczyzny, a u nas ją zatracono, niestety! Poczucia honoru, poszanowania samego siebie, szlachetnej dumy, niepozwalającej na branie upokarzających kubanów, pojęcia tego, co jest godziwem, w tym wieku epikureizmu

i używania rozkoszy życia, mniejsza o to jakim kosztem, zgoła nie było. Nie było i patryotyzmu, który dopiero wyrobiły w nas nieszczęścia, bo narody szczęśliwe nigdy go nie mają. Państwo uważane było (jak to i dziś tu i owdzie, a nawet niedaleko od nas, widzimy) nie za wyraz odrębności narodowej, której bronić i strzedz należało każdemu obywatelowi, ale za dojną krowę, z której tylko człowiek głupi nie chciał korzystać. Nie myślimy tu wcale stawać w obronie różnych Ponińskich, Raczyńskich, Poniatowskich, Podoskich i mnóstwa innych, którzy poprostu sprzedawali ojczyznę, ale chcemy tylko powiedzieć, że nie byli oni wyjątkami i jedynie w Polsce objawiającym się fenomenem, że wszędzie tak było, a w Polsce o tyle lepiej, że ogromna większość narodu potępiała ich stanowczo i mianem zdrajców słusznie na wieki napiętnowała.

Twierdzą dalej nasi oskarżyciele, że jedną z zasadniczych przyczyn upadku Polski był w niej brak zamożnego, czynnego, świadomego swej siły stanu trzeciego. Teorya o dziwnej jakoby własności stanu trzeciego, czyli mówiąc terminem polskim, mieszczaństwa, posiadającego przywilej nadawania si-

ły i tęgości państwom i narodom, nie jest zbyt dawną i powstała w czasach, gdy to mieszczaństwo do władzy przyszło i potrzebowało usprawiedliwić tak w oczach własnych, jak i społeczeństwa, racyę swego istnienia i swych rządów. Nigdy jednak nie mogłem zrozumieć, dlaczego mieszczaństwo ma posiadać taką szczególną własność; a inne klasy, szlachta i chłopi mają być jej pozbawieni. Teorya ta, tak była rozpowszechnioną i tak silnie ugruntowaną w czasie badań nad przyczynami upadku Polski, że nawet umysł tak trzeźwy i potężny, jak margrabiego Aleksandra Wielopolskiego, jej wpływom uległ i za prawdę niewątpliwą uważał. Polska dorozbiorowa była krajem rolniczym, wyłącznie rolniczym, i jako taka nie potrzebowała mieszczaństwa, a nie wiem dla czego kraje przemysłowe i handlowe miałyby być wyższymi i jakoby bardziej ucywilizowanymi i silniejszymi od krajów rolniczych. Zresztą nie trzeba ówczesnych stosunków mierzyć miarą dzisiejszą. Przemysłu w nowożytnem znaczeniu, ogarniającego wszystko sobą, wysysającego soki żywotne całych okolic na korzyść zręcznych i przebiegłych jednostek, w owej epoce nigdzie nie było, nie było go

i w Polsce. We Francyi wytworzył się stan trzeci w skutek tego, że było dużo wielkich miast, urósł on wypadkiem za rewolucyi, powoli stał się warstwą rządzącą wszędzie i widzimy dziś dobrze, do czego narody i państwa te rządy mieszczańskie doprowadziły. Stał on się równie zepsutym, równie sprzedajnym, grosza i użycia chciwym, równie uciskającym słabszych jak i szlachta niegdyś, a tym wstrętniejszym, że rodzicami jego nie były czyny bohaterskie, wielkie podboje, zwycięstwa i klęski, nie krew na pobojowiskach przelana, ale pieniądz, lichwa, wyzysk i oszustwo.

Dlaczego zaś, gdyby istniał w Polsce, w dobie jej upadku, potężny i możny stan mieszczański, miała ona ocaleć, tego nie rozumiem, i sądzę, że nikt takiego twierdzenia dowieść nie zdoła. Powiadają, że mieszczaństwo, jako klasa energiczna, przedsiębiorcza, zawdzięczająca wszystko sobie, wreszcie posiadająca w swem ręku większą część bogactw krajowych, gdyby istniało, zdolne byłoby do większej rządności i większego wysiłku dla utrzymania bytu politycznego. Naprzód nie wiem, dlaczego ktoś urodzony w mieście ma być energiczniejszy od tego,

który ujrzał światło dzienne na wsi. Co się zaś tyczy bogactw, zdaniem mojem, istotne, prawdziwe bogactwo każdego kraju, stanowią nie efemeryczne, dziś istniejące, jutro bankrutujące fabryki perkalików lub makaronu, ale ziemia. Kto jest panem ziemi, ten jest faktycznym panem kraju. Ziemia jest źródłem wszelkich bogactw, odrębności i samowiedzy narodowej. Gdy ziemia w Wielkopolsce przejdzie w ręce niemieckie, żywioł polski po mniej więcej długiem lub krótkiem istnieniu ostatecznie przepadnie. Doskonale to pojmował Murawiew na Litwie, zabraniając Polakom kupna ziemi, a dziś prusacy w W. Ks. Poznańskiem. Gdy tam właściciel ziemi Polak zniknie, zniknie i ślad polskości, co nie znaczy wcale, by Rosyanin lub niemiec był zdolnym zająć jego miejsce.

Zdanie więc, na wskroś przejęte teoryjką mieszczańską, że brak silnego i bogatego stanu trzeciego w Polsce, był jednym z powodów jej upadku, wydaje mi się niczem nieuzasadnionem. Niewątpliwie warunki ekonomiczne, większe lub mniejsze bogactwa materyalne, stanowią poważny czynnik w losach narodów i państw, ale czynnik ten nie jest jedynym, któryby kierował przeznacze-

niami ludów. Wielkie fakta, wielkie przewroty dziejowe, są zawsze płodem najczystszej idei, nigdy powodów materyalnych. Wędrówki ludów, olbrzymie burze, wywołane przez mahometanizm, wojny krzyżowe, wojny religijne w XVII wieku, rewolucya francuska i wojny napoleońskie w początkach XIX stulecia, nie dla przyczyn ekonomicznych, ale dla idei, dla najczystszych, uduchowionych aspiracyi ludzkości wybuchły. Nadawanie więc przeważnego znaczenia czynnikom ekonomicznym, a stąd pośrednio mieszczaństwu, które jest właśnie wytworem tych czynników, jest niezrozumieniem historyi, jest najoczywistszem jej fałszowaniem. Wszystkie więc te powody, każą nam wątpić w prawdziwość zdania, że brak stanu trzeciego zgubił lub przyczynił się do upadku Polski.

Nie zdaje nam się również prawdziwą opinia, jakoby uciemiężenie chłopa było jedną z przyczyn tego upadku. Naprzód, chłop w owej epoce był mniej więcej wszędzie w takiem lub podobnem położeniu, jak w Polsce; we Francyi dopiero rewolucya go oswobodziła, w Austryi cesarz Józef, w Prusach uwłaszczono go w początkach XIX wieku, w Rosyi, gdzie był nie poddanym, ale nie-

Biblioteka Wojsk Akad Pol

wolnikiem pana, w drugiej połowie tegoż wieku odzyskał swobodę. Nie myślimy tu wcale bronić szlachty polskiej, że w śmiertelnem swej ojczyzny niebezpieczeństwie nie zdobyła się na czyn tak potrzebny, że nie poświęciła dla dobra kraju swych interesów materyalnych, zwłaszcza, że krew swoją szczodrze przelewać umiała, ale pytamy: czy krok taki byłby zbawił Polskę? czy chłop byłby zrozumiał ojczyznę i uczuł potrzebę jej obrony? Racławickie zwycięstwo, wywalczone kosą kmiecą, było czynem oderwanym, meteorem chwilowym, które się już nigdy powtórzyć nie miało i wywołany był przyczynami nic bodaj wspólnego nie mającymi z miłością szerokiej polskiej ojczyzny. Chłop nasz, jak każdy chłop, jest konserwatywny, i jako natura pierwotna, nieurobiona jeszcze przez cywilizacyę, tylko siłę uznaje i szanuje. Gdy tej siły nie widzi, nigdy się dla obrony rzeczy, w których powodzenie i długie istnienie wiary niema, nie rzuci.

Rząd polski był bezwątpienia słabym i anarchicznym; sejmy polskie grzeszyły zdumiewającą lekkomyślnością, ale nie były gorszymi od dzisiejszych parlamentów. U nas sejmy zrywano, dziś parlamentom *activitatem*

odbiera t. z. obstrukcya. Ostatecznie na jedno to wychodzi, w formach tylko i nazwie się różni. Rząd był mało sprężysty, ale naród oddawna widział to złe i w ustawie 3-go Maja starał się temu koniec położyć. Skarb był pusty, to prawda, ale czyż Francya ówczesna nie upadała pod pustką skarbu i, co gorsza, brzemieniem kolosalnych długów? czyż Hiszpania nie konała na niemoc finansową? czy różne państwa niemieckie nie zaporzyczały się i nie wysługiwały u Anglików za miskę soczewicy? Wszędzie wtedy nie umiano się rządzić i narzekano na brak pieniędzy. Wprawdzie u nas szlachta nie płaciła podatków i zastępowała stałe opodatkowanie chwilowymi ciężarami, nakładanymi na siebie, ale i temu nieładowi skarbowemu w przeddzień rozbiorów, ustawa 3-go Maja zapobiedz usiłowała.

Wszystkie więc te przyczyny upadku bytu państwowego Polski, podawane przez tych, którzy nas rozebrali, tylko cząstkę prawdy w sobie mieszczą, i gdyby one całe wieki jeszcze trwały, Rzeczpospolita polska przy nich i przez nie mogłaby długo i nienaruszenie istnieć. Historya opowiada nam o wielu narodach, chorych na niemoc wewnętrzną,

na stałą anarchię, na złe lub niedołężne rządy, a mimo to istniejących i nie upadających wcale. Czyż Hiszpania lub Turcya od dwu wieków ma lepszy rząd, bogatszy skarb, ład i porządek, od Polski w XVIII-em stuleciu? Mimo to oba te mocarstwa istnieją jako odrębne narodowości i jako państwa niepodległe trwają.

Jakież więc były przyczyny upadku Polski?

Dzieje zachowały nam liczne świadectwa upadku wielkich państw, tak w starożytności, jak i w czasach późniejszych, i zawsze ostateczną i główną przyczyną tego upadku był najazd obcy. Jeżeli naród posiadał dość tęgości i mocy, i — stoczywszy walkę zwycięską — najazd ów odparł, lub jeżeli warunki geograficzne były takie, że najazd ten długo w zdobytych ziemiach ostać się nie mógł, państwo dalej istniało; jeżeli zaś przemoc obca była silniejszą i inne warunki nieprzyjazne, państwo mimo najzdrowszych podstaw upaść musiało i upadło. Tak było i z Polską. Nie zginęła ona jako państwo dlatego, że miała zły rząd, sfery wyższe sprzedajne, szlachtę zdemoralizowaną, że uciemiężała chłopa a mieszczaństwa nie posiadała, ale dlatego, że najazdu obcego wyrzucić ze swych

granic nie potrafiła i że w wojnach, z nim prowadzonych, zawsze pokonaną i pobitą została. Pokonaną zaś była nie dlatego, by sił i zasobów odpowiednich nie posiadała, ale że wodza i naczelnika zdolnego i energicznego nie miała.

Rozpatrzmy te rzeczy bliżej.

W ciągu całych stu lat, przed rozbiorami i po rozbiorach, stoczyliśmy w obronie naszej niezależności państwowej pięć wielkich, długotrwałych i upartych wojen, oraz dwie do trzech mniejszych, i wszystkie te wojny, w sposób jak najbardziej stanowczy, przegraliśmy. W walkach tych zdobywaliśmy się na ogromne natężenie naszych sił, na niepospolitą ofiarność i entuzyazm, a mimo to pokonywani byliśmy zawsze. Pokonywani zaś byliśmy dlatego, że—jakem to wyżej powiedział—naczelnicy, wodzowie, stojący na czele naszych zbrojnych szeregów, mierne głowy i mierne zdolności posiadali. Ani jeden z nich nie umiał należycie pokierować natężeniem narodowem, nie potrafił z kraju wszystkich sił wydobyć, z wielokrotnie nadarzających się bardzo przyjaznych okoliczności skorzystać nie zdołał. Gdybyśmy choć w jednej z tych wojen byli zwycięzcami, gdybyśmy

obcy najazd wyrzucili mocą oręża za dziesiątą górę i dziesiątą rzekę, rozbioryby nie nastąpiły i państwo polskie mimo wszystkich swoich wad i braków wewnętrznych byłoby istniało dalej.

Tego założenia dowieść chcemy.

Najpierwszą wojną, toczoną o niepodległość polityczną i narodową, była Konfederacya Barska. Czteroletnia ta walka (1768—1772) charakter małej wojny (partyzantki) miała i prowadzoną była bez żadnego planu, bez żadnej zdecydowanej myśli. Nie wydała też ani jednego wodza, któryby poza mierność, poza zręcznego partyzanta, dbającego o chwilowe, drobne powodzenia, się wyniósł. Jednym z takich był Kazimierz Pułaski, Zaremba, Sawa, Miączyński, Walewski, może jeszcze para innych, zdolnych niekiedy do świetnych marszów, nagłych napadów, do dobrego prowadzenia utarczek, ale o wielkiej akcyi wojennej nie mających pojęcia. Marsz Pułaskiego w r. 1769 z pod Lwowa na Litwę, aż do Augustowa, aczkolwiek zakończony w odwrocie zupełną porażką w okolicach Włodawy (między Włodawą a Orchówkiem),

był jednak dzielnie, energicznie i rześko wykonany. Znalazłoby się w tej wojnie jeszcze kilka przykładów świadczących, że ten i ów dowódca mógł być dobrym jenerałem dywizyi, ale nigdy wodzem naczelnym. Brakowało im znajomości nowożytnej sztuki wojennej, na Zachodzie już rozpowszechnionej, zmysłu kombinacyjnego, głowy ogarniającej szersze pole widzenia.

Powiedzą nam, że nie było z czem wojować. Według raportów generała Dumouriez, przesyłanych do Francyi ministrowi Choiseulowi, siły konfederacyi w najlepszych czasach, wynosiły 15 do 16 tysięcy ludzi, rozproszonych na znacznych przestrzeniach, rozdrobnionych na małe oddziałki, pozostające pod wodzą ośmiu do dziesięciu niezależnych naczelników [1]). Największą partyę co do liczby posiadał Zaremba, któremu jednak zwierzchność konfederacyi nie bardzo, a jak się okazało zupełnie słusznie, dowierzała; potem Miączyński i Kazimierz Pułaski. W tej ogólnej cyfrze 16-tu tysięcy zbrojnych konfederatów było zaledwie 1,500 do 2,000 pie-

[1]) *Generał Dumouriez.* „Wojna w Polsce 1770 i 1771 r.“ (przekład polski, Poznań, 1865), p. 24.

choty, po większej części niewyćwiczonej i źle uzbrojonej [1]). Pozostałą większość stanowiła jazda, o której Dumouriez jak najgorzej się wyraża, acz zniechęcony Francuz wszystko widział w czarnych kolorach i niesprawiedliwym w swej ocenie wiele razy się przedstawia. „Jazda ta, pisze on, całkowicie ze szlachty, równej sobie, złożona, niekarna, nieposłuszna, źle uzbrojona i umontowana, nie była w stanie dotrzymać placu wojsku rosyjskiemu regularnemu i stała niżej od kozaków.“ Nie miano z początku ani dział, ani fortec. Bar był nędznem okopiskiem, które przy pierwszym śmielszym ataku, uległo, pomimo skądinąd dość walecznej obrony [2]).

[1]) „Wiadomość o konfederacyi Barskiej“ (Poznań, 1843), p. 171. Cyfry dokładnej oczywiście nigdy wiedzieć nie będziemy, przytem ulegała ona ciągłej zmianie, wskutek pobicia tego lub innego oddziału i powstania nowego.

[2]) Loc. cit. Bezimienny autor tej pracy utrzymuje, że „pierwsi, zawiązujący konfederacyę, spodziewali się bez krwi rozlewu spełnić życzenia narodu. Zdawali się oni uważać zawiązanie konfederacyi więcej za czyn polityczny, zgodny z narodowymi zwyczajami i prawami, niż za rewolucyę i powstanie. Bo gdyby walkę mieli byli na celu, nie omieszkaliby byli poprzednio zapewnić się

Z taką garstką, w dodatku lichą pod względem sprawności bojowej i nie mającą żadnego punktu oparcia, zdawałoby się, nie można było nic przedsięwziąć.

Jednakże inaczej rzecz się przedstawia, gdy zwrócimy uwagę na to, że nieprzyjaciel nie był zbyt silniejszy. Wojsko rosyjskie, walczące przeciw konfederatom, wynosiło ogółem od 10 do 12-tu tysięcy ludzi (w tem trzecią część stanowili kozacy), z których około tysiąca musiało strzedz Warszawy, a reszta uganiała się za Barszczanami [1]). Naczel-

---

o wojsku i broni jego użyć nagle przeciw ciemiężącym Rosyanom i byliby przynajmniej starali się posiąść Kamieniec i w nim założyć warownię swych zamiarów, a nie w Barze, miejscu najmniej odpowiadającem wojennym obrotom.“ Jednem słowem. konfederacya Barska, jak większość naszych powstań późniejszych, była rozpoczęta przedwcześnie i lekkomyślnie, bez poprzednich przygotowań. Winien temu stary Pułaski, co tak oburzyło Krasińskiego, biskupa kamienieckiego, że chciał, jak zapewnia *Rulhière* (Histoire de l'anarchie de Pologne, III, 21—edycya z r. 1807), wszystko rzucić i wydać manifest przeciw temu nagłemu chwyceniu za broń. Ileż to razy ta sama historya się u nas powtórzyła!

[1]) Trudno jest w rzeczy samej, z tych źródeł, jakie posiadamy, ocenić siły rosyjskie. Na wiosnę



Kazimierz Pułaski.

czelne dowództwo nad tą małą armią miał generał Weimarn, Inflantczyk, podobno bardzo zręczny w sprawach dyplomatycznych, ale nie żołnierz. Wszystkiemi operacyami kierował on z Warszawy, czego naturalnym skutkiem było to, że wojna ta ze strony rosyjskiej była słabo i nieudolnie prowadzona i dlatego przez cztery lata się wlokła. W tych warunkach pokonanie tych dwunastu tysięcy Rosyan przez 16 tysięcy konfederatów, nie było rzeczą niemożliwą, ale na to trzeba było, by na czele ich szyków stał człowiek z głową, rozumem, śmiałością, znajomością

1769 r. wkroczył pod generałem Nummersem niewielki korpusik, złożony z 5 pułków pieszych i dwu jazdy. W tym korpusie znalazł się także brygadyer wówczas zaledwie, Suworow, dowódzca pułku Ładoskiego piechoty. Nie umiemy jednak wskazać, ile ten korpus mógł głów liczyć. W r. 1772 siły rosyjskie wzrosły do 11,000, do czego dodać należy 5,000 wojska królewskiego pod Branickim; konfederaci zaś mieli wtedy liczyć 9,000 piechoty i 6,200 koni jazdy, razem 15,200 żołnierza. Już sama ta nieproporcyalna liczba jazdy, świadczy jak ówcześni dowódzcy i regimentarze konfederacyi słabe mieli pojęcie o nowoczesnem prowadzeniu wojny, o tem, że w Europie już oddawna główną siłę każdego wojska stanowiła piechota.

swego rzemiosła, jednem słowem wojownik prawdziwy i wyższy, który umiałby powziąć plan, wykonać go szybko, energicznie i stanowczo, któryby, skupiwszy wszystkie siły, szybkiemi marszami rzucał się po kolei na Drewiczów, Suworowów, Rönnów i innych dowódzców rosyjskich.

Otóż takiego wodza, nie już genialnego, bo o geniusze zawsze trudno, ale przynajmniej wyższego nad mierność, Opatrzność Konfederacyi Barskiej, a za nią i Polsce, w tej pierwszej walce o niezależność, odmówiła. Jeden Pułaski miał potemu dane, by się wybić ponad mierność, gdyby miał wykształcenie militarne, poczucie subordynacyi wojskowej i zdolność obejmowania szerszych horyzontów [1]). Naród, a raczej szlachta, dźwi-

[1]) O Pułaskim taką opinię wypowiada nieprzyjazny nam *Fryderyk Smitt* w dziele „Suworow und Polens Untergang“, I, 56: „wojna rozwinęła jego zdolności i wkrótce zyskał sobie rozgłos. Silny fizycznie, umiejący robić zręcznie wszelką bronią, potrafił natchnąć odwagą młodzież, która go sobie za wzór brała i ślepo za nim szła. Łagodny i bezpretensyonalny w życiu codziennem, oko jego ciskało błyskawice, zdawał się być innym, gdy przychodziło do boju. Biada, ktoby mu się sprzeciwił.

gająca na sobie tę wojnę, dała dowód wielkiej wytrwałości i poświęcenia. Przez cztery lata toczono małą, co prawda, ale upartą, krwawą, niszczącą i okrutną wojnę, nie szczędzono życia, krwi i mienia, ale wszystko to poszło na marne, bo nie było wodza, któryby umiał tą wytrwałością, tem poświęceniem, tą ofiarnością dobrze i rozumnie pokierować.

Gdyby konfederacya pod naczelnictwem takiego wodza była wyparła z granic kraju te dziesięć do dwunastu tysięcy obcego na-

---

O ile odważnie rzucał się w niebezpieczeństwo, o tyle bogaty był w pomysły, by uniknąć tego niebezpieczeństwa. On ze strony konfederatów, a Suworow ze strony rosyjskiej, byli bohaterami tej wojny; często stawali naprzeciw siebie i nauczyli cenić się wzajemnie. Jednakże Pułaski uległ przewadze swego nieulęknionego przeciwnika, który przy jednakowym talencie, posiadał wyższe wykształcenie wojenne (?) i lepszych miał żołnierzy.“ Niestety! *Dumouriez*, l. c. 49 tak pisze o Pułaskim: „był to młodzieniec bardzo dzielny i bardzo przedsiębiorczy, lecz lubiący niezależność, niestały w projektach, nie umiejący poprzestać ani na władzy, ani na planie określonym, i wbity w pychę kilku małymi sukcesami, które rodacy jego, straszni chwalcy, wynosili ponad wielkie czyny Sobieskiego“.

jazdu, pierwszy rozbiór nie byłby nastąpił i Polska byłaby ocaloną. Okoliczności zewnętrzne sprzyjały wtedy ojcom naszym. Rosya, główny i jak naówczas jedyny nieprzyjaciel, była zawikłana w wojnę z Turcyą, wojnę, wymagającą niemałych wysiłków, wyczerpującą i mozolną, czego najlepszym dowodem jest to, że do Polski zaledwie 12 tysięcy ludzi posłać mogła. Zachodziła nawet obawa, że Szwecya wyda caratowi wojnę. W samym rządzie petersburskim miano w tej chwili co do Polski różne opinie. Orłow, ulubieniec Katarzyny, oskarżał Repnina, że on jest powodem wybuchu konfederacyi i spowodował upadek tego prokonsula warszawskiego. Austrya, jak we wszystkich naszych następnych walkach z Rosyą, skrycie nam sprzyjała, nie przeszkadzała generalności rezydować w swych granicach, kupować broni (kupiono np. na Węgrzech kilkanaście armat), a nawet sam cesarz Józef dopuszczał do siebie reprezentantów konfederacyi, jak Paca, starostę ziołowskiego, biskupa Krasińskiego i innych w Eperies. Niewątpliwą było rzeczą, że gdyby konfederacya była zwycięską, Austrya byłaby jej dała pomoc zbrojną i do ostatecznego tryumfu się przyczyniła,

gdyż państwo to zawsze będzie rade, gdy Rosyę ktoś pobije, a wtedy mocno zaniepokojone było zamiarami Katarzyny co do Wschodu.

Prusy, jak zawsze, były nam nieprzyjazne. Fryderyk II-gi szydził z konfederatów, wypisywał na nich niestworzone rzeczy, mogące się tylko urodzić w tej rozbójniczo-krzyżackiej głowie, lecz do kroków otwartej nieprzyjaźni nie posuwał się wcale. Nie życzył on sobie także wzrostu Rosyi, owszem—w pierwszych latach, gdy minister rosyjski, Panin zaproponował mu, ażeby swe wojsko do Polski wprowadził, dał odpowiedź odmowną, a nawet radził wycofanie z granic Rzplitej wojsk rosyjskich, jako jedynego środka uspokojenia kraju. Nie był to więc w tej chwili nieprzyjaciel groźny i nie byłby nim, gdyby konfederacya była zwycięską. Z jej upadku skorzystał, by zbójeckim sposobem urwać kawał kraju.

Zato konfederacya miała za sobą Saksonię, a nadewszystko Francyę, która przysyłała subsydya pieniężne, oficerów, wreszcie wodza w osobie Dumourieza, późniejszego zwycięscy koalicyi i w końcu zdrajcy własnej ojczyzny. Był to generał bezwątpienia

zdolny, zdolniejszy przynajmniej od wszyst kich ówczesnych regimentarzy polskich, który widział wielką wojnę, ale orłem nie był. Zniechęcił się odrazu słabością sił konfederackich, niezgodą, panującą w ich obozach, nieznajomością terenu, nie był wreszcie Polakiem, któremuby bodźca dodawała miłość ojczyzny, nie był tym geniuszem, który małymi środkami wielkich rzeczy dokonywa, który z niczego umie wytwarzać sposoby działania, bicz z piasku kręcić. Zrazu głosił on to słuszne przekonanie, że dla udania się przedsięwzięcia Polaków, przedewszystkiem trzeba jedności, porządku i pewnego planu w operacyach. W tym celu zamierzał znaleść punkt oparcia w jakiej miejscowości dobrze ufortyfikowanej, zaopatrzyć się w działa i piechotę. Z początku zabrał się do tego bardzo energicznie. Z jego to namowy Pułaski zajął klasztor Jasnogórski z załogą 400 ludzi doskonałej piechoty; część armat klasztornych (było ich 40) w liczbie 10-ciu użyto w polu, kupiono ich kilkanaście na Węgrzech, zebrano wreszcie około pięćdziesięciu od osób prywatnych. Drugim punktem oparcia była Lanckorona, stary zamek u podnóża Karpat, na wysokiej górze zbudowany i przyprowa-

dzony przez Dumouriez do stanu obronnego. Niemniej czynnie wziął się do usztyftowania piechoty. Rozesłał swych francuskich oficerów na granicę pruską i austryacką, by ściągali do siebie zbiegów z wojsk tamtejszych, co mu dało około 1,800 niezłego żołnierza. Ks. Karol Saski, wygnany przez Birona z Kurlandyi, obiecywał przysłać 4,000 dobrej piechoty saskiej [1]); myślano nawet o wybraniu 25,000 rekruta z województw: krakowskiego i sandomierskiego, co jednak do skutku nie przyszło. Jazdy liczył, że będzie miał około 8,000 koni. Plan jego był taki (1771 r.): Zaremba i Sawa, na czele 10 tysięcy ludzi, mają wyruszyć z Wielkopolski i Mazowsza, posunąć się ku Warszawie i trzymać w szachu tamtejszy garnizon rosyjski; Pułaski z ośmiotysięcznym korpusem ma się rzucić ku granicom Podola i zagrozić magazynom rosyjskim, którymi się żywiła armia Rumiancowa w Mołdawii; hetman w. litewski Ogiński ma przystąpić do konfederacyi i na czele 8 tysięcy wojska litewskiego pomaszerować z wytyczną na Smoleńsk i zagrozić granicom rosyjskim. Sam Dumouriez

[1]) *Generał Dumoriez.* Loc. cit., p. 31.

z 2,000 piechoty i 8,000 jazdy zdobyć Kraków, ruszyć ku Sandomierzowi i stosownie do okoliczności działać. Gdyby Weimarn skoncentrował się w Warszawie, by ją utrzymać, Dumouriez wtedy rzuca się na Podole, niszczy tamtejsze magazyny i armię Rumiancowa ogładza. Gdyby zaś Weimarn dla uratowania tych magazynów Warszawę opuścił, to konfederaci maszerują tamże i siedlisko w niej konfederacyi zakładają [1]).

Plan był dobrze pomyślany, ale niestety źle i nieudolnie wykonany. Siły rosyjskie w Krakowskiem wynosiły około 6,000 ludzi, rozrzuconych od granicy Szląskiej aż do Dunajca. Zajmowały one Bobrok, Kalwaryę Zebrzydowską, Skawinę, połączone łańcuchem kozaków i jazdy. Zrazu udało się konfederatom w d. 29 kwietnia wyprzeć Rosyan z tych stanowisk i za Wisłę przerzucić, ale już w czerwcu nadciągnął z Lublina Suworow na czele 1,600 ludzi i 8 dział; połączył się w Krakowie z Drewiczem, który miał 2,000, i z tą siłą, około 4,000 ludzi [2]) zbliżył się

---

[1]) Loc. cit., p. 34.

[2]) Tak twierdzi *F. v. Smitt.* „Suworow und Polens Untergang“, I, 75. — *Dumouriez*, l. c. 64, utrzy-

w d. 22 czerwca do głównego siedliska konfederatów, do Lanckorony. Dumouriez miał tu około 3,000, przeważnie jazdy, bo Pułaski cofnął się w góry i odmówił połączenia się z generałem francuzkim. W zamku stała załoga 600 piechoty i dział 30. Pomimo waleczności niektórych dowódzców (jak np. Miączyńskiego), konfederaci zostali na głowę pobici i starcie to zdecydowało o losach całego planu i konfederacyi, a zarazem i Polski. Dumouriez zawiedziony w swych nadziejach, zniechęcony zupełnie, kraj porzucił i oszkalował go potem szkaradnie.

Ale bądź co bądź ani położenie zewnętrzne, ani wewnętrzne konfederacyi nie było złe i gdyby miała zdolnego kierownika naczelnego od samego początku, mogła była kraj ocalić. Kierownika tego nie miała, bo Dumouriez przyszedł za późno, więc upadła i upadek jej pierwszy rozbiór spowodował.

---

muje, że Suworow miał 5,500 ludzi (3,000 jazdy i 2,500 piechoty).

Drugą wojną, stoczoną przez naszych ojców z obcym najazdem, była wojna 1792 roku, a więc w dwadzieścia lat po ostatecznym upadku konfederacyi Barskiej. Było dość czasu do przygotowania się do tej nieuniknionej walki o niepodległość. Jakoż przygotowano się, chociaż może nie w tym stopniu jak należało i można było, zwłaszcza wobec przykładu, jaki współczesna Francya dawała, ale niezaprzeczenie zrobiono dość dużo. Zreformowano mocą ustawy 3-go maja rząd, ożywiono kraj i wystawiono armię, na wzór europejski uorganizowaną. Wojsko to liczyło około 70 tysięcy głów [1]), co na owe czasy, gdy dopiero zaczynano operować olbrzymiemi armiami, było bardzo poważną siłą, na

[1]) *T. Korzon.* „Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta", V, 154 (wyd. warszawskie).

jaką nie każde państwo tej doby zdobyć się mogło. Siła ta dzieliła się na dwie armie: koronną i litewską; pierwsza liczyła przeszło 50 tysięcy, druga około 20 tysięcy głów. W tem było piechoty 40, jazdy blizko 30 tysięcy. Stosunek jazdy do piechoty, nawet wobec ówczesnych wymagań wojskowości był nienormalny, ale o wiele lepszy, niż za Konfederacyi Barskiej. Co do artyleryi, nie posiadamy ścisłych danych o ilości dział, ale wedle Korzona, miano ich około 200, to jest takich, których w polu można było użyć. Cyfra to dość znaczna ze względu na liczebność wojska i na ówczesne warunki.

Co do wartości bojowej tych wojsk, to była ona nie ostatnią. Dzisiejszy znawca [1]) twierdzi, że „piechota polska w ciągu bardzo krótkiego czasu nietylko dognała piechoty innych państw europejskich, ale zaczęła niektóre z nich prześcigać. Jazda była mniej wartą, wszakże według tego autora, „zrobiła ogromny krok naprzód“. Skarżono się wprawdzie, że wojsko to nie było wyćwiczone należycie, że pułki piesze były niekompletne, zamiast po dwa liczyły częstokroć po jednym

[1]) *K. Górski.* „Historya piechoty polskiej“, p. 194.

batalionie; że jazda miała złe konie; że brak było namiotów, amunicyi i zapasów wojennych; że artylerya była w złym stanie; że dopiero po wypowiedzeniu wojny wydano rozkaz założenia działolejni i starano się nabywać armaty w Anglii; że nakoniec intendentura znajdowała się w krzyczącym nieładzie [1]). Wszystko to niewątpliwie było praw-

---

[2]) *Ks. Józef Poniatowski* w swym „Pamiętniku o kampanii 1792 r.“ (Mes souvenirs sur la campagne 1792. Przekład polski w „Sybilli nadwiślańskiej“, tom I, 281) pisze: „tworzenie się tego wojska szło nagle, lecz prawdziwy punkt honoru i duch karności zaledwie przebijać się zaczynały. Wielu oficerów bylo albo zbyt młodych, albo za starych i po większej części nieobeznanych z wiadomościami wojskowemi. Dosyć u nas było mieć ochotę do stanu wojskowego, aby już tem samem mniemać się za zdolnego. Zło pochodziło z przesądów narodowych, którym nie śmiano się sprzeciwiać.“ Powyższą opinię o wojsku polskiem ówczesnem należy przyjmować *cum grano salis*. Pamiętnik ks. Józefa, skreślony w celu obrony własnej, pisany powierzchownie, płytko, w dodatku po francusku, stylem pogawędki salonowej, należy brać bardzo ostrożnie i krytycznie. Niemniej trudno uwierzyć skargom, jakie wypowiadał w pierwszych swych raportach. „Wielka część parku (pisał) bez koni, kilka korpusów (??) bez namiotów i polowych re-

dą, ale przy zapale, ogarniającym naród, tym niedostatkom i brakom łatwo było zaradzić, gdyby miano dobrą wolę, talent i umiejętność korzystania z poważnych jeszcze zasobów narodowych. Czyż w tymże samym roku rekruci francuscy, świeżo wzięci od pługa i warsztatów, ożywieni wszystko pożerającym zapałem, nie odparli w wąwozach Argońskich starych żołnierzy Fryderyka Wielkiego? Czemużby Polacy, walczący o całość ojczyzny, takiego czynu nie mieli dokonać, gdyby ich umiejętnie poprowadzono do zwycięstwa? Że wojsko polskie było dzielne, świadczą jego heroiczne czyny w r. 1794, gdy np. pod Maciejowicami cały pułk Działyński położył się na pobojowisku, a kroku nie ustąpił. Jazda

---

kwizytów, kasy bez pieniędzy, broń od piechoty zła, kulbaki, ekwipaże końskie w najniegodziwszym stanie, lazarety nieopatrzone, umundurowanie zaczęte, ale dla spóźnienia sukna, niemal nigdzie nie ukończone. Laudon z trudnościąby sobie dał radę, tak wszystko oporem idzie.“ (Cytowane u *Askenazego:* „Józef ks. Poniatowski“, 27). Zapewne, Laudon nie dałby sobie rady, jak jej sobie nie dał i ks. Poniatowski, ale Dumouriez z napół nagimi ochotnikami, bez broni, mundurów i trzewików, zmusił pod Valmy żołnierzy Laudonowskich i Fryderykowskich do pośpiesznego odwrotu.

nie musiała być złą, skoro w tej kampanii na grobli Boruszkowieckiej wykonała szarżę, podobną do szarży pod Somo-Sierrą i pod Dembem-Wielkiem [1]). Zresztą armia ta, rozumie się z wielu zmianami, istniała przeszło przez lat czterdzieści, dokonała zdumiewających dzieł wojennych, rozniosła szeroko sławę oręża polskiego i w ogólności przedstawiała z czasem wysoką wartość bojową.

Kraj więc uczynił bardzo dużo, wystawiwszy, uzbroiwszy i wyćwiczywszy taką armię,

---

[1]) Gdy w kampanii 1792 r. brygadyer Dzierżek, stojący na granicy na czele 2,000 ludzi, otrzymał rozkaz cofania się przed przemagającym nieprzyjacielem, zapytał kwatery głównej: „czy taki rozkaz dano mu na seryo, czy też żartem? Teraz nie idzie o to, żeby się cofać, ale bić się, i on swego stanowiska nie opuści.“ Była to zapewne niesubordynacya, ale z drugiej strony pytanie to świadczy o zapale i ochoczości do walki ze strony Dzierżka. Ks. Józef Poniatowski kazał go aresztować. (*F. Smitt*, „Suworow und Polens Untergang“, II, 387). *Tadeusz Soplica* w dziele „Wojna polsko-rosyjska w r. 1792“, I, 3, pisze: „Kraj osłaniało wojsko słabsze liczebnie, uboższe materyalnie, lecz... gotowe w obronie swobód i ognisk rodzinnych paść pokotem pod kulami wrogów, jak padło później usławszy trupem pola Maciejowic i szańce Pragi.“

a historya uczy, że wielokrotnie pod zdolnemi dowódzcami, z daleko mniejszemi siłami ocalano państwa. Oczywiście nie wszystka ta siła mogła być wyprowadzoną w pole. W wojsku koronnem wyruszyło na plac boju 12,628 piechoty, a z rezerwami około 20 tysięcy; jazdy zaś blizko 13,000, razem więc 33,000 [1]);

[1]) Siła ta dzieliła się na dwie dywizye: bracławsko-kijowską i rezerwową (pod ks. Michałem Lubomirskim) wołyńsko-podolską. Ta liczyła około 5,000 ludzi. Ks. Józef w swym pamiętniku powiada: „miałem strzedz granicy, przeszło 100 mil niemieckich rozciągającej się, 14-tu tysiącami wojska, rozłożonego po całej przestrzeni rozległych Kijowskiego i Bracławskiego województw.“ Jest to oczywisty fałsz. Najskrupulatniejsze badania późniejsze (Korzon, Smitt, Dubrowin i w. i.) przekonywują, że bez rezerwy Lubomirskiego liczył przeszło 20 tysięcy ludzi. W dziele *Korzona* „Kościuszko“ (Kraków, 1894 r.) na str. 225 znajduje się raport Kościuszki z końca kwietnia 1792 r. o liczebności dywizyi Bracławsko-Kijowskiej. Miała ona liczyć 17,086 ludzi. Dywizya zaś Wołyńsko-Podolska 4,635, razem więc 21,721 głów. Wykaz ten różni się znacznie od cyfr, podanych przez innych autorów, budzi więc pewne wątpliwości, tym więcej, że w dziele *T. Soplicy*, „Wojna polsko-rosyjska w wykazie stanu armii polskiej bitwy pod Dubienką, p. 314, znajdujemy cyfrę 26,000 ludzi. Skoro więc

w wojsku litewskiem, wraz z rezerwami, piechoty około 7,000, jazdy do 6,000, razem więc mniej więcej 13,000 ludzi [1]). Ogółem zatem, do boju stanęło 46 do 50 tysięcy ludzi; siła dość znaczna pod energicznym i zdolnym wodzem, szkoda tylko, że rozrzucone na ogromnej przestrzeni od Ukrainy aż pod Kurlandyę [2]). Wojsko koronne mianowicie stało

---

po koniecznych stratach długiego marszu, potyczek na grobli Borzuchowieckiej, pod Zieleńcami i innych, armia ta liczyła 26,000, to w chwili rozpoczęcia wojny nie mogła liczyć 21,000!

[1]) Ks. Ludwik Wirtemberski, wódz naczelny litewski, oblicza swą siłę na 14,557 głów armii czynnej litewskiej. My poszliśmy za wykazem *Korzona*, l. c.

[2]) Rzecz prosta, że w obliczeniach powyższych nie podajemy cyfr ściśle dokładnych, bo naprzód nie zawsze to jest możliwem, a potem do naszego założenia wystarczają w zupełności liczby przybliżone, mało różniące się od rzeczywistych. Zresztą co do tych cyfr, zachodzą u rozmaitych pisarzy sprzeczności. *Korzon*, „Wewn. dzieje“, V, 154, oblicza całą armię polską w r. 1792 na 68,809 do 70,000 *K. Górski*, „Hist. piechoty“ 176 i 177, powiada, że w wojnie brało udział tylko 43,541. *F. Smitt*, „Suworow und Pol. Unt.“, II, 386, ocenia te siły na 55,639 ludzi, z których po odtrąceniu załóg w Kamieńcu, Krakowie, Częstochowie, Poznaniu i War-

1148

wzdłuż granicy południowej od Mohylowa nad Dniestrem, aż do Łojowa przy ujściu Soży do Dniepru. Wszakże przy woli czujnej i energicznej można było, cofając te rozrzucone oddziały dość wcześnie ku Połonnemu, które wedle planu, zdecydowanego w Warszawie, miano silnie ufortyfikować, skoncentrować w jeden dość silny korpus i działać stosownie do okoliczności.

Naczelne dowództwo nad obu armiami, mieli dwaj ludzie, którzy nietylko nie okazali zdolności wojskowych, ale jeden z nich był jawnym zdrajcą. Armią litewską dowodził ks. Ludwik Wirtemberski, zięć ks. Adama Czartoryskiego, generała ziem podolskich, mąż sławnej aktorki „Malwiny“, człowiek bez żadnych zdolności, działający w porozumieniu z rządem pruskim, prosty zdrajca, powtarzamy [1]). Armia koronna zaś była pod

---

szawie, na linię bojową mogło wystąpić zaledwie 45,000, co mniej więcej zgadza się z innemi podaniami.

[1]) Wyjechał on z Warszawy w połowie maja 1792 r. i zamiast udać się natychmiast do Mińska, gdzie stał główny korpus litewski, zatrzymał się w Wołczynie, udając jakoby był chory na nogi

naczelnym kierunkiem ks. Józefa Poniatowskiego, 28-letniego młodzieńca, synowca

---

(„cette maladie—pisał—que notre cher Roi (pruski) m'ordonne de feindre") i siedział tam bezczynnie. W liście do Stanisława Augusta donosił, że niema wcale wiadomości; gdzie się pojedyncze oddziały jego korpusu znajdują, o ile są zdatne do boju; że nie ma magazynów, nie zna kraju, w którym kazano mu operować, nie wie gdzie ma założyć magazyny, gdzie wojsko skoncentrować i jak działać. Skarżył się, że położenie jego jest bez wyjścia, że chyba cudu musi dokazać, żeby ocalić jeżeli nie kraj, to chociaż wojsko, nad którem dowództwo mu oddano, i prosił, żeby król wziął to wszystko pod uwagę i bronił go w razie katastrofy, zwłaszcza, że nieprzyjaciel nie da mu czasu cokolwiek przedsięwziąć. (Raporty do króla z d. 21, 23, 25 i 30 maja, 8 i 23 czerwca 1792 r. w „Sborniku istoriczeskawo obszczestwa", tom XLVII, p. 326, 340, 345, 346, 356, 366 i 390). Cóż to więc był za wódz, który wobec położenia tak rozpaczliwego siedział bezczynnie w Wołczynie i niby wybierał się do Mińska, a nie wybrał się wcale? Schwytany wreszcie w Łomży jego list do króla Fryderyka Wilhelma przekonał, że ten wódz litewski był otwartym zdrajcą. W liście rzeczonym donosił, że działa zgodnie z rozkazem swego „ukochanego króla", że udaje chorobę i nie koncentruje sił, rozrzuconych na Litwie, żeby je nieprzyjaciel łatwiej mógł rozbić. Rezultatem tego było usunięcie Wirtemberga od

królewskiego, stąd mimowoli ulegającego królowi, jako głowie rodziny, panicza wychowanego po cudzoziemsku przez matkę Czeszkę zniemczoną, trochę hulakę, kobieciarza i karciarza, należącego do ówczesnej tężyzny, z głową słabą acz z wysokiem poczuciem honoru. Ledwie w r. 1789 pojawił się w Warszawie, odrazu wpadł w wir zabaw i hulaszczych uciech, psuty przez kobiety, uważany przez mężczyzn za prawodawcę mody i wzór wzmiankowanej tężyzny. „Święcił tutaj, pisze panegirysta jego, Askenazy (l. c., 18) błyskotliwe i łatwe tryumfy, królował w tanecznem kole świetnych rozrywek i tanich afektów, przodował w salonach, przewodniczył w harcach, przelatywał przez Warszawę w wysokim kabryolecie (whisky) w cztery albo i ośm koni ognistych, w poręcz zaprzężonych, z wielką zręcznością i wdziękiem powożąc z siedzenia stojący“. Towarzyszył mu zwykle Michał Wielhorski i Tadeusz Ko-

---

dowództwa. Czartoryscy złą przysługę oddali ojczyznie, forytując tego bezczelnego durnia na stanowisko wodza naczelnego armii litewskiej. Po nim powierzono komendę nieudolnemu Judyckiemu, który złego, spowodowanego przez Wirtemberga, nie potrafił już naprawić.

ściuszko, a niebawem piękne damy warszawskie, wielbicielki księcia, wyparły wyżej wymienionych towarzyszy z kabryoletu i zajęły ich miejsce obok przyszłego wodza polskiego [1]), W gruncie rzeczy był to człowiek do-

[1]) *Fryderyk Szulc* w swej podróży po Polsce (wydanie warsz., p. 172), tak o tem pisze: „Ks. Józef Poniatowski, który znany jest jako doskonały tancerz, zarazem wybornie konno jeździ i powozi. On był jednym z pierwszych, który lekki, otwarty, wysoko zawieszony powóz, w Niemczech zwany *whisky*, a w Polsce kabryoletem, wprowadził w modę w Warszawie. Z początku zaprzęgał do niego po cztery konie, potem osiem w poręcz, jedne za drugiemi, powożąc z siedzenia stojący, co wyglądało bardzo malowniczo i widzom przypominało starożytnych w cyrkach woźniców. Konie miał zawsze najpiękniejsze, pełne ognia, rosłe i silne, ale tak mistrzowsko nimi władał, że harde stworzenia stały, szły i skakały, jakim jego ręka i głos nakazał. Ćmiło się w oczach i strach ogarniał, patrząc gdy jedną z szerokich i długich ulic, w pełnym pędzie, wymijając inne powozy, przebiegał. Zwykle jechało z nim dwóch jego przyjaciół, a on w pośrodku: Wielhorski, towarzysz broni, z którym razem walczył przeciw Turkom, nie odstępował go nigdy, a często bardzo widywano przy nim Kościuszkę.“ „Sześć najpiękniejszych elegantek warszawskich wprędce kazały sobie sporządzić dwa whisky i popisywały się niemi po wszystkich ulicach. Wkrótce

bry, miłujący kraj po swojemu, ale bez talentu wojskowego, bez szerszego poglądu na rzeczy, mierność niezdolna objąć ogromu, ani zrozumieć powagi sytuacyi, w jakiej się znalazł. Wojnę widział; służył poprzednio w wojsku austryackiem, bił się z Turkami pod Sabaczem w r. 1788, gdzie nawet ranę otrzymał, ale zdaje się, że powierzchowny jego umysł niewielką stąd korzyść wyniósł, bo nie okazał w wojnie, w której dowodzić mu przyszło, ani talentu militarnego, ani przezorności, ani zapału. Miał jeden przymiot, któryby należało uważać jako zaletę, gdyby w wodzu naczelnym nie był on wadą. Był niezwykle skromny i nie ufał sobie, ani swym zdolnościom. „Bardzo jest dla mnie pochlebnem zaufanie, pisał do króla w r. 1790 [1]), jakie we mnie pokładają, ale wyznaję, że mam największą niespokojność co do sposobów, jakimibym potrafił nie zawieść go. Uczyłem się przez jedenaście lat służby obcej być

---

weszły w układy z trzema panami tymi...“ „i tak zręcznie chodziły koło woźnicy (ks. Józefa), że wreszcie nie ukazywał się inaczej, jak między dwoma niewiastami.“

[1]) *Generał Paszkowski,* „Ks. Józef Poniatowski“, p. 27.

posłusznym i wykonywać szybko i dokładnie rozkazy, dawane mi przez starszych; może doszedłem do tego, że potrafię z dobrą wolą i rozumem pułk prowadzić w ogień, ale nie miałem czasu dojrzeć na generała komenderującego i pozyskać dość wiadomości i talentów na zapełnienie tak ważnego miejsca.“ „Nie łudzę się wcale pod tym względem i z drżeniem czuję, jak wielkie zobowiązania mam wypełnić; nie śmiałem odmówić stanowiska, jakie mi dają; oby okoliczności nie sprawdziły obaw moich. Użyję wszelkich sił, jakie mi niebo dało, ażeby rzeczy szły najmniej źle, ale aby one szły dobrze, na to potrzeba ludzi innego hartu, jak ja jestem.“ Znał więc dobrze samego siebie, ale w takim razie pocóż lekkomyślnie przyjmował hetmaństwo, do którego prawa mu dawały nie jego doświadczenie lub zdolności, ale urodzenie i pokrewieństwo z królem? Skromność jest piękną zaletą w człowieku prywatnym, ale nigdy w wodzu naczelnym; budzi ona nieufność we własne siły i wiarę w siebie, a co do ks. Józefa stanowi ona niepojętą sprzeczność z tą okolicznością, że jednak władzę naczelną objął i do końca życia jej się nie zrzekł.

Taką była armia i takim wódz, któremu powierzone były losy ojczyzny, który miał walkę śmiertelną o byt tej ojczyzny stoczyć. Nieprzyjaciel zato o wiele przewyższał Polaków, tak co do sił, jak i wyrobienia żołnierza. Dwie jego armie wkraczały w granice Rzplitej z dwu stron. Jedna z nich, nazwana białoruską, pod komendą Kreczetnikowa, licząca 32000 ludzi, weszła od wschodu do Litwy [1]); druga, zwana mołdawską, podobno

---

[1]) Kreczetnikow otrzymał dowództwo mocą ukazu z d. 13 (2) kwietnia, i polecono mu skoncentrować armię w punktach następujących: korpus główny pod osobistą komendą Kreczetnikowa (tu się znajdował także w randze generała-porucznika zdrajca i Targowiczanin, Szymon Kossakowski), winien się zebrać w Połocku i podzielony na dwie części ruszyć na Litwę. Oddział pod wodzą Kossakowskiego ma skierować się na Wilno i Kowno i starać się utrzymać mieszkańców w posłuszeństwie; lewy pod komendą Mellina, skoncentrowany w Rohaczewie, ma podać rękę armii południowej, idąc forsownemi marszami na Słuck, Słonim, przez bagna pińskie na Wołyń, gdzie zajmie silną pozycyę i korzystając z terenu, starać się o odcięcie wojsk polskich, rozłożonych na Ukrainie. Plan operacyi powyższych ułożył kwatermistrz generalny, Sas rodem, nazwiskiem Herman.



Książę Józef Poniatowski.

chowski otrzymał instrukcyę, ażeby korpusy te, liczące ogółem 64,000 ludzi działały jednocześnie, żeby wkraczając w głąb Polski starały się odciąć i otoczyć wojsko polskie i zmusić je do złożenia broni. Rzecz była z tego względu możliwa, że Ks. Józef, jakkolwiek oddawna o tem wiedział, że wojna jest nieuniknioną, trzymał swe siły rozproszone na drobne oddziały wzdłuż Bohu, podzielone na cztery korpusy, które stały w okolicach Tywrowa, Niemirowa, Bracławia i Tulczyna. Instrukcya, ułożona przez Pistora dla Kachowskiego, brzmiała, że gdyby Polacy, z uwagi na swą słabość, wcześniej się cofnęli i nie stawiali oporu, to komen-

---

przez Dniestr wprost Mohylowa; drugi pod komendą Dunina (13,100 piechoty, 4,300 jazdy — razem 17,400 ludzi) dokonać ma przeprawy pod wsią Soroka. Derfelden, konsystujący w namiestnictwie Jekaterynosławskiem, ma ze swym korpusem (6,600 piechoty, 4,600 jazdy — razem 11,200 ludzi przejść Boh pod Olwiopolem i pomaszerować z wytyczną na Humań i Pohrebyszcze; generał zaś Lewanidow (7,800 piechoty, 3,500 jazdy — razem 11,300 ludzi, z artyleryą 11,800 ludzi, stojący w okolicach Kijowa, winien był ruszyć na Wasilków (Patrz wykaz szczegółowy sił Kachowskiego u *Smitta*, „Suworow u. Pol. Untergang“, II, 396*a*).

danci skrajnego prawego skrzydła Lewanidow i Dunin, mają postarać się o podanie ręki armii Białoruskiej, wkraczającej do Litwy. „Tym sposobem,—mówi instrukcya, województwo Bracławskie i Kijowskie może wpaść w nasze ręce, granica nasza będzie zupełnie osłoniona i w razie potrzeby te dwa korpusy mogą operować razem.“ Obie armie tak Mołdawska jak i Białoruska winny dążyć do ostatecznego celu, t. j. do Warszawy, „dla zajęcia tej stolicy i rozpędzenia zbiegowiska (skopiszcza), zebranego tam pod nazwą sejmu“ [1]) Obaj generałowie, „dwaj nowi rosyjscy Scypionowie,“ jak ich szydersko zwano w Rosyi, mają unikać gwałtów, „używać groźby tylko tam, gdzie spotkają opór i złą wolę, (niedobrohotstwo), a nawet wtedy, gdyby zmuszeni byli uciec się do siły, działać tak, żeby zaczepka (naczin) pochodziła od Polaków.“

Jednakże, pomimo wszystko, pomimo takiej przewagi liczebnej ze strony rosyjskiej, sytuacya nie była wcale rozpaczliwą. Siły nieprzyjacielskie podzielone aż na sześć do

---

[1]) „Sbornik istoriczeskawo obszczestwa“, tom XLVII, 245 i 246.

siedmiu kolumn, rozrzucone były na ogromnej przestrzeni od Dynaburga nad Dźwiną aż do Kijowa nad Dnieprem. Gdyby Polska miała wtedy wodza z głową dobrą, gdyby w łonie republiki szlacheckiej był się urodził nie już Bonaparte, ale choćby Fryderyk II-gi, to miałby sposobność uszczknięcia nietylko wawrzynów chwały nieśmiertelnej, ale, co ważniejsza, oswobodzenia kraju od najazdu i ocalenia bytu ojczyzny. Taki wódz skoncentrowałby swoje siły dość wcześnie, przyczaił się gdzieś w środku między wkraczającymi korpusami nieprzyjacielskiemi, dajmy na to w okolicach Berdyczowa i kolejno bił rozrzucone kolumny wroga. Samo położenie rzeczy wskazywało skuteczność takiego działania prostego i naturalnego. Gdyby, przypuśćmy, skoncentrował swe trzydzieści kilka tysięcy ludzi pod Berdyczowem, to mógł z przeważną siłą spaść na wiele słabszego Derfeldena, który miał pod sobą zaledwie 11 tysięcy, lub tyleż liczącego Lewanidowa i rozbiwszy ich, cały, skomplikowany mocno, stąd niepewny plan Pistora, za jednym zamachem zniweczyć [1]). To samo można było zrobić na

[1]) Twierdzenie nasze nie jest wnioskiem, wysnutym dziś w rozmyślaniu gabinetowem. Współ-

Litwie, ale do takiej akcyi nie był zdolny ani zdrajca Wirtemberg, ani ks. Józef Poniatowski letkiewicz i panicz, bez głowy i znajomości wojny [1]). Wprawdzie naczelne

---

cześni tak samo sądzili i ganili ks. Józefa za ten podział szczupłych sił polskich. Kościuszko w swym „Dzienniku“ („Obraz Polaków i Polski“, XVI, 93), uznaje niedorzeczność podziału na trzy dywizye, „aby każda z osobna czyniła operacye naprzeciw trzem dywizyom rosyjskim, z których każda tak mocna była, jak wojsko polskie całe. Zamiast użycia całej siły naprzeciw jednej z nich, która zapewnieby zbita była, przez coby wojsko bez doświadczenia jeszcze nabrało było śmiałości, a obywatel zachęcenia z powodu łączenia się z niem.“ W raporcie z Przyłuki (Kalendarz Tow. Dobrocz. za rok 1863), a więc w przeddzień wojny, pisał do ks. Józefa: „trzebaby nam jedną naprzód zbić kolumnę nieprzyjacielską, nim się wszystkie złączą.“ Niestety! tak prostej rzeczy słaba głowa Poniatowskiego zrozumieć nie mogła; on Daunowskim wzorem chciał wszędzie się zasłaniać i tym sposobem nigdzie się nie zasłonił. Czytaj o tem uwagi *T: Soplicy*, „Wojna rosyjsko-polska“, I, 15.

[1]) Tak dalece wojnę tę prowadził bez żadnego planu, że cofnąwszy się pod Lubar (gdzie obozował przez dwa tygodnie w zupełnej bezczynności), pisał do króla: „dokąd się obrócić? nie wiem!“ Cóż to za wódz, który nie wie co robić i dokąd się obrócić. Pod Zieleńcami mógłby był pobić z kre-

dowództwo nad obu armiami polskiemi miał król, który nie tylko nie miał pojęcia o wojnie, ale jej nie lubił, a co gorsza nie myślał wojować z Rosyą, wybierał się do obozu i nigdy się nie wybrał i najwyraźniejsze dawał rozkazy obu dowódcom, by się cofali. Oni się też cofali i doszli aż do Buga i Wisły i tu dowiedzieli się, że król przystąpił do spisku Targowickiego.

W tem nieustannem cofaniu się duch w wojsku znacznie upadł. Zajączek słuszną robi uwagę [1]), że „rejterada odbiera zawsze męstwo armii, choćby najlepiej wdrożonej

---

tesem Markowa, gdyby umiejętnie rozporządził swemi siłami. Sam później, gdy dojrzał i widział wielką wojnę, mawiał z westchnieniem, że Zieleniec nigdy sobie nie daruje“ (*Askenazy*, l. c., 29). Żali się też w dwadzieścia lat później *ks. Eustachy Sanguszko* w swym pamiętniku: „ile razy teraz przez ten plac boju przejeżdżam, na którym pszenicę sieję, zawsze silnie czuję błędy wtedy popełnione“. Pod Ostrogiem nie widział, że Kachowski go oskrzydla, słowem na każdym kroku w tej nieszczęśliwej wojnie widzimy nieudolność i lekkomyślność ze strony naczelnego wodza.

[1]) W swej „Historyi rewolucyi polskiej w r. 1794“. Cytujemy nie według wydania Żupańskiego, ale przekładu rękopiśmiennego, dokonanego, jak się zdaje,

w wojnę, ponieważ ta (rejterada nie wojna) w oczach żołnierza, naturalnie skłonnego do egzageracyi, a mało nadczem zastanawiającego się, pewnym dowodem jest niedostateczności sił. Łatwo więc i wojsko polskie, złożone z nowych zaciągów i bez żadnego doświadczenia, z prezumpcyi o sobie przeszło do spadku na umyśle.“ Dość, że się cofnięto w usposobieniu przygnębiającem poza Bug i Wisłę.

Cóż tedy pozostawało ks. Józefewi do czynienia? Bo Wirtemberg już usunięty został od dowództwa, a jego miejsce zajął Judycki, a potem Michał Zabiełło. Coby w takiej sytuacyi zrobił wódz dzielny, pojmujący grozę położenia, przejęty gorącą miłością ojczyzny ginącej? Przypatrzmy się ówczesnemu stanowi rzeczy, a potem zastanowimy się nad tem, coby mógł i co powinien był uczynić ks. Józef.

Gdy wieść o przystąpieniu króla do Targowicy przyszła do wojska, wojsko to przekroczyło już Wisłę i obozowało między Sieciechowem i Kozienicami. O jego usposobieniu

---

na zlecenie samego Zajączka. Rękopism ten znajduje się w naszych zbiorach.

i stanie ducha w kraju posiadamy kilka współczesnych, niewątpliwie prawdziwych relacyi.

Jan Henryk Dąbrowski, sławny późniejszy wódz legionów, powiada: „armia 60-cio tysiączna nie była ani zwątpiałą i była opatrzona we wszystko. Wprawdzie dowodzili nią generałowie i oficerowie niedoświadczeni, lecz nie brakło im ani odwagi, ani miłości ojczyzny, ani dobrej woli, ani wreszcie geniuszu militarnego, tak naturalnego Polakom“ [1]). Tadeusz Kościuszko, późniejszy naczelnik powstania 1794 r. jedyny oficer, który na polach Dubienki, w tej haniebnej w ogólności kampanii, ocalił honor oręża polskiego, pod świeżem wrażeniem rozgrywającego się przed nim dramatu, pisał: „były jeszcze sposoby zbicia wojska rosyjskiego. Zgromadziwszy wojsko całe za Wisłą, z wolontaryuszami i mieszczanami z Warszawy i Krakowa, wynosiły 60,000, a na czele króla mając, bijąc się za swój kraj i dependencyę, jaka moc by go zwyciężyła, pytam się? [2]). W innem

[1]) „Pamiętniki“ (wydanie polskie Żupańskiego w Poznaniu), p. 10.

[2]) List cytowany u *Korzona* „Wewnętrzne dzieje“, V, 172. Podobnież poniżej przytoczoną relacyę Świtkowskiego wzięliśmy stamtąd.

miejscu pisał: „Kachowskiego poznałem; jest to człowiek nie z pierwszego rzędu rozumnych ludzi, chwiejący się w opinii, trudności znajdujący w każdej rzeczy, *irresolu*, słowem mnie się nie podobał; a gdy widziałem innych oficerów, zacinałem ręce pomyślawszy: jak łatwo ich można zbić, gdyby kraj miał energię, był czułym o wolność swoją, miał zapał prawdziwego obywatelstwa“ [1]). Publicysta ówczesny,, ks. Piotr Świtkowski, wydawca „pamiętnika historyczno-politycznego“ (od 1782 do 1792), pisze w Lipcu 1792 r, w swem wydawnictwie: „...wszystko w Warszawie miało wojenną postać. Mieszczanie za żołnierzy obozujących objęli wszystkie warty i odprawiali je kolejno przez kilka dni. Regiment nocy Cichockiego, z połowy gwardyi i rekrutów uformowany został prawie w oka mgnieniu. Pułki nowe strzelców, freikorów już były prawie dokompletowane. Tysiące kantonistów, na mocy ostatniego prawa ze wszech stron przybywając, napełniła koszary przedmieścia. Ochotnicy z województw przybywali i stawali w okolicach Warszawy. Wieści przychodziły, że ich

[1]) List Kościuszki u *Korzona* „Kościuszko“, 247.

tysiące nadciągały, że się nawet całe województwa miały ruszać, aby je tylko wezwano. Co osobliwsza, Tatarów nawet 150 dostało się na Pragę, chcąc wojować z Polakami przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi. Chęć narodu całego ratowania ojczyzny w niebezpieczeństwie wydała się sposobem, nigdy jeszcze niedoświadczonym, w ofiarach licznych. W „Gazecie Narodowej“ (№ 41, z d. 23 Maja 1792) pisano: „deklaracya, podana przez posła rosyjskiego, nie wywołała tutaj (w Warszawie) ani oburzenia, ani obawy. Wszyscy głęboko odczuwając uczynioną im niesprawiedliwość i obrazę, postanowiwszy zemścić się za nią i bronić swej wolności i niepodległości, zachowają w swem postępowaniu i słowach umiarkowanie, stanowczość godną wolnego i mężnego narodu. Tak samo naród prosty zachowuje się w obec gróźb państw cudzoziemskich.“

Uczucia patryotyczne, zwłaszcza w Warszawie, bardzo jaskrawo na jaw występowały. Nazajutrz po deklaracyi rosyjskiej, wypowiadającej wojnę, w ogrodzie Saskim i Krasińskich zebrał się znaczny tłum ludu. Zdarzyło się, że zjawił się tam wojewoda pomorski Wojciech Mier i głośno zawołał: „*bonne*

novelle! bonne nouvelle! wojsko rosyjskie już wkroczyło do Polski i rozbiło oddział kawaleryi narodowej, 600 koni liczący!“ Za ten objaw niecnej radości tłum rzucił się na Miera z okrzykiem oburzenia i byłby go rozszarpał wraz z posłem poznańskim Mielżyńskim, który głośno mówił o niemożliwości toczenia wojny z Rosyą, gdyby się obaj nie ratowali śpieszną ucieczką. Boscampowi, jako znanemu stronnikowi Rosyi, i innym tegoż pokroju, grożono szubienicą. W Wilnie ten sam nastrój panował. Kossakowski, biskup inflancki, zagrożony śmiercią, która w parę lat potem i tak go nie minęła, uciekł z miasta; biskupa Massalskiego, także uciekającego, zatrzymano w Kalwaryi pod pozorem, że niemiał pasportu. Dnia 11 czerwca, pod naciskiem opinii, ustanowiono sąd sejmowy na zdrajców. Mieszczaństwo warszawskie, świeżo wyemancypowane, założyło klub wolontaryuszów z hasłem: „walczyć za ojczyznę, lub umrzeć.“ Do klubu przyjmowano i takich, którzy nie mogąc walczyć w szeregach, obowiązywali się składać ofiary.

Moglibyśmy wiele jeszcze takich świadectw przytoczyć, przekonywających o jak najlepszem usposobieniu w narodzie. Sam ks. Jó-

zef w swym memoryale o kampanii 1792 r., skreślonym po francusku, bo do charakterystyki tego wodza polskiego i to trzeba dodać, że po polsku pisał i mówił słabo, opowiada co następuje: [1]).

„....napisałem do króla, zaklinając go, aby był stałym i nieugiętym, aby się nie poniżał, wchodząc w układy z kilku ludźmi, którzy podeszli Cesarzową Imość rosyjską tak dalece, że jej wystawili w fałszywem świetle uczucia i zamiary narodu polskiego.“ „Skoro wiadomość o tem (akcesie do Targowicy) gruchnęła w obozie, cały korpus oficerów, zaszczycający mnie swojem przywiązaniem i ufnością, udał się do mnie w celu przekonania się o rzeczywistości. Wielu z tych szanownych rycerzy, widząc się zatrzymanymi w szlachetnym zawodzie, pogrążeni zostali w ponurej rozpaczy.“ „Wspólnie z kolegami postanowiłem ułożyć list do króla, a w nim (liście) wystawiłem poświęcenie i wierność wojska, które gotowe było przelać ostatnią kroplę krwi w obronie osoby królewskiej, w ocaleniu honoru i swobód narodu wolne-

---

[1]) Przekład „Sybilli nadwiślańskiej“, tom I, 352, 357.

go i niepodległego. Odwołaliśmy się do przysięgi, wykonanej w obliczu króla i narodu. Zaklinaliśmy go, aby jedynie ufał męstwu wojska i odrzucił wszystkie propozycye, czynione mu przez kilku zbiegów, żebrzących pomocy obcej dla nasycenia swej dumy. Oddając sprawiedliwość wojsku rosyjskiemu, wyraziliśmy: dozwól Naj. Panie, abyśmy raczej wszyscy legli w walce z naszymi mężnymi przeciwnikami, albo układając się jako mocarz z monarchinią, która im rozkazuje, lecz nie hańb nas porównywując ze zdrajcami.“ „Taka była treść listu, z którym wysłano dwóch generałów do króla. Napisali do marszałków sejmowych drugi adres, zapraszając ich, aby wspólnie z królem przybyli do obozu i zagrzebali się w gruzach niepodległości narodu.“

Z tego wszystkiego nabieramy przekonania, że położenie nie było wcale rozpaczliwe, że armia przejętą była jak najlepszym duchem, że ogromna większość szlachty gotową była do niesienia wszelkich ofiar dla ocalenia zagrożonej ojczyzny, że ogniwa rządu nie były jeszcze rozstrojone przez spisek Targowicki, a względy nie były obsadzone przez jego kreatury, że Warszawa i połowa kraju nie

była zajętą przez nieprzyjaciela. Pod względem wojskowym sytuacya także nie była ostatnią. Armia była prawie nienaruszoną, bo kilka potyczek jak pod Mirem, Zieleńcami, Dubienką i w innych miejscach, o bardzo niewielkie naraziły ją straty, miała za sobą Warszawę i nieprzyjaciela z jednego tylko frontu. Przytem oba korpusy: litewski i koronny, w skutek cofania się dośrodkowego ku Warszawie, znalazły się blizko siebie (litewski koło Grodna, koronny w Sieciechowie i Kozienicach) i w trzech co najwyżej forsownych marszach mogły się ze sobą złączyć, a złączone dorównać liczbą pojedynczym kolumnom nieprzycielskim.

W takiem położeniu rzeczy, ks. Józef, gdyby miał głowę, gdyby jedynie rządził się interesem ginącej ojczyzny, gdyby nakoniec w jego sercu tkwiła ta szlachetna ambicya wielkich charakterów i wielkich dusz, ów patryotyzm gorący, który nakazuje wszystkiego się chwycić, wszystkich środków użyć, wszystko zaryzykować, by jedynie rzecz publiczną ocalić, powinien był ogłosić się naczelnikiem narodu polskiego, jego dyktatorem i panem, a konfederacyę Targowicką uznać za zdrajczy spisek przeciw krajowi.

I nie jest to myśl, która dziś, w bolejącym nad utratą niepodległości Polaku powstaje, myśl wyśniona w godzinie rozpaczliwej zadumy. Wszak z opowieści samego ks. Józefa widać, że wojsko domagało się tego, pragnęło walczyć dalej, „swemu tylko dowódzcy (t. j. ks. Józefowi, a nie królowi), chciało być posłusznem“. Wierzbowski, komendant Częstochowy, w raporcie do króla donosi, że „niektórzy mieli pisać do wojska, aby nie byli posłuszni najwyższej zwierzchności ordynansom“ [1]).

W istocie na wieść o spisku Targowickim oburzenie w obozie było wielkie. Oficerowie ofiarowali ks. Józefowi dyktaturę wojskową, „ale ten, jak słusznie powiada nowoczesny historyk [2]), nie był zdolnym do tak energicznego postanowienia i miał zanadto silne poczucie spólnej krwi ze stryjem, żeby go do nicości strącić“. W Puławach z inicyatywy ks. Izabelli Czartoryskiej ułożono nawet projekt, ażeby książę Eustachy Sanguszko udał się z parkiem artyleryjskim z Kozienic do

---

[1]) Cytowane u *Korzona*, „Wewnętrzne dzieje“, V, 178.

[2]) *Korzon*, „Kościuszko“, 248.

Warszawy, wystąpił z paradą na placu Ujazdowskim, prosił króla na przegląd, otoczył go niespodzianie i zabrał przemocą do obozu. Ale ks. Józef, zrazu godząc się na ten projekt, odrzucił go w końcu [2]). Myśl więc prowadzenia dalszej walki pomimo króla i bez króla, istniała wtedy i gorąco była popieraną.

Gdyby więc wówczas stał wódz zdolny na czele wojska polskiego, byłby skorzystał z położenia zgoła nie rozpaczliwego i poprowadził dalej walkę. Znakomity, późniejszy nasz strategik, generał Ignacy Prądzyński, w swem dziełku p. t. „Czterej ostatni wodzowie polscy przed sądem historyi“, podno-

---

[1]) Jakie mętne pojęcia żywią niektórzy nowsi pisarze u nas, świadczy obrona tego postanowienia ks. Józefa przez p. Szymona Askenazego w panegiryku p. t. „Józef ks. Poniatowski“, p. 37. Pisze on: „dziś spokojnie rozważając sytuacyę, możemy orzec, iż ks. Józef, zaniechawszy w ostatniej chwili doradzanego mu zamachu, którym już niczego naprawić nie było podobna, uczynił roztropnie i dobrze.“ Wszyscy współcześni pisarze, wbrew twierdzeniom p. Askenazego, utrzymują, że właśnie wszystko jaszcze naprawić było można. W takiem położeniu, w jakiem była ówczesna Polska, należało się chwycić choćby najrozpaczliwszych środków,

sząc tę samą myśl, powiada: „Książę Józef Poniatowski powinien był sobie obrać Brześć Litewski za podstawę działań wojennych, w jego okolicy zebrać wszystkie siły wojska tak polskiego jak litewskiego, i tą jedną środkową masą uderzać dzielnie działaniem zaczepnem kolejno na siły nieprzyjacielskie, podzielone rzeką Prypecią i wszystkiemi jej bagnami. W takiem działaniu byłaby nie pewność zwycięstwa, bo tej nigdy niema w rzeczach wojennych, ale były wielkie szanse pomyślnych wypadków, bo jeżeli wojsko polskie było wogóle nieliczne, też i siły nieprzyjacielskie nie były nader liczne i we wskazanem działaniu koncentracyjnem była niewątpliwie możność uderzenia na nieprzyjaciela liczbowo przemagającemi siłami.“ Zajączek w swej „Historyi rewolucyi Polski“

---

by ojczyznę ocalić. Nie ulega zresztą wątpliwości, że w tym wypadku powodował ks. Józefem nie interes kraju, ale wzgląd na pokrewieństwo z królem (*Korzon:* „poczucie spólnej krwi“. *Zajączek:* „Pierwszy wzgląd na ratunek ojczyzny, a drugi dopiero na króla mieć należało“), co sam p. Askenazy przyznaje, mówiąc, że ks. Józef „poszedł za osobistym pociągiem uczucia“. Kierowała więc nim nie troska o los ojczyzny, ale prywata!

powiada: „cała armia wtenczas wynosiła do 60 blizko tysięcy wojowników, licząc korpus Poniatowskiego do 23,000, Zabiełły do 14,000, Byszewskiego do 6,000 [1]). Liczne rezerwy połączone z rekrutami nowozaciągnionymi, przechodziły 2,000 ludzi. Wolne korpusy, które uformowano od zaczęcia kroków nieprzyjacielskich, składały blizko 3 tysiące wojowników. Amunicyi wojennych było pod dostatkiem, dowodem tego jest, że insurgenci potem przez ośm miesięcy kampanii nie mogli ich wypotrzebować. Na magazynach powiatowych (zapasach żywności) schodziło zaiste, lecz te łatwo było mieć, nie trzeba było tylko jak trochę męztwa i szczęścia, a wszystko naprawione być mogło.“ Jakkolwiek w ocenie sił polskich Zajączek nie jest dokładny, wszelako uwagi jego, jako wojskowego i naocznego świadka, mają poważne znaczenie.

Bądź co bądź była możność zwycięstwa, przeciągnięcia wojny, wyparcia najazdu z granic kraju, a takiego wyparcia rezultatem

---

[1]) *F. Smitt,* „Suworow und Pol. Unt.“, II, 424, oblicza korpusik Byszewskiego (pułki gwardyackie i inne, konsystujące na Pradze) na 5,000 ludzi.

czyżby mógł być drugi rozbiór Polski? Niestety! Opatrzność nie dała nam wodza, któryby zdolny był pojąć doniosłość leżącego przed nim zadania, dała nam hulaszczą tężyznę w osobie synowca królewskiego, który umiał się na to tylko zdobyć, że rozgoryczone wojsko „wstrzymał w granicach obowiązku“, „uśmierzył oficerów“, podał się do dymisyi i krokiem tym dziecinnym i małodusznym, dał przykład innym do takiegoż postępowania. Nie zrozumiał, że obowiązkiem jego i armii nie jest posłuszeństwo królowi, ale obrona zagrożonej ojczyzny, że dymisya, usunięcie się z pod sztandarów, jest nieomal zdradą; że porzucenie oręża, jest to oddanie bezbronnego kraju na pastwę wroga i ohydnych spiskowców Targowickich. Bóg dał w ręce tego, wychowanego w legalnie monarchicznym duchu austryackim, młodzieńca, tej „mdłej duszy“, jak go słusznie nazywa późniejszy historyk (Paszkowski w „Życiu Kościuszki“), losy ojczyzny, a on je lekkomyślnie rzucił na wolę wichrów i jak najgorszych przeznaczeń. Dość, że dymisyę swoją i dymisyę 200 przeszło oficerów, zaprzestaniem walki, porzuceniem wojska, spowodował ostatecznie drugi rozbiór kraju. Kampa-

nię przegraliśmy i skutki tej przegranej były jak najopłakańsze, a przegraliśmy nie z powodu braku sił, rozstroju społecznego, anarchii lub zepsucia moralnego, ale dlatego, że nie mieliśmy dobrego wodza, dobrego generała, wielkiego charakteru.

Ból, gniew, rozgoryczenie, wywołane ostatnią haniebną kampanią w sercach wszystkich lepszych obywateli kraju, drugi rozbiór, ohydna, zdrajcza gospodarka Targowicy, redukcya zapowiadana wojska, spowodowała powstanie Kościuszkowskie, czyli trzecią, wielką wojnę o niepodległość i byt polityczny Polski. Trwało ono przeszło ośm miesięcy i toczyło się w warunkach o wiele gorszych i trudniejszych, niż kampania 1792 r. Przedewszystkiem miano teraz do czynienia z dwoma, a nawet trzema nieprzyjaciołmi, bo jakkolwiek Austrya nie przystąpiła jawnie do akcyi wojennej, przecież zgromadziła znaczne siły na granicy, nie przepuszczała ani broni, ani ochotników i widocznie przybierała wrogą postawę, gotowa do skosztowania kasztana, wyciągniętego przez innych z ognia. Wprawdzie była to postawa taka, że gdyby insurekcya była zwycięską, zapewne i Au-

strya swoim zwyczajem byłaby jej niosła pomoc, ale ponieważ powstanie nie było zwycięskiem i nie zanosiła się na to, więc dwór wiedeński zachował się ze wszech miar nieprzyjaźnie.

Dwaj zaś przeciwnicy, z którymi powstanie chwycić się miało za bary, t. j. Prusy i Rosya, obaj, pojedynczo wzięci, byli silniejsi od insurekcyi. W dodatku Warszawa nie była w rękach polskich, tęgi oddział rosyjski stał w niej załogą, a minister rosyjski Igelström, oparty na tej załodze i na zdrajczym hetmanie Ożarowskim, oraz na znikczemniałym królu, rządził samowładnie. Rząd przez spisek Targowicki był rozstrojony zupełnie, a armia, wynosząca przed paru laty około 70 tysięcy ludzi, teraz liczyła co najwyżej 26 do 27 tysięcy (koronna 18,500 do 19,000; litewska około 8,000) [1]). „To szczupłe wojsko, opowiada Korzon, znajdowało się pod każdym względem w stanie opłakanym; od trzech kwartałów pobierało zaledwie cząstkę żołdu; piechocie odebrano armaty batalionowe (oprócz jednego pułku Działyńskich, któremu odebrać nie śmiano czterech 3 funto-

[1]) *T. Korzon*, „Wewnętrzne dzieje“, V, 83.

wych, sprawionych składkowym kosztem oficerów i żołnierzy), amunicyę wydawała komisya wojskowa, czyli Ożarowski, sługa Igelströma, pod liczbą na strzały galowe; w całym kraju, na wszystkich punktach strategicznych stały wojska rosyjskie w liczbie prawie równej, albo przemagającej; Igelström za pomocą szpiegów śledził wszelkie zamiary i kroki związkowych oficerów polskich, kazał zawczasu ułożyć dyslokacyę oddziałów tak w Koronie i Litwie, jako też po placach i ulicach Warszawy; od miesiąca bataliony były trzymane wciąż pod bronią, przyboczni oficerowie sypiali w jego przedpokojach na podłodze w płaszczach; generał kwatermistrz Pistor obsadził trzy główne trakty między Krakowem, Warszawą, Wilnem i Kijowem już w zimie, opasał stolicę trzema kordonami, spodziewał się nawet, że po ukazaniu się Kościuszki powstanie będzie otoczone przez oddziały rosyjskie, „niby na wyspie“.

Dodajmy, że część znaczna wojska polskiego objętą była kordonem rozbiorowym i otoczona zastępami nieprzyjaciela, tak że tylko dzielności swych dowódców: Wyszkowskiego, Kopcia, Dzierżka, oraz patryotyzmowi żołnierza, zawdzięczała, że mogła z czasem przebić

się do Kościuszki. Nieprzyjaciel przytem był o wiele silniejszy. Samo wojsko rosyjskie, konsystujące w granicach drugiego rozbioru, wynosiło ogółem 25,500 ludzi i dział 81 [1]). W czasie oblężenia Warszawy Rosya i Prusy wystawiły 41,000 ludzi, zaopatrzonych we wszystko, wyćwiczonych, zasobnych w broń, działa (pod Warszawą miano ich 265) i amunicyę.

Położenie więc, powtarzamy, było o wiele gorsze, niż w czasie kampanii 1792 r. Z tem wszystkiem, mając do czynienia z nieprzyjacielem tylko na lewym brzegu Wisły, bo Derfelden szedł dopiero, a Suworow zaledwie w zimie miał się zjawić, biorąc w rachubę olbrzymi entuzyazm narodu i gotowość do poświęceń, z tymi 27 tysiącami, popartymi przez ruchawkę, ostatecznie te pierwotne 41 tysięcy nieprzyjaciela, podzielonego i rozrzuconego od Krakowa do Warszawy, można było zniszczyć i ze zwycięskimi szeregami stawić czoło nadciągającym nowym siłom. Niestety! nie potrafiono tego dokonać, bo jak zawsze, jak dotąd i jak później, brakowało nam zdolnego i energicznego wodza.

---

[1]) *T. Korzon,* „Kościuszko“, 290.

Na czele ruchu zbrojnego stanął mąż, który zyskał sobie sławę nieśmiertelną i nieśmiertelną cześć narodu za to, że ocalił honor polski, że toczył heroiczną walkę, że krew przelał własną i że był najczystszym typem republikanina, z najlepszych czasów rodzącego się w tej porze republikanizmu. Kościuszko posiadał duszę podniosłą i poetyczną, wielką prawość charakteru, jeszcze większą bezinteresowność, gorącą miłość ojczyzny, ale na nieszczęście nie był obdarzony wyższym talentem wojskowym, ani energią, konieczną do wydźwignięcia z rozpaczliwego położenia ginącej sprawy ojczystej. Jedyną wielką wojną, jaką widział i w jakiej uczył się trudnej sztuki wojskowej, była kampania o niepodległość Stanów Ameryki Północnej. Lecz była to wojna w szczególnych warunkach toczona, i w żadnym razie jej wzory nie mogły być zastosowane w Europie, a zwłaszcza w Polsce. Anglicy, będący jedną ze stron wojujących, mieli swoją podstawę, swój kraj, z którego czerpali ludzi, zasoby, pieniądze, oddalony całą przestrzenią oceanu, na którego przebycie w owej epoce trzeba było kilku tygodni czasu. Wojsko ich, walczące w Ameryce, było wprawdzie wyborne, ale nieliczne i raz poko-



Tadeusz Kościuszko.

nane nie łatwo i nie prędko mogło odzyskać siły i możność działania; czekać musiało na przybycie z za oceanu posiłków, a tymczasem powstańcy, będąc u siebie, organizowali się lepiej, zbroili i wzmacniali. Polska zaś powstająca była w zupełnie innem położeniu. Nieprzyjaciel atakował ją z dwu stron, zajmował wszystkie punkty strategiczne, węzły dróg i podstawę swoją, swe ognisko zasobów miał o miedzę nieomal, tak że pobity z łatwością mógł swe siły odnowić i wzmocnić. Wzory więc, zaczerpnięte przez Kościuszkę w Ameryce na nic się przydać nie mogły, a niedawna Konfederacya Barska wymownie świadczyła, że partyzantką najazdu wyprzeć i ojczyzny od niego oswobodzić nie można.

Druga wojna, w której Kościuszko uczestniczył, była nieudolna kampania 1792 roku. Tu właściwie nie walczono, ale cofano się ciągle, by skończyć wreszcie na sromotnem rozejściu się z szeregów. W kampanii tej zyskał on niejaką sławę za stoczoną bitwę pod Dubienką d. 18 Lipca 1792 r. Wyszukanie w tem miejscu silnej pozycyi, umiejętne jej wzmocnienie, niezaprzeczone daje świadectwo talentów wojskowych Kościuszki. Mając zaledwie 5 do 6 tysięcy ludzi i 10 arma-

tek najróżnorodniejszego kalibru, przez kilka godzin heroicznie się opierał trzykroć silniejszemu nieprzyjacielowi [1]). Choćbyśmy podali w wątpliwość, że Kościuszko zmuszony został do odwrotu w skutek oskrzydlenia od prawego przez nieprzyjaciela, który jakoby nie wahał się przekroczyć w tem miejscu granicy austryackiej, to bądź co bądź bitwa pod Dubienką w tej wojnie, w której bardzo niewiele krwi przelano, prowadzona uparcie i energicznie, przyniosła głośną sławę Kościuszce i zdawała się wskazywać narodowi, że jest to jedyny wódz, który zdoła hańbę kampanii 1792 roku zmyć i byt polityczny narodu od zagłady ocalić.

Na nieszczęście, Kościuszko, poza zaletami charakteru, który w innych okolicznościach, w czasach spokojnych, byłby ozdobą społeczeństwa, obok braku wyższych talentów wojskowych, doświadczenia wojennego, jednem słowem tego Bożego tchnienia, które tworzy wielkich hetmanów, miał usposobienie miękkie i łagodne, zgoła nieodpowiednie dla ówczesnego położenia. Nie okazał on ani ener-

[1]) Według *Smitta*, „Suworow u. Polens Unter.“, II, 437, Kachowski liczył 19,000 ludzi i przeszło 56 dział.

gii, ani stanowczej, wszystko łamiącej woli, któraby ze znacznych jeszcze wtedy zasobów narodowych, zdolną była wydobyć wszystkie siły i rzucić je na szalę walki śmiertelnej. Co najważniejsza jednak, w jego działaniach wojennych nie widać żadnego planu na szerszą skalę obmyślanego, żadnej, z góry nakreślonej, wielkiej operacyi wojennej. Jego krokami i ruchami kierują okoliczności i wypadki, zamiast żeby on sam stwarzał te okoliczności i wypadki, jak to czynili i czynić zawsze będą znakomici wodzowie. Pobiwszy na głowę Tormasowa pod Racławicami [1]), gdzie kosa Maćka polskiego dwanaście

[1]) Starcie Racławickie, które przyniosło Kościuszce zwycięstwo i utrwaliło byt powstania, było potyczką wypadkową, bez powziętego z góry zamiaru i planu stoczoną. Naczelnik wyruszywszy d. 1 Kwietnia z Krakowa (bo nie było czego siedzieć w tem mieście) w sile 4000 ludzi wojska regularnego i 12 armatek różnego kalibru. *T. Korzon.* (Kościuszko, 305), staje, maszerując nawet wolno, dn. 3 kwietnia w Koniuszy pod Proszowicami, tu wzmacnia go 2000 kosynierów krakowskich, i z tym sześciotysięcznym, bardzo różnolitym co do swego składu, korpusikiem, posuwa się d. 4 kwietnia w kierunku Skalmierza, gdzie generał nieprzyjacielski Denisow zgromadził rozproszone dotąd po województwie krakowskiem oddziały rosyjskie w liczbie

dział wydarła nieprzyjacielowi, Kościuszko nie umie skorzystać ze zwycięztwa i wyzyskać

5000 ludzi, prócz 4-ch szwadronów jazdy, które pod dowództwem podpułkownika Friesela, niewiadomo dla czego zostawił w Koszycach nad Wisłą. Z marszu powstańców wnioskowaćby należało, że Kościuszko zamierzał atakować Denisowa w Skalmierzu, jakoż *Treskow* (Beitrag zur Geschichte des polnischen Revolutions-Krieges i. d. 1704 p. 38) i *Pistor* (Memoires sur la revolution de la Pologne, p. 17) zapewniają, że wódz polski lękając się, by Denisow przez posiłki przysłane z Warszawy nie został znacznie wzmocniony, postanowił wyprzedzić przybycie tychże i uderzyć na nieprzyjaciela. Wszelako sądząc z działań następnych Kościuszki, podania te zdają się być wątpliwemi, lubo zachowanie się Denisowa dawało widoki pomyślnego skutku ataku na Skalmierz. Generał rosyjski bowiem, zamiast trzymać skupione swe swe siły wobec zbliżania się Kościuszki, w chwili decydującej rozdrabnia je w sposób niczem usprawiedliwić się nie dający. Na fałszywą wiadomość, otrzymaną w nocy z dn. 3 na 4 kwietnia, że jakaś kolumna powstańców maszeruje wzdłuż Wisły, by atakować Friesela w Koszycach, zamiast tego ostatniego ściągnąć ku sobie i pozwolić, by Polacy jak najdalej odsunęli się od Krakowa, który był ich podstawą operacyjną, ich magazynem i punktem oparcia, a samemu szybkim marszem starać się ubiedz to miasto, on przeciwnie postanawia bronić Koszyc, zgoła niepotrzebnie i oddziela od siebie pułkownika Łykoszyna

należycie chwilowego zapału, w pierwszem uniesieniu, z Racławickiego tryumfu. Potem

---

z batalionem piechoty i garścią kozaków (*Pistor* l. c. 18), dla wzmocnienia Friesela. Był to gruby błąd, bo bądź co bądź cztery szwadrony jazdy i jeden batalion piechoty, razem jakieś tysiąc paręset bagnetów i szabel, nie mogły stawiać długiego oporu sześciotysiącznemu korpusowi Kościuszki, gdyby ten w rzeczy samej powziął nierozumny zamiar atakowania Koszyc i zostawienia Krakowa prawie bez obrony. Nie dość na tem; Denisow na drugą wiadomość, także w nocy z d. 3 na 4 kwietnia otrzymaną, że Kościuszko maszeruje do Słomnik, postanawia i tu zagrodzić mu drogę i wysyła generała Tormasowa z 2½ batalionami piechoty, sześciu szwadronami jazdy i 12 armatami do Słomnik, nieco okolną drogą na Racławice. Wprawdzie z drugiej strony ruch ten miał na celu zbliżenie się i wejście w czucie z jenerałem pruskim Schwerinem, który zgromadził w Częstochowie sześć batalionów piechoty i 10 szwadronów jazdy, i otrzymawszy rozkaz operowania na spółkę z Rosyanami przeciw Polakom, posuwał swe przednie straże do Lelowa i Nakła. Może być wreszcie, że Denisow przez to rozdzielenie swych sił chciał przeszkodzić wydostaniu się Kościuszki z Krakowa, by go w tem mieście później wraz z Prusakami zgnieść i powstanie w zarodku stłumić, ale do takiej operacyi jego pięciotysięczny korpus w żadnym razie nie wystarczał.

Cóż wobec tego powinien był zrobić Kościusz-

już było zapóźno. Entuzyazm bowiem, okazany pod Racławicami, był świetnym mete-

---

ko? Najlepszą rzeczą było uderzyć na osłabionego tymi wysiłkami Denisowa, rozbić go i przełamać zaporę, oddzielającą go od Warszawy, do której dążenie w tej chwili winno być jedynym celem i na co powinien był wytężyć wszystkie swoje usiłowania. Zdaje się jednak, że nie miał żadnych wiadomości o tych ruchach Denisowa, i przy tej sposobności zaznaczyć tu musimy, że w całem powstaniu 1794 r. służba wywiadowcza w sztabie polskim była jak najgorzej uorganizowana, nie wiedziano nigdy dokładnie ani o ruchach, aui o siłach nieprzyjaciela, jak tego dowodzą bitwy Szczekocińska i Maciejowicka.

Kościuszko więc, nie wiedząc o podziale sił nieprzyjacielskich, maszerował dalej prostą drogą na Imbramowice, Gruszów do Skalmierza, gdy o świcie d. 4 kwietnia, między wymienionemi wsiami, trafił na kozaków, osłaniających marsz Tormasowa do Słomnik. Tutaj jazda polska stoczyła utarczkę z kozactwem, co mniejsza, ale co jest najważniejsza, że Kościuszko nagle dowiedział się o flankowym marszu Tormasowa, którego główne siły doszły już do Racławic i na pozycyi przerzniętej parowami, na stoczystych wzgórzach Kościejowskich, zatrzymały się, zapewne mocno zaniepokojone nagłem i niespodziewanem ukazaniem się powstańców. (Mówimy „zapewne“, gdyż wszystkie dotychczasowe, znane nam opisy bitwy Racławickiej, nie wyjmując nawet *Korzona* i *Wawrzenieckiego*.

orem, ale entuzyazm jest chwilowym błyskiem i nigdy długo, a zwłaszcza u nas, trwać nie

---

(„Racławice, rozumowany opis przebiegu bitwy. Warszawa, 1906 r.) są niejasne i bałamutne, tak że z trudnością przychodzi zdać sobie z niej sprawę).

Położenie Polaków było groźne. Przed sobą w Skalmierzu mieli Denisowa (3 bataliony, 7 szwadronów, pułk kozaków i dział 18), na swem lewem Tormasowa, wprawdzie znacznie słabszego, ale który w razie dalszego marszu powstańców na Skalmierz, flankowym atakiem poważny cios mógł zadać korpusikowi polskiemu. Na szczęście Tormasow nie myślał o tem i sądząc z późniejszego jego zachowania się przypuszczać należy, że nagłe pojawienie się powstańców pod Gruszowem zmieszało go mocno i na razie nie wiedział co począć; Kościuszko zaś decyduje się atakować Tormasowa, zwraca na lewo z drogi Skalmierskiej i staje na polach Dziemierzyckich (właściwie bitwa zwana Racławicką, stoczona była na polach wsi Dziemierzyce), czołem do nieprzyjaciela.

Postanowienie Kościuszki atakowania Tormasowa było krokiem rozpaczliwym i stawieniem wszystkiego na jedną kartę, bo Tormasow mógł zawezwać Denisowa o pomoc, co też w rzeczy samej uczynił, a że Skalmierz od Racławic oddalony jest o jakieś $1^1/_2$ do 2 mil polskich, więc Denisow mógł nadbiedz i rdzennym atakiem na prawe skrzydło polskie rozbić doszczętnie powstańców, a z tą przegraną, prostą koleją rzeczy, Kraków musiałby się poddać i powstanie po paru tygodniach skonać.

może i nie trwa w rzeczy samej. Opierać na nim akcyę wojenną, i to akcyę tego rodzaju

---

Ale skoro się weszło raz w taką matnię, należało nadłożyć zuchwalstwem i odrazu wszystko zaryzykować, co też Kościuszko uczynił i z czego mu trudno jakie zarzuty robić. Lecz powiedzieć trzeba, że jego przedwczesny marsz na Skalmierz, bez dokładnej informacyi, co się dzieje w obozie nieprzyjacielskim, był grubym błędem, z którego ocaliła powstańców tylko dzielna kosa chłopska.

Wszakże z początku nie zanosiło się na to. Pozycya okazała się niemożliwą do ataku. „Sytuacya miejsca nie sprzyjała widokom ataku," powiada sam Kościuszko w swym raporcie o bitwie. Nieprzyjaciel stał na wzgórzu i mógł łatwo oskrzydlić Polaków; matnia stawała się coraz gorsza. Z niej mógł wybawić powstańców tylko natychmiastowy, mimo wszystko, atak, atak tak stanowczy, żeby za jednym zamachem mógł roztrącić nieprzyjaciela, nim nadbiegnie zbrojna poręka Denisowa. Że jednak, podług Kościuszki, taki atak był niemożliwy, więc nie pozostawało nic innego, jak się cofnąć z powrotem ku Słomnikom i Krakowu. On jednak tego nie czyni i postanawia się okopać i czekać. Na co? na to chyba, żeby Denisow nadbiegł i wziętych w płomienny, dwustronny uścisk powstańców, zdusić w tych fatalnych wąwozach Racławickich.

Tak obie strony stały naprzeciw siebie do godz. 3-ej po południu. Ociąganie się Tormasowa jest usprawiedliwione, bo czekał na odsiecz Denisowa, ale Kościuszkę nic wytłumaczyć nie zdoła.

jak powstanie narodowe, mające do zwalczenia dwu silniejszych nieprzyjaciół, a stąd

---

Ale los w tej dobie na chwilę nam sprzyjał; Denisow nie nadchodził, a Tormasow, zniecierpliwiony, pewny zresztą tego, że lada chwila ukaże się na skrzydle kolumna Skalmierska, ruszył do ataku i po pięciu godzinach zażartej walki, uległ pod potężnym atakiem kosynierki polskiej. W chwili, gdy rozbity, okrwawiony i okaleczony mocno, zmykał, zjawił się od strony Wrocimowic Denisow. Późne przybycie tego generała na plac boju niczem usprawiedliwić się nie da. Uwiadomiony o pojawieniu się powstańców, co najpóźniej o koło godz. 11-ej rano musiało nastąpić, miał aż nadto czasu, by przebiedz dzielące go od Tormasowa parę mil i uderzyć od skrzydła na Polaków. Przywlókł się nad wieczorem, gdy już Tormasow w nieładzie ustępował, i żołnierze jego, Denisowa, widząc rozsypkę swoich, zalękli się „orobieli“, jak się sam wyraża), a przytem nie mógł przedostać się przez wąwóz Wrocimowicki. Wszystko to uciekać poczęło i nie oparło się aż o 3 mile od Racławic, w Kazimierzu.

Kościuszko jednak nie ściga nieprzyjaciela, tłumacząc się, że „piechota i jazda tak się połamały, że ani jedna kompania w porządku nie została.“ Wszakże można było zebrać choć parę szwadronów jazdy, któreby wyruszyły za przerażonym nieprzyjacielem, uciekającym w popłochu i w tym popłochu właściwe dopiero owoce zwycięstwa zbierać. I tu właściwie okazuje się brak dobrej głowy

z natury akcyę długotrwałą, mozolną i wyczerpującą, jest błędem. Przytem nie skorzystał on z położenia dość względnie szczęśliwego. Zamiast wyzyskać ten zapał narodowy, ścigać pokonanego nieprzyjaciela, by go dobić do reszty i Krakowskie województwo z niego do cna oczyścić, cóż Kościuszko robi? Po bitwie Racławickiej cofa się do Słomnik i Bosutowa, traci drogi czas na obozowanie pod Połańcem, czekając na połączenie z maszerującym doń z poza Wisły korpusem Grochowskiego [1]). Łączy się z nim wprawdzie,

---

u Kościuszki. Samą bitwę niezaprzeczenie dobrze poprowadził, we właściwej chwili rzucił kosynierów do ataku, ale ze zwycięstwa skorzystać nie umiał. Teraz dopiero, gdy wiara z entuzyazmem obwoływała swój niespodziewany tryumf, Kościuszko spostrzegł, na jak wielkie narażony był niebezpieństwo i taka go groza zdjęła przed tem widmem klęski, że na gwałt się zwinął i na całą noc pomaszerował do Słomnik, by jak najdalej znaleźć się od matni Racławickiej, w którą tak nieostrożnie, nie chcemy powiedzieć, lekkomyślnie, wszedł. W całej tej akcyi okazuje się, jak dalece Kościuszko nie dorósł do zadania, które na swe barki wziął.

[1]) Stał tam dwa tygodnie od 3 do 19 maja. Według *Korzona* (Kościuszko, 336) powodem tej przydługiej nieczynności Połanieckiej, był zamiar wciągnięcia woj. Sandomierskiego do powstania,

wzrasta przez to w siły i liczy około 16 tysięcy ludzi, ale przez swą bezczynność pozwala Denisowowi połączyć się także z nadciągającym królem pruskim.

Lecz w tych pierwszych chwilach zaszedł niezmiernej wagi wypadek, który odrazu

---

oraz że miano mu tu przez Galicyę przywieść kasę ze sreber kościelnych. Drugi ten powód jest zbyt błachym, by mógł usprawiedliwić dwutygodniową nieczynność pod Połańcem. Jedynie tylko konieczność połączenia się z Grochowskim, który szedł z za Wisły i pod Rachowem przez nią się przeprawił, może mieć znaczenie. Nie bez słuszności zarzut straty drogiego czasu w tem obozowaniu czyni obcy historyk tej wojny. *Pistor*, 49. *J. Wybicki* w swych pamiętnikach (wydanie warszawskie, II, 84) przytacza skargi Mokronowskiego na nieczynność Kościuszki po Racławicach. Czytamy tam: „nie zaprzeczał (Mokronowski) Kościuszce gorliwości, patryotyzmu, odwagi, nawet biegłości w sztuce wojennej, ale nie spostrzegał w nim dość tęgości charakteru, tego obszernego światła, jakiem tak wysoki urząd jaśnieć powinien. Przytaczał mi przykłady długiej nieczynności po bitwie Racławickiej, po której był moment zapalić wszelkie umysły, zgromadzić siły, roznieść trwogę powszechną na hufiec nieprzyjaciela, a ten moment został opuszczony.“ A więc nawet współcześni odczuwali brak energii w działaniu Kościuszki i uskarżali się na jego nieczynność po Racławicach.

zmienił obopólne położenie stron wojujących. Warszawa powstała, wypędziła i do połowy zniszczyła załogę nieprzyjacielską i samo położenie wskazywało Kościuszce, co ma teraz czynić. Warszawa stanowiła właśnie ów punkt centralny, strategiczny, między rozdzielonemi siłami nieprzyjaciół. Trzeba więc było co prędzej do niej maszerować, unikać wszelkich starć i tam przyczaić się, czekając rychło którego z wrogów da się dosięgnąć, by go zgnieść przeważną siłą.

Kościuszko tego nie czyni [1]). Wyrusza po-

[1]) *Korzon* w swem cennem, jako materyał, ale pozbawionem kunsztu historycznego dziele p. t. „Kościuszko,“ stara się na str. 338 usprawiedliwić tę blizko dwumiesięczną od batalii Racławickiej nieczynność naczelnika. Powiada więc, że ogólny stan rzeczy w tej chwili wyglądał pomyślnie i „nie wymagał nadzwyczajnych wysileń“ i że w końcu Maja miał Kościuszko na przestrzeni od Krakowa do Wilna 30 do 31 tysięcy żołnierza regularnego, nie licząc zaciągów. „Była to już siła poważna (czytamy dalej) w ówczesnych warunkach politycznych Europy. Pojawienie się takiej siły było ostatecznym skutkiem zwycięstwa Racławickiego i prac organizacyjnych Kościuszki w ciągu dwu miesięcy, Czas więc nie był stracony. “Na to twierdzenie zgodzić się nie możemy i utrzymujemy, że właśnie czas, rzecz zawsze najdroższa na wojnie, był stra-

woli z pod Połańca, stoi przez dziewięć dni bezczynnie pod Jędrzejowem, i postanawia stoczyć bitwę z połączonemi wojskami Prusaków i Rosyan. Postanowienie to niczem usprawiedliwić i wytłumaczyć się nie da. Do przyjęcia bitwy Szczekocińskiej wcale nie był zmuszonym. Jednym, a najwyżej dwoma forsownymi marszami, posuwając się wzdłuż lewego brzegu Wisły, mógł ominąć nadciąga-

cony. Jeżeli bowiem siły Kościuszki (rozrzucone zresztą na znacznych przestrzeniach, stąd wszędzie słabe i niedostateczne) wzrosły w ciągu nieczynności Połanieckiej i Jędrzejowskiej, to także nieprzyjaciel nie próżnował i mnożył się w sposób zgoła nierównomierny z powstaniem. Tylko energicznej czynności, w ruchach śmiałych, w nieustanych napadach na oddzielne kolumny nieprzyjacielskie, powstanie mogło sobie tryumf wywalczyć. Twierdzenie Korzona, że Kościuszko „nie mógł dokładnie wiedzieć, że równolegle mnożyły się siły wroga“, nie wytrzymuje krytyki. Na wojnie, co prawda, nigdy niema ścisłych i dokładnych danych o sile nieprzyjaciela, ale to właśnie znamionuje wielkich wodzów, że przy pomocy rozlicznych kombinacyi, mniej więcej odgadują liczebność nieprzyjaciela i odpowiednio do tego działają. Tej zdolności kombinacyjnej, tej, że tak powiem, intuicyi wojennej, Kościuszko na nieszczęście Polski nie posiadał i dla tego był miernym wodzem. Trzeba to sobie raz w oczy powiedzieć.

jących leniwie nieprzyjaciół, nawet w ostatniej chwili, gdy zbierali się w okolicach górnej Pilicy. Przyjęcie bitwy dałoby się tem tylko usprawiedliwić, gdyby był pewny wygranej. Wygrana bowiem czyniła go panem województw południowych: Krakowskiego i Sandomierskiego, a nadewszystko samego Krakowa. Usuwając się zaś stąd, oddawał te województwa i starą stolicę Polski w ręce nieprzyjaciół. Ale sztuka prowadzenia wojny na tem właśnie polega, by umieć poświęcić drobne korzyści dla uzyskania wielkich. Cofając się z tych stron, Kraków stanowczo należało uważać za stracony, i wódz rozważny i mający przed sobą jasno wytknięty program działania, byłby tę ofiarę bez wahania zrobił, a robiąc ją, byłby wycofał z Krakowa wszystkie siły i wszystkie zasoby, tak że nieprzyjaciel, zajmując to miasto, zastałby zupełną tam pod względem militarnym pustkę. Lecz jest to właściwością miernych wodzów, że chcą wszystko zasłonić i wszystko obronić, kiedy na wojnie i w życiu jest to prostem niepodobieństwem [1]).

[1]) Słusznie robi uwagi pisarz pruski *Treskow* w swem dziele „Beitrag zur Geschichte des polnischen Rewolutions Krieges i J. 1794“ p. 63, o tej

Tak też i Kościuszko postąpił. Postanowił obronić oba, wyżej wymienione, województwa i Kraków, i dlatego przyjął bitwę. Ale, powtarzamy, postanowienie to byłoby usprawiedliwionem (choć ze względów wojsko-

części operacyi Kościuszki. Powiada on, że wódz polski lepiejby zrobił, gdyby zamiast maszerować w Sandomierskie dla połączenia się z Grochowskim, czekał na niego w okolicach Krakowa i, unikając poważniejszego starcia, trzymał na wodzy tak Prusaków jak i Rosyan. W ostateczności mógł się schronić do oszańcowanego obozu pod Krakowem. „W ciągłej i ruchliwej defensywie (pisze Treskow) winien był Kościuszko póty stać pod Krakowem, które to miejsce winien był uczynić podstawą swych operacyi wojennych, dopóki nie byłby w stanie rozpocząć akcyi na większą skalę; winien był mieć wzrok nieustannie zwrócony na przeciwnika, ażeby nietylko z każdego jego błędu korzystać, ale starać się o zmuszenie tegoż przeciwnika do popełniania błędów.“ Możnaby temu twierdzeniu to tylko zarzucić, że Grochowski w swym długim i niebezpiecznym marszu od Rachowa aż pod Kraków, mógł być napadnięty i rozbity przez połączone kolumny Chruszczowa, Rachmanowa i Denisowa. Ale byli to trzej niedołędzy, nienawidzący się wzajemnie i niebezpieczni naprawdę nie byli, gdyż nigdy wspólnie działać nie chcieli. Opieranie się zresztą na Krakowie dopóty tylko miało racyę, dopóki Warszawa nie powstała; z chwilą powstania. Warszawy, główny rdzeń wojny tam się przenosił.

wych zgoła błędnem, bo rdzeń wojny, jej oś, jej punkt strategiczny i polityczny leżał w Warszawie, a nie w Krakowie), gdyby Kościuszko miał pewność wygranej. Pewności tej jednak nie miał i mieć nie mógł. Przyjmował bitwę, mając w swych szeregach zaledwie dziesięć niespełna tysięcy regularnego wojska, a około 6,000 ruchawki [1]), kosynierów, których bitwa Racławicka nimbem, niewątpliwie zasłużonym, otoczyła, ale na których wódz doświadczony niewiele powinien był liczyć. Mała ta armia ciągnęła za sobą dział dwadzieścia cztery.

Wobec tych niespełna szesnastu tysięcy wojska, złożonego z dwu nierównej wartości żywiołów, uzbrojonego w części w kosy, jakież siły stawiał nieprzyjaciel, przed którym Kościuszko chciał obronić województwa po-

[1]) Według *Korzona* (Kościuszko, 342) ogółem 9138 regularnego żołnierza, ruchawki około 5,500, razem 14,000 do 14,600. *Treskow* l. c. (Beilage V) oblicza przesadnie siły polskie na 26,000. Miało być 12 batalionów piechoty i 36 szwadronów jazdy. Gdybyśmy nawet batalion liczyli na 1000 ludzi (takiej cyfry nigdy one nie miały) a szwadron na 150 koni, to byłoby ogółem 17,400 ludzi, czyli cyfra przybliżona do wykazu Korzona. W podaniu więc Treskowa jest widoczny fałsz.

łudniowe i odwieczną stolicę Polski? Prusacy i Rosyanie liczyli razem 26,500 ludzi i dział 136. Przewaga więc była ogromna, tak co do liczby żołnierza, jak i jego wartości bojowej, i wódz przezorny pod żadnym pozorem nie byłby się wdawał w bitwę z taką przemocą. Niektórzy pisarze twierdzą, że Kościuszko sądził, iż będzie miał do czynienia z samymi tylko Rosyanami, którzy oczywiście byli odeń słabsi [1]), i których raz był już pokonał pod Racławicami, i że nie wiedział wcale o połączeniu się z nimi Prusaków. Jużcić trzeba było wynaleźć jakąś obronę tak uderzająco niemądrego kroku, jakim było przyjęcie bitwy Szczekocińskiej, ale obrona ta gorszą jest od samego czynu. Taki wódz, operujący we własnym kraju i na dość ciasnym terenie od Połańca do Pilicy, który nie wie o marszu i ruchach kilkunastotysięcznej armii, zasługiwałby na stanowcze potępienie [2]).

---

[1]) Według *Korzona* liczyli zaledwie 9,000 głów. Czytaj: *Kierzkowski*, „Pamiętniki“, 39.

[2]) *Treskow*, l. c., 95, słusznie powiada: „gdy wódz polski bitwę przegrał i spostrzegł się zbyt późno, że błąd popełnił, tłumaczył się, że nie wiedział o obecności wojska pruskiego, nie przypuszczał, by je mógł spotkać pod Szczekocinami. Co za

Przypuszczenie więc to, nie potwierdzone przez późniejsze badania, ostać się nie może. Kościuszko wiedział o marszu Prusaków, przypuszczał może tylko, że nie będzie miał z nimi do czynienia. Książę Eustachy Sanguszko, który po tej bitwie nieszczęśliwej, walecznie osłaniał odwrót, powiada w swych pamiętnikach [1]), że wraz z jenerałem Poniń-

tłumaczenie!! Trudno uwierzyć, ażeby wódz armii powstańczej we własnym kraju, nie miał żadnej wiadomości o stojącym naprzeciw niego nieprzyjacielu. O tem, że Prusacy obozowali pod Żarnowcem, musiał Kościuszko wiedzieć, ale, zdaje się, przypuszczał, że Prusacy, którzy w swem działaniu zaczepnem niezbyt stanowczo występowali, trwać będą dalej w swej kunktatorskiej postawie. Takie jednak przypuszczenie, że Prusacy pozostaną bezczynnymi widzami w chwili, gdy Kościuszko zaczepi Rosyan, zdradza brak zdrowego rozsądku w wodzu polskim.“ Wyrok niewątpliwie surowy, ale sprawiedliwy. Wspomniany wyżej Mokronowski niemniej gorzko użalał się przed Wybickim („Pamiętniki“, II, 84) na Kościuszkę za bitwę Szczekocińską: „niewiadomość polityki i sił nieprzyjaciela, wołał Mokronowski, aż do tego stopnia posunięte były, że naczelnik dopiero na placu bitwy pod Szczekocinami dowiedział się, że wojsko pruskie, połączone z rosyjskiem, przeciw nam działa.“

[1]) Pamiętniki, wydane przez J. Szujskiego, p. 28.

skim, widząc nierówność sił, odradzali Kościuszce przyjęcia bitwy, ten jednak zbył ich żartem, że „chcę się obeznać z manewrami pruskiemi.“ Rzecz prosta, że jest to żart, bo dla takiego obeznania się chyba szaleniec poświęca tysiące ofiar ludzkich i co większa los sprawy ojczystej. Zajączek [1]) tak tłumaczy przyjęcie bitwy: „źle uwiadomiony (Kościuszko), a może i zdradzony przez swych szpiegów, nie wiedział, że król pruski z armią znaczną był w blizkości obozu rosyjskiego.“ Przekonamy się zaraz, że to przypuszczenie nie jest prawdziwem. Nie ulega bowiem dziś wątpliwości, że Kościuszko wiedział o zbliżaniu się Prusaków, sądził tylko, że nie król, ale generał Schwerin nimi do-

[1]) Historya rewolucyi i rozbioru Polski. Cytujemy według rękopisu. W wydrukowanych pamiętnikach, str. 129. Major *Kierzkowski*, Pamiętniki, 39, powiada, że generał Grochowski namówił Kościuszkę do przyjęcia bitwy. „Pobijemy Prusaków, miał mówić, bo żołnierz pruski w batalii jak raz wystrzeli z broni, to drugi raz od strachu nie może jej nabić, lub długo ją nabija; obcesowo natrzemy więc na pruską piechotę, to ona nie dotrzyma placu.“ Są to oczywiście plotki żołnierskie i wśród niższych oficerów, którzy usiłowali wytłumaczyć powód przyjęcia bitwy.

wodzi, co zresztą rzeczy w niczem nie zmienia. Stanisław Wodzicki w swym pamiętniku [1]) opowiada, że należał do podjazdu, który Kościuszko wysłał 3 czerwca, że podjazd ten schwytał podoficera pruskiego, wiozącego raport o siłach wojska polskiego. Zrobiło to pewne wrażenie na wodzu powstańczym, bo „ciągle nie przypuszczał (pisze Wodzicki), aby armia pruska mogła się połączyć z rosyjską.“ Sanguszko [2]) uwiadamia nas o innym rekonesansie, wykonanym przez majora Rożnieckiego. „Zdał on (Rożniecki) raport najprawdziwszy o siłach nieprzyjaciela (Prusakach), ku nam dążących.“ Pistor w swych pamiętnikach [3]) powiada: „o godz. 1-ej po północy, na wiadomość o ruchach Prusaków, Kościuszko cofnął się na dawną pozycyę pod Hebdziem i Rawką.“ Pewną więc jest rzeczą, iż wódz polski wiedział, że będzie miał do czynienia także z Prusakami.

Skoro zaś wiedział, to mimowoli powstaje pytanie: jaki był powód przyjęcia bitwy

---

[1]) „Wspomnienia“, 361 i 362.

[2]) Pamiętniki, 32.

[3]) „Mémoires sur la revolution de la Pologne trouvés à Berlin“ (Paris, 1806), p. 154.

na polach Szczekocin? Niektórzy [1]) przypuszczają, że naczelnik widział niemożność wycofania się i musiał tym sposobem stoczyć bitwę. Nie wydaje nam się to przypuszczenie uzasadnionem, bo jeszcze w nocy przed bitwą, dowiedziawszy się o Prusakach, mógł się cofnąć. Po przegranej batalii, po poniesieniu znacznych, do 2000 głów wynoszących, strat, po rozproszeniu prawie całkowitem ruchawki kosynierskiej, po zostawieniu w rękach nieprzyjaciela ośmiu armat, uskuteczniono odwrót w możliwym porządku i w takiej postawie groźnej, że zwycięzca pobitych prawie nie ścigał. Jeżeli więc po zadanych ciężkich ciosach, potrafiono wycofać się szczęśliwie z krwawego pobojowiska, to tem łacniejby tego dokonano, mając nienaruszone szeregi, ożywione jeszcze tryumfem Racławickiej wiktoryi. Przypuszczenie więc to ostać się nie może.

Tenże autor w innem swem dziele [2]) utrzymuje, że raporty Ignacego Potockiego, niegdyś, za sejmu czteroletniego, głównego propagatora sojuszu z Prusami, a obecnie tak-

---

[1]) *Korzon*, „Wewnętrzne dzieje“.
[2]) *Korzon*, „Kościuszko“, 363 i 364.

że porozumiewającego się z Bucholtzem (posłem pruskim przy Rzplitej), raporty zapewniające, że Prusy wobec powstania zachowają się neutralnie, utwierdziły Kościuszkę w tem przekonaniu, że armia pruska z pod Żarnowca nie poda ręki zaatakowanemu Denisowi i Chruszczowowi. Być może, że tak było, ale dowodzi to tylko powierzchowności sądu i małej przenikliwości w Kościuszce. Wszak już w czasie marszu Madalińskiego z Pułtuska ku województwu krakowskiemu, Prusacy zawzięcie go ścigali i zastępowali mu drogę; później w temże krakowskiem nieustannie podjazdy wysyłali, które napadały na pojedyncze posterunki powstańcze [1]); na Mazowszu, nad Narwią, w połowie maja przychodziło do ciągłych starć z Prusakami [2]); wreszcie d. 18 maja, generał pruski Favrat napadł na obozowisko polskie w Skale, zniósł je, a tylko niedołęstwu i tchórzliwości tego dowódcy zawdzięczało powstanie, że już wtedy nie wziął mocą Krakowa (miał

[1]) Taki podjazd, złożony z huzarów w d. 16 maja w okolicach Skały wziął kilku jeńców. Czytaj: *Favrat*, „Beiträge zur Geschichte des polnischen Feldzug", 1794.

[2]) *Treskow*, l. c., 73 i nast.

11,000 ludzi, kiedy Krakowa broniło zaledwie 2,000 powstańców). Czyż wobec tych faktów można było przypuszczać, że Prusacy w tłumieniu insurekcyi polskiej udziału nie wezmą i pod Szczekocinami z bronią u nogi przypatrywać się będą atakowi Kościuszki na Rosyan?

Według nas dwie przyczyny kazały Kościuszce spróbować losu szczęścia pod Szczekocinami. Jedną z nich była, jakeśmy to rzekli, chęć utrzymania województwa Krakowskiego i Sandomierskiego wraz z Krakowem w swym ręku. Dlatego to postanowił stoczyć bitwę, dlatego w Krakowie zostawił załogę około 2000 ludzi i kika działek. Liczył przytem może na bohaterstwo, okazane przez Maćków i Bartków krakowskich pod Racławicami. Zawiódł się na nich bardzo. Już przed samą bitwą sformowanie w szyk bojowej tej niesfornej ruchawki, zajęło wiele czasu i wiele zamętu sprowadziło, co jak najsmutniejsze rokowało skutki. Bitwa zresztą sama miała charakter odporny, co także do błędów Kościuszki, jako wodza, zaliczonem być winno, bo na wojnie ten ma więcej szans wygranej, kto działa zaczepnie, do kogo inicyatywa ruchów należy. Pozwolił spokojnie

debuszować nieprzyjacielowi przez groblę i mostki na błotnistym dopływie Pilicy koło wsi Goleniowy, gdzie mały oddziałek mógł długo bronić przeprawy Prusakom i Rosyanom; pozwolił następnie rozwinąć im się bez przeszkody na wyżynach Przybyszewa; jednem słowem samą bitwę źle prowadził.

Bądź co bądź batalia, zgoła niepotrzebna, była stanowczo przegraną, a jej rezultatem oprócz poważnych strat w ludziach, broni, a nadewszystko w opadłym nagle entuzyazmie narodowym, była utrata obu województw południowych, utrata Krakowa, który, otoczony starożytnym murem średniowiecznym, bronić się nie mógł i z załogą swoją poszedł w pruską niewolę. Czyż więc nie lepiej było dojść do tych samych rezultatów bez stoczenia krwawej bitwy i bez strat dotkliwych?

Teraz dopiero Kościuszko rusza do węzła strategicznego tej wojny, do Warszawy [1]),

[1]) I teraz szedł bardzo wolno. Nazajutrz po bitwie d. 7 czerwca był w Małogoszczu, d. 9 w Kielcach, d. 10 w Zagnańsku, d. 13 za Szydłowcem (pod Wysoką), d. 14 w Radomiu, d. 19 w Warce. Całe szczęście, ze Prusacy szli jeszcze wolniej, bo gdyby się byli pośpieszyli, byliby ubiegli Kościuszkę w Warszawie.

gdzie już co najmniej od miesiąca być powinien, ciągnąc za sobą tryumfujących i zwycięskich króla pruskiego i Fersena, i staje się przez to powodem, ze ten węzeł osaczony zostaje i teraz cały los kraju spoczywa na jego obronie. Gdyby był bowiem Kościuszko nie przyjmował bitwy pod Szczekocinami, ale wprost z pod Połańca, jeszcze w końcu Kwietnia [1]), gdy się nakoniec dowiedział o powstaniu w Warszawie, wyruszył do niej i zajął pozycyę taką, by mógł ją osłaniać, byłby może uniknął oblężenia stoli-

[1]) Ruch Kościuszki po Racławickiem starciu w kierunku Warszawy, byłby prawdopodobnie oddał mu stolicę kraju bez walki i bez krwawych późniejszych dni kwietniowych. *Pistor*, l. c., p. 49, zapewnia, „że gdy nagle rozeszła się po Warszawie wiadomość, iż Kościuszko, wzmocniony przez chłopów, maszeruje szybko ku miastu, że już jego straż przednia dotarła do Małogoszcza, generał Igelström uznał za stosowne zwołać radę wojenną, na której postawił pytanie, czy należy zaraz opuścić Warszawę, wyprowadzając z niej wszystkie wojska, czy też pozostać, a tylko wysłać nad Pilicę oddział, by strzegł przepraw, w razie zaś gdyby się Kościuszko zanadto zbliżył do miasta, wystąpić przeciw niemu ze wszystkiemi siłami i pobić go.“

cy i stawienia losu ojczyzny na jedną kartę [1]).

Obrona Warszawy dzielna i bohaterska, czyni zaszczyt tak zdobywającemu ostrogi społeczne mieszczaństwu warszawskiemu, jak i Kościuszce. Okazał on tu wiele poświęcenia i wiele heroizmu. Przez cały czas oblężenia, trwający blizko dwa miesiące, nie kładł się spać rozebrany. Dość, że w nocy z d. 5 na 6 września, armia rosyjsko-pruska odstąpiła od oblężenia, ale fakt ten nie mógł ocalić powstania, bo naprzód była to akcya czysto bierna, a potem nieprzyjaciel nie był pokonany. Wszelako obrona Warszawy podnosząc wysoko entuzyazm w narodzie, dawała, po cofnięciu się oblegających, możność osiągnięcia nad nimi znacznych korzyści, wskutek błędu, jaki przy odwrocie popełnili. Nieprzyjaciel bowiem, dotąd skoncentrowany

[1]) *J. Prądzyński* („Czterej ostatni wodzowie polscy", p. 14 i 15) twierdzi, że Kościuszko dla osłony Warszawy powinien był zająć pozycyę między Łowiczem a Warszawą. Zapewne, znalazłoby się więcej takich pozycyi, ale pod warunkiem, by, po Racławickiem starciu, naczelnik ruszył na Warszawę, a nie tracił drogiego czasu na obozowanie pod Połańcem i Jędrzejowem.

u szańców warszawskich, cofając się od nich, rozdzielił swe siły. Prusacy z królem, mocno zniechęconym, cofnęli się w Kaliskie i Krakowskie, a Rosyanie z Fersenem poszli w górę Wisły z widocznym zamiarem opuszczenia jej lewego brzegu i połączenia się z nadciągającym z nowymi posiłkami Suworowem. Położenie stawało sie bardzo korzystnem i w ręku zdolnego wodza zapowiadało wielkie skutki i wielkie powodzenie.

Przedewszystkiem z Prusakami można było uważać wojnę na chwilę jako zawieszoną. Sam król Fryderyk Wilhelm, jakeśmy rzekli, bardzo zniechęcony, udał się do Berlina, a jego armia rozłożyła się niejako na zimowe leże w części w okolicach Konina, gdzie trzeba się było ucierać z powstaniem wielkopolskiem, w części nad Pilicą, wreszcie ponad granicami Szlązka. Z tej więc strony Kościuszko przez jakiś czas mógł być spokojnym i miał teraz do czynienia tylko z jednym nieprzyjacielem, t. j. Rosyanami. Ale i ci, wobec dzielnego, przedsiębiorczego, a nadewszystko obdarzonego geniuszem wojennym wodza, nie byliby niebezpieczni. Siły ich bowiem, przeciw powstaniu użyte, rozdzielone były pomiędzy sobą ogromnemi przestrze-

niami, a zbliżająca się jesień, roztopy i błota, psując wszelkie komunikacye, utrudniały niezmiernie szybkie połączenie tych sił. Najbliższym był, cofający się z pod Warszawy z pieśniami i muzyką, Fersen, który skierował się ku Wiśle i rozbił obóz pod Kozienicami, z oczywistym zamiarem przeprawienia się na brzeg prawy w celu połączenia się z innymi korpusami rosyjskimi. Obliczano go na 28 tysięcy ludzi, ale właściwie po stratach, poniesionych pod Racławicami, Szczekocinami i Warszawą nie mógł wystawić do boju więcej niż 16 tysięcy i działa 60 [1]). Siły te składały się w połowie z jazdy (oko-

---

[1]) *Korzon*, „Kościuszko“, 386. Obrachunek sił Fersena jest tylko przybliżony, zwłaszcza, że w miesiąc później, łącząc się z Suworowem w Stanisławowie, miał posiadać tylko 11,000 ludzi i 48 armat. Mniejsza o ludzi, padło ich dużo pod Maciejowicami, wielu stracił w marszach wśród bagien i pory dżdżystej, ale gdzie podział 12 armat? Wogóle o siłach tego korpusu mamy bardzo sprzeczne wiadomości, których nawet taki sumienny i skrupulatny badacz jak Korzon, nie rozwikłał. *Treskow*, l. c. (Beilage, V) powiada, że Fersen, idąc pod Warszawę, miał 13,000 ludzi (20 batalionów, 44 szwadrony i 3 pułki kozaków), armat 74. W chwili przejścia

ło 7-miu tysięcy koni) i znaleźć mogły dopiero należyte uzupełnienie bojowe w połączeniu z Suworowem, który prowadził przeważnie piechotę.

Suworow znajdował się w tej chwili jeszcze bardzo daleko i posiadał 11,000 ludzi i dział 16, przerzynając się ku Brześciowi Litewskiemu, i oddzielony był bagnami Prypeci i lasami Białowieży od Derfeldena, dowodzącego trzecim korpusem rosyjskim, który zdobył Wilno i szedł ku Grodnu. Wszystkie więc trzy korpusy rosyjskie zajmowały łuk wielkiego koła, którego oś leżała w Warszawie, a w tej Warszawie Kościuszko z głównemi siłami powstania.

Cóż, wobec takich okoliczności, przyznać trzeba niezmiernie szczęśliwych i w dziejach wojennych nader rzadkich, przedsięwziąłby wódz z prawdziwym geniuszem militarnym? Ponieważ każdy z tych korpusów, pojedynczo wzięty, nie był na tyle mocny, by zadać powstaniu cios stanowczy, więc dążyły one do

---

Wisły, według Treskowa (p. 249) miał mieć 13 batalionów, 43 szwadrony, 6 pułków kozaków i 36 armat. Wobec tak sprzecznych podań, trudno dojść prawdy. Poszliśmy za Korzonem.

połączenia się ze sobą, by tym sposobem utworzyć kilkudziesięciotysięczną masę, zdolną do ostatecznego zgniecenia ruchu. Z uwagi, że na wojnie to zawsze czynić należy, czego nieprzyjaciel sobie nie życzy, wytyczną działań polskich powinno być niedopuszczenie do tego połączenia, a raczej uderzanie skoncentrowaną masą wojska polskiego kolejno na każdy z oddzielnych korpusów rosyjskich i pokonywanie go przeważnemi siłami.

A siły te, w chwili, gdy nieprzyjaciel odstępował od Warszawy, były już bardzo znaczne i jak na owe czasy nawet wielkie, świadczące o ogromnem natężeniu entuzyazmu i ofiarności narodowej. Według obrachunku bardzo skrupulatnego, raczej zmniejszającego liczebność sił powstańczych, pomieszczonogo w dziele *Korzona* [1]), ogólna cyfra wojska polskiego wynosiła w owej chwili 73 do 74,000 ludzi. Odtrącając od tego rozmaite formacye powstańcze, źle uzbrojone i niewyćwiczone, które wynosiły 20 do 25 tysięcy, pozostanie zawsze tęgi korpus pięćdziesięciotysięczny, siła, którą w owe czasy gdzieindziej obalano

[1]) „Wewnętrzne dzieje“, V, 230.

i budowano całe mocarstwa. Gdyby więc Kościuszko skoncentrował w Warszawie owe 50 tysięcy ludzi i nagle debuszując z niej, po kolei, przeważną siłą atakował rozdzielone korpusy rosyjskie, byłby je według wszelkiego prawdopodobieństwa pokonywał, tryumf powstaniu zapewnił i ginącą ojczyznę może ocalił.

Na nieszczęście, jeżeli siły rosyjskie były rozdzielone, to i siły polskie były jeszcze bardziej rozdrobione i rozrzucone w znacznych od siebie odległościach, co dowodzi, że Kościuszko nie pojmował prowadzenia wielkiej wojny i należał do tego tłumu miernych wodzów, którzy pragnąc wszystko osłonić, niczego nie osłaniają, bo na każdym punkcie są słabi i niezdolni do przedsięwzięcia czegoś stanowczego, Oprócz mnóstwa drobniejszych oddziałów, rozrzuconych ponad Narwią, Wisłą, na Żmudzi i Litwie, główne korpusy walczyły w różnych, oddalonych od siebie stronach i bez żadnego między sobą związku. W Warszawie stał sam Kościuszko z Zajączkiem, Dąbrowski wojował w Wielkopolsce, Poniatowski uwijał się nad Bzurą, Sierakowski w województwie Brzesko-Litewskiem, Poniński w okolicach Wieprza. Wszystkie te korpusy w odo-

sobnieniu były słabe i żaden z nich nie był w stanie ani Fersenowi ani Suworowowi, ani Derfeldenowi stawić czoła.

W dodatku Kościuszko przez parę tygodni po odstąpieniu nieprzyjaciela od Warszawy nic nie robi i nie tylko nie myśli o koncentracyi, ale owszem coraz bardziej rozdrabnia swe siły. Z tej niezdrowej drzemki budzi go dopiero fatalna wieść o dotkliwej porażce d. 17 września korpusu Sierakowskiego pod Krupczycami, a w dwa dni potem o zupełnem jego rozbiciu pod Terespolem. Kościuszko pośpieszył osobiście do Grodna, by ratować rozpaczliwą sytuacyę, gdy wiadomość o przeprawie Fersena przez Wisłę zmusza go do akcyi przeciw temu ostatniemu.

Trudnem jest dzisiaj do pojęcia, jak można było przez cały miesiąc czasu (od 6 Września do 4 października) pozostawić korpus Fersena w zupełnej spokojności i dozwolić mu na przeprawienie się przez Wisłę. O wiele lepiej było uderzyć nań z lewego brzegu, nim się przeprawił, przez co miał znacznie ułatwione połączenie się z nadciągającym forsownym marszem Suworowem. Nie zrobiono tego, owszem—dozwolono mu na swobodne przejście Wisły. Przejścia tego miał bronić ze swym

korpusem jenerał Poniński, syn osławionego sprzedawczyka i zdrajcy. Ale gdyby nawet Poniński był zdolnym jenerałem i gdyby można było mieć ufność co do jego dobrej woli, to był on zanadto słaby, by mógł przeszkodzić ze swymi trzema do czterech tysiącami [1]) ludzi przeprawie szesnastotysięcznego korpusu Fersena. I w rzeczy samej nie kusił się nawet o to: i Fersen, d. 4 października znalazł się z całym swym oddziałem na prawym brzegu Wisły i rozsyłał podjazdy w celu wyszukania dogodnej drogi do Brześcia, co najwyraźniej mówiło, że pragnie połączyć się z Suworowem.

Teraz dopiero stanęła jasno przed Kościuszką potrzeba pobicia Fersena i wrzucania go do Wisły, jak mówiono w Warszawie. Niezwłocznie też, nie tracąc czasu, z niezwykłą u niego szybkością i energią, wyruszył z obo-

---

[1]) Na taką liczbę ocenia Ponińskiego *Korzon* „Wewnętrzne dzieje“, VI, 245. „Kościuszko“, 423. *Zajączek*, l. c., 184, powiada o korpusie Ponińskiego, że był „złożony z żołnierzy losem pozbieranych, skłonnych do najprędszego zatrwożenia się i bardziej męstwo reszty wojska osłabić, niż utwierdzić mogących“.

zowiska mokotowskiego przeciwko nieprzyjacielowi.

Ale niestety! poprzednio popełnione błędy przez wodza naczelnego, pomściły się na nim teraz straszliwie. Każdy to widział i on to doskonale rozumiał, że wyprawa przeciw Fersenowi ma znaczenie decydujące. Fersen pobity i wrzucony do Wisły, odrazu przeważa szansę na stronę polską. Kościuszko ze zwycięską armią mógł teraz zwrócić się przeciw Suworowowi, który, zapewne wobec takiego stanu rzeczy byłby natychmiast równie szybko się cofnął, jak szybko naprzód się posuwał. Jednem słowem z pobiciem Fersena kampania przybierała inną, stanowczo na stronę polską korzystną, postać.

Chcąc jednak osiągnąć tak wielki i tak zbawienny dla losów kraju rezultat, należało wszystkich sił użyć, wszystkie szanse na swoją stronę przechylić. Skoro Fersen liczył 16 tysięcy ludzi, a w sztabie polskim doskonale musiano o tem wiedzieć, bo przecież przez parę miesięcy miano go pod Warszawą, to należało przeciw niemu wystąpić najmniej w 20 tysięcy i działać na pewno, nic nie ryzykując, bo tu nie szło o bitwę przegraną lub wygraną, o honor oręża lub tryumf poli-

tyczny, ale o byt, o przyszłość, o życie narodu.

Tymczasem Kościuszko wyruszył zaledwie w dziesięć do jedenastu tysięcy ludzi, a z korpusem Ponińskiego, stojącym nad Wieprzem, mógł razem mieć 14 do 15,000 [1]). Było to stanowczo za mało, Kościuszko był słabszy o parę tysięcy od Fersena; oprócz trzech starych pułków resztę stanowiły nowe formacye źle uzbrojone i niewyćwiczone. Artyleryę też miał o wiele mniejszą, jakieś dwadzieścia parę dział. W dodatku, do akcyi przeciw Fersenowi użył korpusu Sierakowskiego, zdemoralizowanego mocno świeżemi klęskami pod Krupczycami i Terespolem. Z Warszawy wyprowadził dzielny, bohaterski pułk Działyńskich, oraz pułki 3-ci i 16-ty, i te tworzyły najtęższy rdzeń tej małej armii.

Wiemy, że Poniński udziału w bitwie nie wziął. Miał on podobno w chwili, gdy Kościuszko od czoła zajmie Fersena, nadejść niespodziewanie, uderzyć z boku i tyłu (od strony Tyrzyna). Wojna, jak każda wielka sztuka, jest sztuką przedewszystkiem prostą. Te-

[1]) *Treskow.* l. c., 249, oblicza siłę Kościuszki na 10 tysięcy ludzi.

go rodzaju manewr skomplikowany, jak zjawienie się na polu bitwy oddalonego odziału, rzadko bardzo się udaje, a Poniński nie był Dessaix'em, Kościuszko Napoleonem, a Maciejowice bitwą pod Marengo. Poniński nie przyszedł i nie zaatakował flanków i tyłów Fersena, a jakkolwiek zdrady mu wyraźnie dziś dowieść niepodobna, skoro współcześni mu jej nie dowiedli, wszelako zachowanie się jogo ma charakter bardzo podejrzany [1]). Dość,

[1]) Według wszelkiego prawdopodobieństwa sam Kościuszko w znacznej części jest winien, że Poniński na czas nie przybył na plac boju. Kiedy d. 6 października, Naczelnik w głównej kwaterze Sierakowskiego w Okrzei widział się z Ponińskim, dał mu rozkaz wracać do swego oddziału, obrać obronną pozycyę za Wieprzem i czekać dalszych rozkazów, dlatego że wtedy nie można było wiedzieć, gdzie nastąpi spotkanie z Fersenem. W wigilię bitwy, d. 9 października, z Podzamcza miano wysłać ordynans przed wieczorem do Ponińskiego, jakiej treści—nie wiemy. Według *Kopcia* (Dziennik, 62), rozkaz ten miał brzmieć „aby Poniński nazajutrz wczesnie wymaszerował i połączył się z wojskiem naczelnika," to znaczy, żeby ze swego stanowiska wyruszył rano d. 10 Października, t: j. w dniu bitwy. Drugi ordynans wysłano dopiero o godz. $1^1/_2$ po północy, aby Poniński przyszedł do Tyrzyna, zalecając „największą pilność w marszu," Powsta-

że nie przyszedł i siły Kościuszki zmniejszyły się o 3,500 ludzi. Gdy do tego dodamy

---

je pytanie: czy Poniński mógł wykonać ten rozkaz i przybyć na czas na wskazane mu stanowisko? Obozował on wtedy w okolicy Drążgowa, czyli że w linii najprostszej od Tyrzyna miał co najmniej 3 do 4 mil, drogami bocznemi, wśród lasów, po deszczach jesiennych (d. 8 października cały dzień deszcz padał) które te nizkie okolice przemieniały w grzązkie błota. Rozkaz wysłany z Podzamcza o godz. $1^1/_2$ w nocy, przy największym pośpiechu, gdyby kuryer wiozący go pędził na przełaj przez pola i lasy, nie mógł przybyć wcześniej od Ponińskiego jak o godz. 4-ej rano, co potwierdza *Zajączek* w swej „Historyi“ i co jest bardzo prawdopodobne. Poniński bronił się później, że otrzymał ordynans o godz. 7-ej rano, czemu ze względu na odległość i złe drogi nie mamy powodu nie wierzyć. Twierdzi on dalej, że wyruszył wpół godziny, że uszedłszy pięć mil, dotarł do Korytnicy o godz. 4-ej po południu, kiedy bitwa w Podzamczu była już skończona. Przypuśćmy, że nie maszerował pośpiesznie, że wybrał dalszą drogę, ale choćby o parę godzin wcześniej przyszedł, nawet w chwili gdy bitwa nie była jeszcze rozstrzygniętą, pytamy: czy pojawienie się tego małego, 4 tysiące niespełna liczącego oddziału, złożonego ze zbieraniny, byłoby zdecydowało los walki na stronę polską? Kościuszko nawet z Ponińskim razem był słabszy od Fersena o jakie 3 do 4 tysięcy starego bitnego żołnierza. Na planie bitwy, narysowanym przez

uciążliwe wśród zimna i błota marsze, detaszowanie na boki i posterunki rozmaite drobnych oddziałów, okaże się, że Kościuszko przyjął bitwę z 8-iu zaledwie tysiącami, t. j. że był o połowę słabszy od Fersena.

W takich warunkach przyjęta bitwa była albo krokiem rozpaczy, albo lekkomyślnością taką samą, jak stoczenie nierównej walki pod Szczekocinami [1]). Ale, powiadamy, po-

---

sztab Fersena (patrz. *Korzon*, Wewn. dzieje VI, 290) Tyrzyn w czasie boju zajęty był przez pułk Uglicki, który strzegąc taboru nie łatwo dałby się za jednym zamachem pokonać ruchawce Ponińskiego. Zresztą marsz tego ostatniego nie uszedłby uwagi kozaków i Fersen, bez żadnego uszczerbku dla głównej akcyi mógł detaszować parę tysięcy, by powstrzymały Ponińskiego. Czuł to zapewnie Kościuszko później, gdy Poniński publicznie wystąpił ze swą obroną, i całą sprawę zamazał niejasnem zdaniem, że „Poniński n'a pas reçu mes ordres ultérieurs.“ Jakież to są te „ordres ulterieurs“, skąd wiemy, że rozkaz wysłano z Podzamcza o godz. 1½ po północy i że go Poniński otrzymał o 7-ej rano? Oczywiście, że wobec własnej winy, Kościuszko zbył całą rzecz nic nie wyjaśniającym frazesem.

[1]) *Zajączek* I. c. 174, powiada, że Kościuszko „przed odjazdem swoim nie taił przed Kołłątajem i Zajączkiem, że zamierza odważyć się na stocze-

mściły się tu na Kościuszce dawniejsze jego błędy, fatalne rozdrobnienie armii polskiej od Torunia po Grodno, tak że gdy przyszła nagląca potrzeba użycia większych sił, tych sił pod ręką nie było. Dąbrowski wojował z Prusakami w Wielkopolsce i oczywiście ruszyć go stamtąd nie można było; Poniatowski stał pod Bzurą, Zieliński nad Narwią, armia litewska z Mokronowskim w Grodnie. Z tych sił na razie można było użyć Ponia-

---

nie bitwy dla przeszkodzenia połączenia się Fersena z Suworowem. Zajączek zaklinał go (nie Suworowa ale Kościuszkę) aby się na niebezpieczeństwo nie wystawiał; przekładał mu, że ponieważ „dywizya Fersena jest nierównie co do ludzi i co do artyleryi mocniejszą od korpusu Sierakowskiego, wypadało go koniecznie przed stoczeniem bitwy wzmocnić, i że lepiejby było połączenia się wojsk moskiewskich dopuścić, niż bitwę przegrać.“ Kołłątaj poparł także to zdanie. Ale Kościuszko zapewnił ich, że armia Sierakowskiego będzie do 14,000 liczyła i że prędko połączy się z nim korpus Ponińskiego i część oddziału Zielińskiego, co sobie koniecznie obiecywał. Zajączek obstawał jeszcze przy wzmocnieniu przynajmniej artyleryi, ale naczelnik gróźb jego nie słuchał.“ Z tego wniosek, że współcześni doskonale widzieli lekkomyślność w zamiarze Kościuszki stoczenia bitwy z Fersenem.

towskiego, może Zielińskiego lub innych, operujących nad Narwią, ale poprostu czasu na to nie było. Fersen przeprawił się przez Wisłę d. 5 października, Kościuszko już d. 6-go wczesnym rankiem wyjechał z Warszawy, by objąć dowództwo nad korpusem Sierakowskiego. Nie bardzo więc można było ściągnąć z nad Bzury Poniatowskiego, lub oddziały z nad Narwi przy roztopach jesiennych. Nie zdążyłyby one na czas nawet przy forsownych marszach, a gdyby zdążyły to zmęczone straszliwie, zostawiając po drodze mnóstwo łazęgów. Zresztą oba te oddziały były potrzebne na swych stanowiskach i ściśle mówiąc o nich nie można było myśleć, ale za to należało pomyśleć o wyciągnięciu z Warszawy, gdzie było około 25,000 ludzi, wszystkiego, coby się tylko wyciągnąć dało.

Tymczasem Kościuszko wyprowadził z Warszawy na ten bój śmiertelny zaledwie siedm do ośmiu tysięcy (Sierakowski po klęsce Terespolskiej liczył 2,645 ludzi [1]), zostawiając w stolicy kraju około 18 tysięcy ludzi, którzy, użyci pod Maciejowicami, prawdopodobnie byliby przeważyli bitwę na stronę polską

[1]) *Korzon*, „Kościuszko“, 424.

i Fersena do Wisły wrzucili. Trudno dziś pojąć, dlaczego Naczelnik tak znaczny korpus zostawił w Warszawie. Według jednych zmusiła go do tego obawa przed Prusakami, którzy, dowiedziawszy się o słabej załodze w Warszawie, mogli ją zaatakować i wejść do niej. Zdaniem naszem, obawa ta, jeżeli ją w istocie miał wódz naczelny, była zupełnie nieuzasadnioną. Dąbrowski bił ich właśnie w tej porze i w przeddzień nieomal katastrofy Maciejowickiej, doniósł Kościuszce przez majora Molskiego, że d. 2 października pokonał Szekelego pod Bydgoszczą i zajął to miasto. Główna armia pruska, jakeśmy to już zaznaczyli, rozkładała się na pograniczu Szląska w Krakowskiem i Sandomierskiem, i nie myślała o wojnie. Wreszcie miano Poniatowskiego, Kamińskiego i Kołyskę nad Bzurą, i jeżeli nie czas już było ściągać ich pod Maciejowice, to na obronę Warszawy, ogołoconej z wojska, w jednym marszu stawić się mogli. A przytem do osadzenia okopów, pod któremi już raz Prusacy doznali niepowodzeń, dość było powołać szewców i krawców warszawskich, których było kilka tysięcy i którzy czasu oblężenia zaprawili się tłuc Prusaków, że aż wióry leciały. W ostateczności

okupacya pruska stolicy mogła być tylko chwilową i znaczenia poważnego nie miała. Gdyby Fersena pobito i zatopiono w Wiśle, gdyby wskutek tego Suworow zmuszony był do odwrotu, to i Prusacy nie mogliby liczyć na utrzymanie się w Warszawie wrzącej, upojonej świeżemi zwycięztwami, gotowej każdej chwili do powstania. Dodajmy, że sam Kościuszko nie miał obawy co do Warszawy; „o Warszawę nie jestem niespokojny, pisał do Mokronowskiego [1]), byle żywność dla miasta i armii zasłanianą i przystawianą była".

Ten więc powód nie mógł istnieć. Inni pisarze utrzymują, że Kościuszko dlatego tak znaczną siłę zostawił w Warszawie, że lękał się zaburzeń i nowego wieszania. Powód to nów, a raczej Hugonistów warszawskich, dość było jednej armaty, nabitej kartaczami i paru szwadronów jazdy pod rozgarniętym oficebłahy. Dla utrzymania w karbach Jakobirem. A zresztą, czyby wieszano lub nie wieszano w Warszawie, była to rzecz drugorzędnego znaczenia wobec śmiertelnych zapasów z Fersenem. Dla ocalenia kilku lub kilkuna-

---

[1]) „Listy Kościuszki," wydane przez *L. Siemieńskiego*, p. III.

stu głów rozmaitych zdrajców i łajdaków, nie poświęca się przecież kilku tysięcy dzielnych żołnierzy, a nadewszystko losu kraju.

Wszystkie więc te przyczyny, podawane przez różnych pisarzy, nie wytrzymują krytyki i wystąpienie Kościuszki przeciw Fersenowi z tak słabemi siłami, jest jedną z tych zagadek historycznych, których przy dzisiejszym stanie wiadomości rozstrzygnąć niepodobna. Może z czasem ukażą się na widok publiczny dokumenty, które nam tę kwestyę wyjaśnią.

Jakkolwiek było, — bitwa była przegraną i to przegraną jak najbardziej stanowczo, a klęska tak zupełną i tak doniosłą w swych skutkach, jak mało bywa w historyi. Dzieje opowiadają nam o bataliach o wiele może krwawszych, stoczonych stokroć większemi siłami i na znacznie większych przestrzeniach, ale wpływ ich na losy walczących i na losy świata jest mały; bywają zaś bitwy, w których szczupłe siły biorą udział, a jednak pociągają za sobą skutki olbrzymie. Do rzędu takich bojów należy bitwa Maciejowicka. Potykało się w niej niewielu ludzi, z obu stron jakieś dwadzieścia kilka tysięcy wojowników, a przecież jakże ogromne ba-

talia ta pociągnęła za sobą następstwa, jak zmieniła postać świata i bieg dziejów! Spowodowała ona trzeci rozbiór Polski, ostateczny upadek państwa, starła z politycznej karty Europy nawet imię Polski, a skutki jej po dziś uczuwamy i my, i ci, którzy nas pokonali i rezebrali. Nie można powiedzieć, by bitwa Maciejowicka, gdyby była wygraną, zapewniła tryumf powstaniu Kościuszkowskiemu i ocaliła byt polityczny tego skrawka ziemi, który nosił jeszcze miano Rzeczypospolitej polskiej, ale niewątpliwie, z wielu względów, pobicie Fersena i konieczne utopienie go w Wiśle, ogromnie przeważało szalę na korzyść polską, a nadewszystko zapewniało dalsze trwanie powstania.

Inaczej się jednak stało. Na pobojowisku Maciejowickiem legło trzy czwarte maleńkiej armii polskiej, padł pokryty ranami naczelnik Kościuszko i dostał się do niewoli. Pełnił on do końca zacnie obowiązek żołnierza i wodza, a choć bitwę przegrał i ostatnią drzazgę ojczyzny postradał, jednakże winę tę okupił krwią własną i we wspomnieniach narodowych postać jego wyrosła na najczystszy ideał Polaka i obywatela.

Rezultatem bezpośrednim okropnej klęski

Maciejowickiej był upadek powstania i ostatni rozbiór kraju. Podobnie jak w dwu poprzednich wojnach, toczonych o jego niepodległość, t. j. w konfederacyi Barskiej i kampanii 1792 r. rozbiór Polski spowodowały nie inne przyczyny, tylko przegrane wojny, tak samo i teraz, klęska Maciejowicka, niewola Kościuszki, stając się przyczyną zupełnego rozstroju powstania, zakończonego w miesiąc czasu potem poddaniem się Warszawy i rozejściem się wojska w Radoszycach, jest bezpośrednim powodem trzeciego rozbioru Rzeczypospolitej. Teraz pokoleniom następnym nie będzie szło o utrzymanie bytu państwowego Polski, bo ta już go zupełnie nie posiadała, ale odzyskanie niepodległości. To odzyskanie parokrotnie było możliwem, gdybyśmy prowadzoną w tym celu wojnę wygrali. Niestety! jak dotąd, tak i później, było to nieszczęściem Polski, że w tych śmiertelnych walkach, wypowiadanych najazdowi, nigdy nie miała wodza z głową, talentem i charakterem, któryby z uśmiechu fortuny skorzystać i wysiłkiem narodowym umiejętnie pokierować potrafił.

Wojny napoleońskie, w których Polacy tak czynny i tak wybitny brali udział, nie należą do zakresu naszych rozmyślań. Jakkolwiek bowiem ojcowie nasi w wojnach tych obficie krew swą przelewali, to przecież walczyli oni nie bezpośrednio z najazdem swej ojczyzny, ale w tej nadziei, że niosąc życie i pomagając Napoleonowi, przyczynią się z czasem do tego, że byt polityczny upadłej Polski w dawnej mocy i znaczeniu on wskrzesi. Jakoż pod tym względem nie omylili się i kości ich nie nadarmo zasiały Europę od Tagu aż pod Moskwę. Napoleon, pokonawszy zdradzieckie Prusy, na krwi naszej utuczone, stworzył Księstwo Warszawskie, ten prawdziwy Piemont polski, ową zaródź kosmiczną w mgławicy polskiego rozbicia, która miała powoli przyciągać i skupiać koło siebie wszystkie odpadłe części dawnej

Rzeczypospolitej. Ci, którzy czynią zarzuty Napolenowi, że utworzył państewko małe i słabe, zduszone między dwoma rozbiorcami (bo trzeci, Prusy leżały powalone i w tej chwili w rachubę brane być nie mogły), którzy niechętnie na nie patrzyli, nie mogące ani żyć, ani umrzeć, zdaniem naszem błędnie sądzą. Napoleon nie był Polakiem i jako monarcha wielkiego państwa, jego interesy przedewszystkiem musiał mieć na względzie. Zrobił co prawda niewiele, ale rzeczą Polaków już było, mając podstawę i ostoję na tym niepodległym skrawku ojczyzny, tak działać, by jego granice rozszerzyć, w zamęcie, ogarniającym Europę, tak się kierować, by z burzliwych fal chaosu politycznego nawę ojczystą na wielkie wody wyprowadzić. I w rzeczy samej, Opatrzność dała im takie chwile, z których, gdyby umieli należycie korzystać, mogli byli swój cel upragniony choć w części osiągnąć. Sam Napoleon wyraźnie to wypowiedział w mowie, wygłoszonej do deputacyi polskiej w Berlinie: „Francya (mówił) nigdy nie uznała rozbioru Polski... nie może jednak przyrzekać tego, co nie jest w jej mocy. Los wasz w waszym ręku. Czego chcą szczerze miliony ludu, to ostatecznie stać się musi.

Uzbrajajcie się wszyscy. Niech hasłem waszem będzie niepodległość lub śmierć!“ „Tylko siła odbudować może, co siła zniszczyła; tylko zgoda naprawi, co zgubiła niezgoda.“ Słowa znamienne i bardzo rozumne. Napoleon dawał sposobność Polakom do odzyskania bytu politycznego i do nich już należało tak działać, by ten byt odzyskać i utrwalić.

I jak w poprzednich naszych rozumowaniach, dotyczących kampanii 1792 r. i powstania Kościuszkowskiego, nie są to wnioski, wyciągnięte z rozmyślań nad spełnionymi i niepowrotnymi już faktami, ale przekonanie, które żywili współcześni, umiejący patrzeć na rzeczy. Tak między innymi pojmował znaczenie Ks. Warszawskiego znakomity mąż i znakomity patryota, ks. Hugo Kołłątaj. W broszurze, którą napisał i wydał w r. 1808, i która była bardzo czytaną, ale która, jak się zdaje, niewielki wpływ wywarła, z dewizą: *nil desperandum* [1]), powiada on wyraźnie:

---

[1]) Tytuł tej broszury: „Uwagi nad teraźniejszem położeniem tej części ziemi polskiej, którą od pokoju Tylżyckiego zaczęto zwać Księstwem Warszawskiem“ (w Lipsku 1808 r. — Prawdopodobnie jednak druk warszawski).

„.....Małe to księstwo, rzucone jak gdyby przypadkiem wpośród najogromniejsze mocarstwa, jest początkiem obszernego dzieła...“ „Polska musi powstać i wrócić do dawnej swej wielkości...“ „te więc i tym podobne powody, których nawet nie przystoi domysłami wyprzedzać, skłoniły wielkiego prawodawcę (Napoleona), aby Polskę częściowo przywracał do politycznego życia, w miarę usposobienia tak Polaków jak i ich sąsiadów.“ W innem miejscu ks. Kołłątaj w formie przestrogi powiada (str. 184): „nie narzekajmy więc na dzieło dobroczynne naszego prawodawcy; uwielbiajmy raczej jego zadziwiającą przezorność, że nas stopniami prowadzić postanowił do tak wielkiego szczęścia, które podobno nie jest zbyt od nas odległe i nie oddalajmy się sami od niego. Pracując nad urządzeniem cząstki narodu polskiego, rzucił on fundamenta przyszłej jego wielkości; dosyć to, aby na wzór Księstwa Warszawskiego urządzone zostały inne części Polski, które on z rąk przywłaszczycielów pewnie kiedyś odbierze.“

Inny wielki patryota, ks. Staszic, w swem dziwacznie, jak zwykle u niego, zatytułowanem dziełku: „krótki rzut o statystyce polskiej

w r. 1807“ wołał: „waleczny narodzie! przestrzegam, użytkuj z czasu. Już masz punkt na twojej własnej ziemi do zbrojenia się i do zbioru. Działajże cały, jak tylko możesz, i właściwemi i niewłaściwymi, i jasnymi i skrytymi sposoby. Starajcie się wszyscy, by się was jak najwięcej uzbroiło, by w najgorszym nawet razie, jeżeli nie zupełnie polityczne jestestwo, mogliście sobie przynajmniej z orężem w ręku zapewnić narodowi własny język, narodowe prawa i urzędy“..... „Srom dla nas wieczny, gdybyście teraz nie odzyskali niepodległości. Tylko nikczemny, będąc uzbrojonym, powraca znowu w haniebną niewolę.“

Ale nietylko ks. Kołłątaj i Staszic tak sądzili. Z pewnością nie było wtedy w Polsce całej ani jednego człowieka, jakim takim rozsądkiem obdarzonego, któryby inaczej patrzał na znaczenie i zadania Księstwa Warszawskiego. Sejmy, uchwalające nowe, uciążliwe podatki, mimo rozpaczliwego położenia ekonomicznego kraju, są najlepszym dowodem, że rozumiano te zadania [1]). Jeżeli jednak mimo

---

[1]) Znaleźli się co prawda ludzie, którzy zgoła inaczej jak Kołłątaj i Staszic pojmowali ówczesną kwestyę polską. Należał do nich przedewszystkiem

to, Księstwo tych zadań nie spełniło, to nie była to wina Napoleona, ani okoliczności, któ-

Kościuszko, wezwany przez Napoleona za pośrednictwem Fouchégo, by stanął na czele formującego się wojska polskiego, odrzekł, że wtedy tylko zadość uczyni temu żądaniu, gdy Cesarz piśmiennie i publicznie zapewni, że: 1) forma rządu będzie taką, jak w Angii; 2) że chłopi będą wolni i otrzymają na własność swoją posiadłość teraźniejszą; 3) że granice Polski będą się rozciągały od Rygi do Odessy z jednej, a od Gdańska do Węgier z drugiej strony z zamianą za Galicyę. Oczywiście tak niewczesne rządania zostały odrzucone. Kościuszko, jak zapewnia *T. Morawski* (Dzieje narodu pol. VI, 65, 66) „zabłąkał się wtedy w związki z redublikanami," stąd domagania się konstytucyi angielskiej i Polski nie już w granicach 1772 r. ale Jagiellońskich, nie uwzględniając tego, że Napoleon był przedewszystkiem cesarzem francuskim i jako taki musiał się liczyć z wielu okolicznościami.

Nie dziwimy się Kościuszce. Nigdy nie odznaczał się tęgą głową, ale dziwić się wypada, że dziś jeszcze znajdują się historycy, którzy ganią Wybickiego i Dąbrowskiego, że „oddali wtedy sprawę polską Napoleonowi na łaskę i niełaskę" (*Korzon,* Kościuszko, 520). Więc może byłoby lepiej, gdyby kraj pozostawał dalej w warunkach trzeciego rozbiorn, pod jarzmem pruskiem? może rozumniej, gdyby stawiono warunki człowiekowi, który przywracał byt niezależny części kraju, imię polskie z martwych budził? Nikt nie wątpi, że Napoleon

re z wielu względów przyjaźnie się dla Polski układały, ale ludzi, którzy stali na czele rządu, a zwłaszcza naczelnego wodza wojska polskiego, ks. Józefa Poniatowskiego.

Kampania 1792 r. przekonała, że nie był to człowiek zdolny do wielkich przedsięwzięć, do kroków stanowczych, umiejący patrzeć na rzeczy głębiej, jednem słowem była to głowa słaba, umysł płytki i powierzchowny. Jego próżniackie i hulaszcze życie za czasów pruskich, jego podróż do Berlina, skąd wrócił z orderem Orła czarnego, zabawy, gra w karty, pijatyki, otoczenie rozpustnej młodzieży i kobiet lekkiego prowadzenia, nie mogło mu zyskać i nie zyskało sympatyi ogólnej [1]). Nazwisko, które nosił, zachowanie się jego podczas powstania Kościuszkowskiego, życie po

---

czynił to nie przez jakiś sentyment dla Polaków, lecz wyłącznie we własnym interesie, ale rozumna polityka nakazywała korzystać z tego interesu, co też zrobili Wybicki i Dąbrowski i potomność wdzięczną im za to być winna.

[1]) Sam panegirysta ks. Józefa, pan *S. Askenazy,* pisze o tej epoce jego życia co następuje: (ks. Józef Poniatowski 88) „...z dnia na dzień schodził czas na zmieniających się jak w kalejdoskopie, coraz nowych i coraz tych samych zabawach, na łowach, harcach, faraonie, awanturach, miłostkach.“

upadku kraju w Warszawie, pozbawione wszelkiej głębszej myśli i w ogóle myśli polskiej, wywołało przeciw niemu niechęć powszechną [1]). Dopiero po prześlicznej, szczęśliwej i zwycięskiej kampanii 1809 r. sympatyę narodową odzyskał, owszem nimbem bohaterstwa się otoczył.

Była to istotnie bolesna ironia losu, że wtedy, kiedy nam groziło śmiertelne niebezpieczeństwo, kiedy szło o byt i przyszłość kraju, wojny z kretesem przegrywaliśmy; a w r. 1809, kiedy przegrana niby w naszym losie nie zmieniła, gdyż ostatecznie główne wypadki i główny dramat gdzieindziej się rozwijał i od kogo innego zależał, my najazd zwyciężamy, prowadzimy wojnę po mistrzowsku, dokonywujemy, rzec można, cudów. Ale i tutaj nie było to zasługą ks. Józefa. Fortuna uśmiechnęła się do Polski i do tego

---

[2]) Współczesny poeta (Dmochowski) przezroczystym wizerunkiem upadającego Pompejusza, pisał słusznie o ks. Józefie, że „już być hetmanem w długim odwykł pokoju“ i że „chciwy próżnej sławy, pospólstwu sypał dary, dawał mu zabawy;“ że „cały ulegający dla gminnego wiatru, podobał sobie w klaskach swojego teatru.“ Obraz smutny, niestety! niemal prawdziwy.

pięknego Alcybiadesa polskiego złocisty Febus wyjrzał z poza chmur, rozwieszonych nad ojczyzną, i jedyny raz w naszych ostatnich dziejach stuletnich, los przyjazny wziął nas niejako za rękę i poprowadził do chwały i zwycięstwa. Kiedy bowiem po heroicznej bitwie Raszyńskiej Austryacy zajęli Warszawę, ks. Józef cofnął się pod szańce Modlina i nie wiedział co robić. Zebrana tam rada wojenna ostatecznie nic nie postanowiła i żadnego planu nie powzięła. Dopiero zdobycie mostu pod Górą przez Sokolnickiego, przeszkodzenie tym sposobem przeprawie Austryaków na prawy brzeg Wisły, zdecydowało ks. Józefa do stanowczego ruchu zaczepnego wzdłuż tego brzegu. Pchnęły go więc na tę drogę okoliczności, a nie rozmysł dojrzały, bo wódz polski nie był zdolny do powzięcia tak znamienitego pomysłu, ale, powtarzamy, fortuna się doń uśmiechnęła i dała mu najpiękniejszy wawrzyn na czoło [1]).

[1]) Wiadomo, że wyprawa do ówczesnego Zaboru austryackiego prawym brzegiem Wisły była z góry nakazana przez Napoleona. „En cas d'hostilités (pisał Napoleon do Berthièra) on previendrait le prince Poniatowski... avec ses troupes d'insurger la Galicie“ (*S. Askenazy,* I. c. 289, przypisu).

W każdym razie spełniono dobrze i pięknie to, co było zadaniem Księstwa. Odrzucono najazd i odzyskano kawał kraju, ale rzec można, że nie była w tem nasza wyłacznie zasługa; było to niejako odbicie tryumfów Napoleońskich. Gdy gwiazda tego wielkiego wodza zaćmiła się, my już radzić nie potrafiliśmy w momencie. niezmiernej doniosłości i wagi dla naszej przyszłości i dla naszego istnienia.

Takim momentem, który mógł być wyzyskany na naszą korzyść i jak najzbawienniejsze przynieść owoce, była wyprawa Napoleona w r. 1812 do Rosyi. O samej wyprawie nie będziemy tu mówili, gdyż Polacy odegrali w niej rolę podrzędną, byli narzędziem w ręku Napoleona, a wojskie polskie, wynoszące przeszło 83 tysięcy [1]), nie stano-

---

Bądź co bądź znakomity ten pomysł, nie urodził się w głowie Poniatowskiego.

[1]) M. de Pradt, Histoire de l'ambassade dans le grand duché de Varsovie en 1812, p. 84, tak oblicza siłę wojska polskiego, które wyruszyłc z Napoleonem do Rosyi:

17 pułków piechoty, każdy po 2400 ludzi (*Pradt* przez pomyłkę liczy 42,800 ludzi) . . . . . 40,800 ludzi

wiło oddzielnej jednostki taktycznej, ale rozrzucone było po różnych korpusach wielkiej armii i odbierało rozkazy od generałów francuskich. Nadmienić tu tylko wypada, że wogóle, w wojnie tej nie bardzo się popisaliśmy. Jeszcze korpus, będący pod wodzą księcia Józefa, który zresztą wykonywał tylko rozkazy Napoleona, bił się przynajmniej dzielnie i sławę męstwa polskiego utrzymał; niemniej pułk kirasyerów Małachowskiego w szarży na wielką redutę pod Borodinem dał dowód niepospolitego heroizmu, ale inne oddziały, a zwłaszcza polscy ich dowódcy, okryli się wstydem. Różniecki pod Mirem

---

16 pułków jazdy, każdy po 1200 ludzi	19,200	ludzi
Skompletowanie pułku nadwiślańsk.	800	„
3 bataliony taboru	1,200	„
Skompletowanie szwoleżerów gwardyi i 8-go pułku ułanów	1,200	„
Czwarte bataliony 5-go, 10-go i 11-go pułku piechoty	2,000	„
Tabor	2,300	„
Dwa pułki artyleryi konnej	1,200	„
Inżenierya, pontoniery, sapery, weterani	2,000	„
Rekruci, wysłani w ciągu lata	5,000	„
Dywizya Kosińskiego na Wołyniu	8,000	„
Ogółem	83,700	ludzi

i Romanowem, Konopka w Słonimie zmarnowali prześliczną jazdę polską, Kossecki w Mińsku postąpił sobie jak niedołęga i tchórz, a Dąbrowski, nie utrzymawszy mostu Borysowskiego, naraził wielką armię na straszliwą klęskę Berezyńską. Ale są to rzeczy ze stanowiska interesów polskich drugorzędnego zaledwie znaczenia; ważniejszem daleko było to, co powinni byli czynić ojcowie narodu, rząd Księstwa w tym czasie, gdy Napoleon na wieżach Kremlina orły swoje zatykał [1]).

Rząd ten, ministrowie polscy w Warszawie, którym przewodniczył hr. Stanisław Potocki, dostawiwszy Napoleonowi na wyprawę rosyjską przeszło 83 tysiące uzbrojonego i wy-

[1]) Niektórzy pisarze, a między niemi *Maurycy Mochnacki* w rozprawie p. t. „Wypadki i ich kierunek," drukowanej w „Kuryerze Polskim" № 370 z r. 1830, powiada, że w chwili, gdy Napoleon zdobył Smoleńsk, i zaślepiony powodzeniem puszczał się w głąb Rosyi, ks. Poniatowski powinien był stanowczo oświadczyć cesarzowi, że z korpusem 20 do 30,000 Polaków pozostanie w dawnych granicach Polski i na Wołyniu, Podolu i Ukrainie silne powstanie wywoła. Taki krok, zapewnie, mógł mieć bardzo poważne skutki, ale z jednej strony ks. Poniatowski nigdyby się na niego nie zdobył, a Napoleon nie byłby się zgodził.

ćwiczonego wojska, sądzili, że wszystko co do nich należało zrobili, i jak Bóg biblijny po sześciu dniach pracy, rękę na rękę założyli i spoczywali w tem słodkiem przekonaniu, że spełnili wszystko, czego ojczyzna od nich wymagać mogła, a reszta do Napoleona należy. Ambasador francuski w Warszawie, ks. Pradt, powiada [1]), że „mniemanie o wszechmocy Cesarza, tak dalece było między nimi (Polakami) ustalone, że wystarczy, jak sądzili, rzec do Polski, jak Bóg do światła, aby Polska się stała i Polska się stanie.“ Napoleon powinien odbudować im Polskę od Warty do Dźwiny i Dniepru i oddać im gotową, by w niej rządzili i panowali. Nie rozumieli, przez szczególne niedołęstwo umysłowe, cechujące tę epokę, nie pojmowali tego, że Bóg zsyła niekiedy narodom przyjazne okoliczności, ale wyciągnięcie z nich możliwych korzyści należy tylko do tych narodów. Sam Napoleon wielokrotnie to powtarzał polskim naczelnikom, że odrodzenie Polski od samych polaków zależy [2]). Słowa te, tak jasne i tak

---

[1]) L. c. p. 135.

[2]) Napoleon w instrukcyi wydanej dla Talleyranda, którego pierwotnie zamierzał wysłać do

rozumne, przebrzmiały bez echa koło nadętych postaci ministrów warszawskich. Wszystkie usiłowania swoje nie do tego skierowali, żeby na podarowanej im podstawie wznosić powoli i gruntownie gmach odrodzonej ojczyzny, ale żeby wypełniać tylko rozkazy Napoleona i nie utracić jego sympatyi. Bignon, rezydent francuski w Warszawie, w swych pamiętnikach [1]) tak charakteryzuje ówczesny rząd polski: „znalazłem ludzi, którzy dla spokoju sumienia niejako, pełnili to, co im nakazywał obowiązek, lecz przytem zwątpiwszy w możność wygranej, nie działali z tą sprężystą ochotą, jaka podbija nawet fortunę!“— „..niektórzy z nich więcej niż ozięble przyjęli wiadomość o powrocie naszej (francuskiej)

Warszawy, pisał d. 18 kwietnia 1812 r.: „...trzeba, żeby Polacy sami się przyczynili do swego odrodzenia. Powinni uważać Francuzów tylko za potężnych pomocników“... „Polska tyleż powinna polegać na swych własnych siłach, ile na cesarzu. Jeżeli wojna wybuchnie, Polacy winni ją uważać za środek dodany do swych własnych zasobów“... „...trzeba, żeby cała Polska się poruszyła i zrobiła powstanie“

[1]) Przekład polski *L. Siemieńskiego* p. t. „Polska w r. 1811 i 1813“ (Kraków 1862 r.) p. 21 i nast.

armii. Widzieli oni w tem przedłużenie a raczej odnowienie cierpień własnego kraju... Znałem te chorowite umysły, łatwo zniechęcające się“.... Czyż tacy ludzie mogli coś istotnie zbawiennego dla kraju zrobić? Napoleon kazał im dostawić jak najwięcej wojska, dostawili go blizko 83 tysiące; przed jego rezydentami bili pokłony, a cesarzowi, wielbicielowi kobiet, podsunęli piękną Polkę, by sympatyę jego i skłonność ku Polakom utrzymać nienaruszoną. Uciekając się do tak małych i poziomych środków, małe tylko otrzymali rezultaty i ze szczęśliwej sposobności, jaka rzadko w historyi się przytrafia, nie skorzystali wcale.

Tymczasem nie rozumieli oni tego, że Napoleon nie jest nieśmiertelnym, że, znienawidzony przez całą Europę, trzyma się na wyżynach tylko dzięki nadzwyczajnym wysiłkom swego geniuszu, że gdy mu się raz noga podwinie, cały, sztucznie przez niego wzniesiony, gmach runie i runąć musi. Prosty więc rozum, najzwyczajniejsza przezorność nakazywała tak się urządzić i tak wzmocnić, aby w tej spodziewanej ruinie utrzymać się, w gruzach jej niedać się zagrzebać. Należało więc wytworzyć i postawić u siebie taką siłę, któ-

rąby wszyscy szanować i liczyć się z nią musieli, któraby Polsce w przyszłym rozrachunku międzynarodowym zapewniła głos i to słuchany i poważany. Było to zresztą rzeczą zupełnie naturalną, że owe 83 tysiące wojowników, które wymaszerowały z Napoleonem do Rosyi, nawet przy szczęśliwem i zwycięzkiem prowadzeniu kampanii, przerzedzać się i topnieć muszą. Wzgląd ten więc nakazywał wytworzenie rezerwy, któraby ubytki zapełnić mogła i siły zbrojne polskie utrzymała na takiej wysokości, jaka mogła wzbudzić w nieprzyjacielu poszanowanie i zapewnić niepodległość choćby tej cząstki ziem polskich, które stanowiły Księstwo Warszawskie. Wprawdzie stan ekonomiczny kraju był rozpaczliwy, skarbowość w opłakanem położeniu, ale i tu można było przy dobrej woli, a zwłaszcza wobec niebezpieczeństwa, grożącego ojczyznie, zażądać od narodu nowych ofiar i robić na wszystkiem oszczędności, byle wojsko, poważna siła zbrojna stanęła. Przytem wojsko to płacone i utrzymywane było według etatów francuskich; obyczaj polski był inny i obniżywszy ten etat można było, jak utrzymują znawcy, za te same pieniądze drugie

tyle ludzi wystawić [1]). Sąsiednie Prusy, pobite, zgnębione i zrujnowane finansowo przez Napoleona, dawały ministrom polskim przykład co można zrobić nawet w najgorszem położeniu przy dobrej woli i rozumie, patrzącym w przyszłość. W tej porze zaprowadziły one u siebie system landwery, który stanowił niekosztowną, ale potężną i zawsze gotową rezerwę, zasób, z którego czerpać można było w każdej chwili nowe siły. Ale czy taka, czy według zwykłej formy wytworzona rezerwa, wynosząca około 30 tysięcy ludzi, uorganizowana należycie, byłaby ostoją dla cofających się z Rosyi pułków polskich i francuskich, stanęłaby oporem pogoni rosyjskiej, a Prusy utrzymałaby na wodzy [2]). Niktby

[1]) *J. Prądzyński*, Czterej ostatni wodzowie polscy, p. 57.

[2]) Nie jest to myśl dziś w gabinetowem dumaniu wysnuta. Dąbrowski radził ks. Józefowi, żeby, zamiast wszystkich rekrutów oddawać Napoleonowi, zostawić wszędzie w kadrach po jednym lub po dwa bataliony, ażeby mieć gotową na wszelki wypadek armię rozerwową. (Czytaj *J. Falkowski*, Obrazy z życia kilku ostatnich pokoleń w Polsce, IV, 18). Sam ks. Józef doskonale to rozumiał i wróciwszy z wyprawy moskiewskiej gorzko wyrzucał rządowi Księstwa, a szczególniej ministrowi wojny

nie sprzeciwiał się takiej robocie, bo nikt nie mieszał się w tej chwili do rządów Księstwa, a sam Napoleon chętnieby widział taką zapobiegliwość i taką pomoc dla siebie.

Że była to rzecz możliwa, świadczy ten fakt, że ks. Józef, powracający z Rosyi z rozbitkami, zdołał w samem województwie krakowskiem wzmocnić się znacznie i doprowadzić korpus swój do 18,000 ludzi i dział 60. Nie brakowało więc ani ludzi, ani chęci, ani patryotyzmu.

Wina, że nie zrobiono tego wszystkiego, może nie zupełnie leży na ówczesnym rządzie polskim, ale na owem nieszczęsnem przyzwyczajeniu, że oglądano się zawsze i ciągle na to, co powie Napoleon. Ambasadorem francuskim w Warszawie był wtedy ksiądz Pradt, arcybiskup Mechliński, człowiek nie-

---

Wielhorskiemu jego nieczynność. „Oglądacie się zawsze na Napoleona, mówił, ale czyż Polacy nie powinni byli myśleć sami o sobie i przygotowywać siły odwodowe na wszelki wypadek dla własnej obrony. Gdybyście byli sformowali w Księstwie korpus dwudziestokilkotysięczny, licząc w to ochotników Wołynia i Podola, którzyby się byli przedarli we wrześniu do Dąbrowskiego, bylibyście ocalili Napoleona i Polskę.“ (*J. Falkowski* l. c. IV, 295).

zręczny a zarozumiały, nienawidzący Napoleona, próżny i głupi. Rozwiązawszy po dwu posiedzeniach sejm konfederacki, sparaliżował cały ruch polski, związał mu ręce i fakt, mogący mieć wielkie następstwa, obniżył do poziomu sceny teatralnej. Napoleon chciał, by ogłoszono pospolite ruszenie, by wszystko co żyło, siadło na koń, a Pradt cały ten plan swą głupotą zepsuł i unicestwił. Mimo to, gdyby na czele rządu Księstwa stali ludzie z głową, byliby na to nie zważali, ale tak działali, by skołataną nawę ojczystą z tej szalonej burzy doprowadzić do portu.

Nie zrobiono tego, owszem czyniono a raczej nadsłuchiwano pilnie kapitulacyjnych propozycyi z kwatery rosyjskiej [1]) i po klę-

[1]) Matuszewicz, minister skarbu, i Mostowski minister spraw wewnętrznych, za pośrednictwem ks. Adama Czartoryskiego przesłali w d. 21 Listopada 1812 r. do cesarza Aleksandra I-go memoryał, w którym między innemi pisali, że „tyle wojen i zniszczenia... winno przekonać, że należy się chwycić innego systemu względem Polski, gdyż dotychczasowy, oparty tylko na sile, budzi w każdej okoliczności zgubną reakcyę i powodował dotąd tylko... nieszczęście. Czyż więc nie byłoby możliwem połączenia nierozwiązalnie Polski z Rosyą na podstawie dobrowolnej umowy z Polakami? Nienawiść

sce Napoleona Księstwo zajęły bez wystrzału, bez najlżejszych nawet oznak oporu, zwycięskie wojska cesarza Aleksandra I-go i byt tego niepodległego skrawka Polski za jednym zamachem zagrożony i zachwiany został. I tu właśnie zaszła okoliczność, która gdyby przez ks. Józefa była wyzyskaną należycie, mogła zgoła inny wypadkom nadać kierunek. Napoleon chciał, by ocalony z rozbicia rosyjskiego korpusik polski, liczący oko-

---

narodowa w rzeczy samej nie istnieje; jest ona raczaj tylko pamięcią krzywd, jakie sobie wzajemnie oba narody wyrządziły. Jeżeli nowa era... unicestwi możność ich (krzywd) powrotu; jeżeli światła racya stanu położy koniec tej odradzającej się przyczynie wojny i wzajemnej zemsty, to ujrzanoby niebawiem dwa narody, połączone związkiem miłości i braterstwa będącego wynikiem wspólnego pochodzenia. Niewątpliwie Rosya łatwo może ujarzmić Polskę, ale ...jej panowanie nie będzie spokojnem" (*S. Askenazy*, ks. J. Poniatowski, p. 311, przypisu). Czytaj także o całej tej, dość brzydkiej, zdala cuchnącej zdradą kraju, sprawie, pamiętnik *Bignona* p. 271 i nast. Mostowski według Bignona był tylko narzędziem w ręku przebiegłego Matuszewicza. Czytaj takze *Kozmiana*, Pamiętniki II, 389-390.

ło 5,000 ludzi [1]), cofał się do Poznania, gdzie ks. Eugeniusz Bauharnais zbierał resztki armii francuskiej. Z powodu jednak, że korpus posiłkowy austryacki pod ks. Schwarzenbergiem rozpoczął odwrót ku Krakowu, więc i Polacy poszli w tym kierunku. Był to szczęśliwy wypadek, bo w Kaliszu czy Poznaniu oddział polski wciągnięty byłby w ruch odwrotowy ku Odrze i Elbie, a w Krakowie mógł był całkiem inną i ważną odegrać rolę. Bądź co bądź garstka zbrojnych wojowników w starej stolicy polskiej, wstrzymywała w tej chwili nieprzyjaciół od doszczętnego wywrócenia Księstwa.

Otóż przed wodzem polskim podniosło się teraz dilemma: czy zostać w Polsce, czy też iść do Saksonii, do Napoleona? Oddalony od teatru wielkich wypadków, mógł działać samoistnie, przechylić na jedną lub drugą szalę ważących się zdarzeń i los swej ojczyzny, a z nią postać Europy zdecydować. Chcąc zrozumieć całą doniosłość tej sytuacyi, należy powiedzieć, jakie było położenie stron wo-

---

[1]) *J. Falkowski* Obrazy, V, 189—utrzymuje, że ks. Józef wyszedł z Warszawy na czele 8000 ludzi.

jujących i jakie miał środki i siły ks. Józef w Krakowie.

Pomimo zwycięstwa, jakie Rosya odniosła nad Napoleonem, był on jeszcze dość silny, by powetować zadaną klęskę, zwłaszcza, że jego nieprzyjaciele nie umieli sobie na razie zdać sprawy ze swego położenia. Jedne tylko Prusy, ożywione uczuciami narodowemi, zachęcone pojawieniem się w ich granicach wojsk rosyjskich, przyłączyły się do Rosyi. Ale zwycięstwa w Saksonii przekonały, że lew jeszcze nie pokonany i że same Prusy i Rosya nie łatwo sobie z nim dadzą radę. Wszystko więc zależało od Austryi; na którą stronę się ona przechyli, tej zapewni tryumf ostateczny. Ale gabinet wiedeński trzymał się swej odwiecznej polityki wyczekiwania i wyciągania kasztanów z ognia cudzemi rękoma. Pragnęła ona skorzystać z kłopotów obu stron i na tę szalę dorzucić swój miecz, która jej najwięcej zysków zapewni. Jednakże w Wiedniu, koło dworu roiło się od mnóstwa starych peruk, hofratów i generałów, zdecydowanych wrogów Francyi, których podszepty, zabiegi, ruszanie ramionami rokowało, że przechylenie się Austryi na stronę nie-

przyjaciół Napoleona, jest tylko kwestyą czasu i okoliczności.

Między temi okolicznościami, wstrzymującemi Austryę od stanowczej decyzyi, niewątpliwie była także obecność ks. Józefa i korpusu polskiego w Krakowie. Gabinet wiedeński gorąco pragnął, ażeby korpus ten jak najprędzej opuścił granice Księstwa Warszawskiego i wyniósł się do Saksonii. Ówczesny minister austryacki, ks. Metternich, oskarżał Polaków przed Napoleonem, że żywią jakieś szalone zamiary, że stanowisko tego korpusu w Krakowie nie przedstawia pod względem wojennym najmniejszej nawet korzyści, a ks. Schwarzenberg opowiadał w Paryżu, że „Polacy wtedy dopiero skłonili się do zajęcia stanowiska po za linią austryacką, kiedy, wystawiając się na daremne harce, stracili kilka tysięcy ludzi“ [1]). Wszystko to było kłamstwem, ale świadczyło o pożądliwem pragnieniu Wiednia, by ks. Józef wyniósł się prędzej z Krakowa i rozwiązał tym sposobem ręce Austryi. Cała bowiem armia austryacka, skoncentrowana w części na granicy Księstwa Warszawskiego, częścią w Galicyi i Mo-

[1]) *Bignon* I. c. 288.

rawach, bacznie obserwowała korpus polski, i, jak wiadomo, dopiero po jego ustąpieniu zebrała się w Czechach, by przeważyć swą obecnością szalę na stronę nieprzyjaciół Napoleona. Nie ulega więc żadnej wątpliwości, że dopóki ks. Józef stał w Krakowie, dopóty armia austryacka nie mogła się ruszyć i wystąpić przeciw Napoleonowi.

Doskonale to pojmowali wszyscy współcześni i Prusacy i Rosyanie i Austryacy, pojmował zrazu i ks. Poniatowski, że właśnie wypada mu pozostawić w Krakowie; bo zajmując dotychczasowe stanowisko, zmuszał nieprzyjaciela do rozdziału sił. Jeżeli jednak w końcu inaczej postąpił, jeżeli się wahał, to dlatego, że poprostu nie śmiał brać na swą odpowiedzialność tak ważnego kroku, i domagał się rozkazów Napoleona. Rozkazy te, aby wojsko polskie zostało w kraju i ruszyło naprzód, przyszły niestety! zapoźno [1]).

Działania wojenne prusko-rosyjskie w Sak-

[1]) L. c. 330. Napoleon pisał z Lützen do Berthiera d. 2 Maja: „qu'il (Poniatowski) doit se jeter dans les autres provinces du Grand Duché en partisan, pour faire diversion et attirer sur lui beaucoup de monde.“ (Corespondance de Napoleon. XXXV, 295).

sonii i na Szląsku, były pełne niepokoju i oglądania się co chwila, co zrobi przyczajony koło Krakowa, zbrojący się na gwałt, pomnażający swe siły nowym rekrutem, organizujący się szybko i dobrze, ks. Poniatowski. Zrazu korpus polski, w większej części złożony z nowo zaciągniętego rekruta, na pół ubrany w siermięgi chłopskie i niewyćwiczony, nie wydawał się być groźnym. Ale miał on kadry starego żołnierza i wkrótce przy rześkiej i energicznej czynności ks. Józefa, przybrał postawę wojskową, a wiemy, że w parę miesięcy później dzielnie walczył na polach Saksonii.

W ogólności pobyt wojska polskiego w Krakowie niepokoił mocno nieprzyjaciół. Zasłonili się od niego słabym korpusem Sackena, ale to raczej dla formy, niż dla rzeczywistej obrony, bo korpus ten był nieliczny, zaledwie podobno 6,000 ludzi liczący i z samych rekrutów złożony [1]), którzy w żadnym razie nie

[1]) Kutuzow, stając na granicy Księstwa, liczył podobno wszystkiego 35,000 (*Bignon* l. c. 215). Z tego musiał część wysłać dla obserwacyi Modlina i Zamościa, część zostawić w Warszawie, część oddać Sackenowi, a z resztą ruszyć ku Kaliszowi. Sacken więc w najlepszym razie nie mógł liczyć

mogli podołać staremu rdzeniowi wojska polskiego, opartego na kraju i licznych fortecach z mocnymi garnizonami. A przytem siły polskie z każdą nieomal chwilą wzrastały. Rezydent francuski *Bignon* pisze [1]): „przez linię

jak 6,000 ludzi. *Kołaczkowski*, Wspomnienia II, 6, powiada, że generał rosyjski miał pod sobą jeden pułk piechoty (3,200) i jeden pułk jazdy (1,200) jeden pułk kozacki (1000 koni), 4 baterye konne (600 ludzi i 32 armaty), razem więc 6,000 ludzi. Zdaje się, że cyfra ta jest najbardziej zbliżoną do prawdy, choć wiadomo, że Sacken brał rekruta w Księstwie. P. *S. Askenazy* (Józef Ks. Poniatowski, 223) twierdzi, że Sacken „przewyższał kilkakrotnie szczupłe siły polskie," że „miał przy sobie trzy dywizye piechoty, 8 tysięcy jazdy, 60 dział, nadto wsparty został świeżo przez cztery pułki piechoty". Zkąd p. Askenazy zaczerpnął tych wiadomości, nie wiemy, bo zródła nie cytuje; zaznaczyć wszakże należy, że nie zgadzają się one ze znanemi nam podaniami. *Kołaczkowski* wymienia szczegółowo siły Sackena, inni także obliczają go na 6,000 ludzi, skąd więc z jednego pułku piechoty u p. *Askenazego* urosły trzy dywizye, a z paru tysięcy jazdy aż 8,000 koni, nie wiemy. Gdybyśmy zresztą przyjęli obliczenia niektórych, że Sacken miał mieć 15 tysięcy ludzi, to nawet w takim razie dla 20 tysięcy Poniatowskiego (wraz z korpusem saskim Gablentza i 800 Francuzami), nie mógł on być zbyt groźnym.

[1]) L. c. 290.

austryacką, zamykającą nas w Krakowie, codziennie przybywali rekruci z departamentów, przez Rosyą zajętych. Gdzieindziej dezerterowie nie używają takich wybiegów, aby zbiedz ze swoich pułków, jakich używali rekruci polscy, aby się do nich dostać. Korpus ks. Poniatowskiego mógł był w krótkim czasie skompletować swoje szeregi, gdyby brak funduszów w skarbie księstwa i powolność w nadesłaniu ich z Francyi, nie były przeszkodą w umundurowaniu i uzbrojeniu garnących się ochotników". Świadczy to, bądź co bądź, o niewygasłym jeszcze entuzyazmie narodowym, a na takiej podstawie się opierając, można było wiele zdziałać. Rozumieli to doskonale nieprzyjaciele i starali się wszelkimi sposobami jeżeli nie zniszczyć maleńkiej armii polskiej, to przynajmniej uczynić ją nieszkodliwą. Ze wszystkich stron też czyniono wodzowi polskiemu najrozmaitsze propozycye, co dowodzi jak wielką wagę i jak doniosłe znaczenie przypisywano tej garści zbrojnego żołnierza polskiego. Ks. Adam Czartoryski w d. 15 kwietnia pisał z Warszawy do ks. Józefa w imieniu Cesarza Aleksandra, donosząc, że ten ostatni, „chce, aby jego wojska działały powolnie przeciw korpusowi

polskiemu, aby go oszczędzić i zachować. W tym celu Cesarz chciałby, aby zostało zawarte tajemne zawieszenie broni między tym korpusem a oddziałem jenerała Sackena.“ Ze swej strony ks. Czartoryski tak przedstawiał położenie armii polskiej: „może się ona chwycić trzech dróg: albo cofnąć się do Galicyi, albo rzucić się naprzód z działaniem zaczepnem, albo zawrzeć zawieszenie broni z Rosyą“. Z tych trzech dróg pierwsza jest najzgubniejszą, bo Austrya, „jest przejęta najgorszemi intencyami względem Polaków.“ Rozpaczliwy środek rozpoczęcia wojny, jest nieskończenie lepszy od odwrotu przez kraje austryackie. „Będzie to czyn rozpaczy, pisał Czartoryski, ale przynajmniej zginie się po bohatersku.“ Zawarcie zaś rozejmu z Rosyą, wydawało się dyplomacie polskiemu najodpowiedniejszem. W każdym razie radził zostać w kraju. „Przestańmy, pisał do Mostowskiego i Matuszewicza, być narzędziem w ręku innych. Czego mamy pragnąć? Jeżeli Francuzi odniosą zwycięstwo, skorzystają z niego, by zawrzeć pokój, zadowoleni z utrzymania konfederacyi Reńskiej nas opuszczą. Gdyby nawet zwycięstwo pozwoliło im wrócić do nas, czyż można przypuszczać by przekroczyli Niemen?

A co się stanie z krajem, gdy Rosyanie cofną się, ścigani przez Francuzów? Pamiętajcie, że jesteście wszyscy już na pół skompromitowani, i że najgorszą rzeczą jest niewybrać żadnej drogi. Zresztą wątpliwem jest, by powodzenie Francuzów było stałem. Zachowanie Krakowa na znaczenie stanowcze, czy Francuzi czy Rosyanie górę wezmą. A przy pomocy rozejmu będzie można zachować Kraków, zostać w kraju, nie błąkać się bez dachu“ [1]).

Takiemi były propozycye rosyjskie. Prusacy ze swej strony także nie zasypiali gruszek w popiele. Wysłali oni potajemnie księcia Antoniego Radziwiłła do Krakowa, z propozycyami pozornie jak najkorzystniejszemi tak dla samego ks. Józefa, jak i dla Polaków, byle połączyli się z koalicyą przeciw Napoleonowi, lub rozpuścili swe siły [2]). Na szczęście

---

[1]) Listy te wydrukował *S. Askenazy*, 315 i nast. Przypiski. Czytaj też u *Bignona* l. c. 263, list Cesarza Aleksandra z Leipun z d. $^{1}/_{13}$ stycznia 1813 r. do ks. Czartoryskiego.

[2]) Jakiemi właściwie były propozycye ks. Antoniego Radziwiła, dokładnie nie wiemy. *Prądzyński.* Czterej ostatni wodzowie polscy p. 63, powiada, że proponowano ks. Józefowi odegranie haniebnej

ks. Józef propozycyi tych nie posłuchał, bo naprzód nie byłyby one prawdopodobnie nigdy dotrzymane z chwilą, gdy korpusik polski wcielony do koalicyi, przestałby być dla niej groźnym i zniknąłby w ogromnych masach wojsk związkowych; z drugiej honor polski nie pozwalał na takie haniebne postąpienie Polaków, względem dotychczasowego ich dobroczyńcy i wskrzesiciela.

Austrya, jakeśmy to już wspomnieli, niepokoiła się mocno korpusikiem polskim i najrozmaitsze czyniła zabiegi, ażeby się go jakim sposobem pozbyć. W Wiedniu wiedziano o propozycyach pruskich i rosyjskich, przejęto nawet list Czartoryskiego i Cesarza Ale-

---

roli Yorka, przyłączenia się do koalicyi. Utrzymuje on dalej, że obiecywano zneutralizowanie Zamościa i pewnej okolicy kraju koło niego, gdzie ks. Józef miał ściągnąć swe siły i oczekiwać na rozwój wypadków. To samo twierdzi *Roman Sołtyk* „Relation de la campagne de 1809.“ Notice sur le prince Poniatowski p. 15. O ile to jest prawdą, nie wiemy. Ani *Bignon* ani *Askenazy* nie przytaczają treści propozycyi pruskich, które zresztą nie miały żadnego powodzenia. Ks. Józef je odrzucił i Radziwił pod eskortą żandarmów musiał natychmiast, na żądanie Bignona, wyjechać z Krakowa.

ksandra [1]), i jak zapewnia Bignon [2]), „naczelnik gabinetu wiedeńskiego ze łzami w oczach mówił do ambasadora francuskiego o projekcie rosyjskim odbudowania Polski, i utrzymywał, że Austrya prędzej da się pogrzebać, niżby na to zezwolić mogła“. Wobec tego wszystkiego uważano, że najlepiej będzie dla interesów austrackich, gdy korpusik polski albo zostanie rozpędzony, albo wyniesie się z Krakowa na złamanie karku, gdyż tym sposobem przerwie się wszelkie jego rokowania z Prusami i Rosyą. Generał Frimont, następca ks. Schwarzenberga w dowództwie austryackiego oddziału posiłkowego, ciągle się cofał, a jego wojsko grabiło po drodze wszelkie zapasy żywności, w tym zapewne celu, ażeby skupione koło Krakowa wojsko polskie

---

[1]) Czartoryski list Mostowskiego i własny wysłał do cesarza Aleksandra w Grudniu 1812 r. przez swego sekretarza Kluczewskiego. Ten, wracając z odpowiedzią w połowie stycznia 1813 r. do Lwowa, gdzie wówczas bawił ks. Czartoryski, został schwytany przez władze austyackie we wsi Klekowie, niedaleko Brodów. Na skutek skargi Czartoryskiego posłańca wypuszczono, listy mu oddano, ale wprzódy je przeczytano.

[2]) L. cit. p. 262.

ogłodzić. Austryacy rozsiewali najpotworniejsze wieści, przeszkadzali poborowi rekruta, lub rozpędzali formujące się oddziały. Napróżno ks. Józef upominał Frimonta, ażeby się nie cofał; ten wykręcał się rozmaitymi sposobami, wreszcie naciśnięty mocniej odrzekł z otwartością, godną zaiste lepszej sprawy: „mogę was zasłonić, ale pomagać wam nie mogę. Jeżeliby przyszło do starcia między Rosyanami a wami, umywam od wszystkiego ręce.“ W ogólności Austryacy nadzwyczajnie byliby zadowoleni, gdyby Rosyanom udało się rozbić i zniszczyć korpus polski, ale, jak wiemy, Cesarz Aleksander, zawiązując tajne z Polakami rokowania, nie bardzo tego sobie życzył, choć ostatecznie gdyby się to stało, z pewnością nie byłby się gniewał wcale.

Wśród tego wszystkiego zdarzyło się, że niewielki oddziałek saski, 1,000 ludzi liczący, pod wodzą generała Gablenza, nie mogąc dostać się do Saksonii, przyłączył się do korpusu polskiego i zatrzymał się w okolicach Krakowa. Król saski, Fryderyk August, który już wchodził w porozumienie z Austryą, zażądał od tej ostatniej, aby oddziałowi Gablenza pozwoliła przemaszerować do ojczyzny

BIBLIOTEKA Główn. Szpitala Wojsk. Ujazdowskiego

przez swoje dzierżawy [1]). Gabinet wiedeński skorzystał z tej okoliczności i zaproponował królowi saskiemu, jako księciu warszawskiemu, ażeby rozbroić korpus polski. Metternich, „przewidywał słusznie, (pisze Bonnefons), że taki fakt, na który król się może zgodzić, rozgniewa Napoleona, i że ten ostatni będzie miał pretekst odebrania swemu sprzymierzeńcowi państwa, którego armii nie potrafił obronić. Stąd nieunikniony skutek: zniesienie Księstwa. Dla tego to nalegał bardzo zręcznie na konieczność rozbrojenia wojska polskiego i saskiego, którym przecież niemożna dozwolić, ażeby z bronią maszerowały przez terytoryum monarchii austryackiej, gdy ta, będąc pośredniczką, winna we względzie wojskowym pozostać ściśle neutralną. Czyż bowiem nie byłoby to pogwałceniem tej neutralności, mogącem wywołać wojnę z Rosyą, gdyby na coś podobnego pozwolono?“

Książę Józef atoli inaczej patrzył się na rzeczy; o rozbrojeniu mowy nawet być nie mogło, w czem miał zupełną słuszność, czego zresztą Napoleon stanowczo mu zabraniał. Przytem wódz naczelny polski uważał się za

[1]) *A. Bonnefons,* Un alié de Napoleon, 408.

nic innego, jak tylko za wiernego sługę Napoleona i jedynie troszczył się o to, by zachować honor oręża polskiego. Ten pogląd na rzeczy, posunięty do ostatnich granic, popchnął go na błędną drogę, gdyż na innej znajdował się ten honor, a daleko większa chwała i większy pożytek dla Napoleona, a nadewszystko dla Polski.

Cóż więc miał czynić? Dwie były tylko alternatywy. Skoro nie chciał i nie mógł przyjąć proponowanej mu przez Prusaków haniebnej roli Yorka i przyłączenia się do koalicyi, to, albo pójść do Napoleona i zwiększyć wojskiem polskiem jego siły, albo pozostać na miejscu i w groźnej a zbrojnej postawie czekać na rezultat rozgrywających się wypadków. W tym ostatnim razie, czy jednak nie można było z propozycyi sprzymierzonych skorzystać, by, zachowując z jednej strony honor oręża polskiego, z drugiej przynieść pożytek upadającej ojczyźnie?

Otóż na pytanie to odpowiadamy twierdząco. Prusacy proponowali ks. Józefowi, aby skoncentrował się koło Zamościa i tam czekał, nie biorąc żadnego udziału w rozgrywającym się dramacie. Rozpatrzmy bliżej tę propozycyę. Przypuściwszy, że bieg wypad-

ków byłby taki sam, jaki w rzeczywistości nastąpił, że Napoleon ostatecznie został pokonany i zwycięzcy monarchowie zebraliby się na kongres w Wiedniu. Gdyby ks. Józef był wtedy pod Zamościem na czele sił polskich, które wprawdzie w r. 1813 pod Krakowem wynosiły około 18 tysięcy (bez Gablenza i Francuzów), ale przez te dwa lata mogły urość znacznie, dosięgnąć przy pewnych wysiłkach, koniecznych ze względów na los kraju, jakich 50, może nawet 60 tysięcy ludzi, to jest armii nienaruszonej, wyćwiczonej, opartej o twierdze Zamościa, Pragi, Serocka i Modlina, to armia ta i jej wódz wcale inaczej na tym kongresie reprezentowałby Polskę i jej życzenia, niż ks. Czartoryski. Wtedy wnioski i propozycye kilkudziesięciu tysięcy bagnetów i szabel, inaczej byłyby słuchane i musiałyby być uwzględnione.

Ale nawet zatrzymanie się ks. Józefa w kraju, dla Napoleona samego przedstawiało o wiele większą korzyść, niż przyprowadzenie doń szczupłego, kilkunastotysięcznego korpusiku polskiego. „Bo ks. Poniatowski, stojący pod bronią w Zamościu, powiada zna-

komity strategik [1]), byłby przymuszał koalicyą trzymać na obserwowanie jego i Polski, gotowych każdej chwili bryknąć, większą siłę, niżby ją był liczył książę w szeregach. O tyle przeto zmniejszyłaby się liczba nieprzyjaciół, których Napoleon miał do zwalczenia.“

Najrozumniejszem, najlepszem więc w swych skutkach, przy zachowaniu wierności dla Napoleona i niesienia mu pośrednio najpożądańszej pomocy, było pozostać w kraju i czekać. Wszelako znając ówczesne usposobienie umysłów w Polsce i w szeregach jej wojska, kult dla Napoleona i pojęcie honoru żołnierza, niepodobną było rzeczą, ażeby Polacy, gdy krwawe toczyły się boje o losy Europy i o losy Polski, stali z założonemi rękami, jako niemi widzowie rozgrywającej się przed nimi tragedyi. To było niepodobieństwem i tegoby z polskim żołnierzem nikt, a więc i ks. Józef nie zrobił. Cóż więc czynić należało, tak aby przedewszystkiem uwzględniony był prawdziwy interes? oto pozostać w kraju, walczyć, zwyciężyć lub zginąć!

Czy jednak ta ostatnia, taka heroiczna

---

[1]) *J. Prądzyński*, Czterej ostatni wodzowie p. 64.

śmierć na ruinach ojczyzny była naprawdę możliwą i nieuniknioną?

Jak powiedzieliśmy, ks. Józef zebrał w Krakowie po pogromie rosyjskim około 20 tysięcy wojska [1]), z czego trzeba odtrącić 2,500 Sasów, którzy na rozkaz króla mieli wrócić do Saksonii. Pozostało więc 17 do 18 tysięcy ludzi. Była to garstka, ale w części złożona ze starego żołnierza, stanowiącego wyborne kadry na uformowanie sześćdziesięciotysięcznej co najmniej armii. „Doskonałe punkty oparcia, powiada Prądzyński [2]), zapewniały księciu: Częstochowa, Zamość, Modlin, Toruń [3]), Gdańsk, Szczecin, Głogów, Kistrzyń.

---

[1]) Miał 18,000 Polaków, 2,500 Sasów (oddział Gablenza) i 800 Francuzów, którzy zdołali z Rosyi przedrzeć się aż do Krakowa; razem więc 21,300 ludzi. Patrz: *Bignon*, l. c. 292 (przypisek).

[2]) L. cit. p.

[3]) *Bignon* l. c. 235 pisze o Częstochowie że „warownia ta nie łatwą jest do wzięcia; że trzeba było ciężkiej artyleryi i robót oblężniczych dość trudnych, ażeby zająć punkt, z któregoby można bić mury, co wszystko wymagało czasu i rozdwajało siły nieprzyjacielskie.“ Mimo to, w skutek nieudolności komendanta, twierdza ta d. 15 marca, a więc jeszcze przed wyjściem ks. Józefa z Krakowa, wpadła w ręce Sackena, jak również i Toruń.

Te wszystkie fortece, licznemi osadzone garnizonami, zawierały prócz tego olbrzymie zapasy amunicyi i żywności, nagromadzone dla wojny z Rosyą. Prócz tego Modlin i Zamość [1]) miały garnizony polskie, których klęski kampanii r. 1812-go nie dotknęły. Była więc dla księcia możność wzmocnienia się tymi garnizonami, zastępując je ruchawkami w kraju wybranemi.“

Dodać do tego trzeba, że w kraju prawie nie było nieprzyjaciela. Z Rosyi spędzadzano dopiero rekrutów, zwożono na kibitkach efekta i organizowano ową armię rezerwową, której dano nazwisko armii polskiej, a która dopiero wystąpić mogła na dzień tryumfu Lipskiego. Gdyby ks. Józef był się rzucił z pod Krakowa ku Warszawie, byłby tę ru-

[1]) W Zamościu dowodził generał Maurycy Hauke, mając garnizon przeszło 3,000 ludzi. Rosyanie pod tą fortecą mieli 10,000 ludzi i 68 dział, pod wodzą generała v. Rath. (*A. Rembowski*, Spadek piśmienniczy po generale M. Hauke p. 224). Hauke poddał twierdzę po wyczerpaniu wszelkich środków obrony, gdy jeść już nie miał co, dopiero d. 25 Listopada 1813 r. Garnizon Modlina składał się z kilku batalionów nowego zaciągu i 1500 Sasów. Komendantem był generał francuski Daendale, Holender rodem.

chawkę rozpędził i pozbawił koalicyę tego ostatka sił, które, kto wie, czy nie rozstrzygnęły losów Napoleona na polach Lipska. Chcąc jednak wykonać ten plan, trzeba było przedewszystkiem znieść korpus Sackena, a w ostateczności nie chcąc ryzykować wszystkiego na samym wstępie przez wydanie bitwy Sackenowi, można go było obejść, odskoczyć ku Modlinowi i tu zorganizować ogólne powstanie. Wreszcie chcąc tego wszystkiego uniknąć, można było skorzystać z propozycyi pruskich, pomaszerować do Zamościa, tam pomnażać swe siły i czekać z bronią u nogi na rezultat wypadków.

Ale ks. Józef tego wszystkiego nie uczynił, nie powtórzył świetnego, rycerskiego przykładu ze swej własnej kampanii w r. 1809. W Krakowie miał otoczenie albo bezmyślne, albo złe. Szef jego sztabu, generał Rożniecki, był bardzo światłym i bardzo rozumnym, ale miał charakter nikczemny i duszę poziomą, niepolską. Taki człowiek nie mógł dawać rad i pomysłów w wielkim stylu. Wśród ministrów Księstwa, którzy za wojskiem pociągnęli do Krakowa, byli tacy jak Matuszewicz, myślący już o kapitulacyi, były głowy słabe i mierne. Były rozmaite wpływy, jedne mo-

że natur lękliwych, drugie nikczemnych, dość, że wódz polski rzucił Kraków i puścił się na drogę, na której stracił jedyną sposobność wpłynięcia w sposób stanowczy i korzystny na losy kraju i sam znalazł śmierć bohaterską w nurtach Elstry. Że tym razem pojmował choć w części doniosłość takiego lub innego postąpienia, świadczy jego śmiertelne wahanie się w Krakowie, świadczą jego słowa o Bogu, który mu powierzył honor Polaków, świadczy nakoniec to, że rankiem w dniu wymarszu z Krakowa, o mało nie targnął się na swe życie [1]). Wśród wojskowych, zgro-

---

[1]) *Koźmian*, Pamiętniki II, 122 tak to opowiada: „dnia, którego ks. Józef miał wychodzić z Krakowa, przyszedł do niego Linowski rano i zastał go w łóżku. „Cóż, rzekł, książe wychodzisz, porzucasz nas i ojczyznę? zastanów się jeszcze raz, czy nie zepsujesz naszej sprawy i nie narazisz siebie, wojska i ojczyzny na zgubę.“ Książe odpowiedział mu z żywością: „słuchaj, widzisz te pistolety, które koło mnie leżą? dziś w nocy dwa razy miałem je w ręku i chciałem się zastrzelić, aby wyjść z tak trudnego położenia, ale nakoniec wziąłem determinacyę: nie odstąpię Napoleona.“ — „Więc książe odstępujesz Ojczyznę!“ zarzucił mu Linowski. On z mocnem wzruszeniem odrzekł: „Nie chcę i ojczyzny bez honoru“ Z tej rozmowy, o ile ona

madzonych w Krakowie, bardzo żywo dyskutowano o owym marszu do wojsk francuskich, wielu wypowiadało myśl pozostania w kraju. Myśl ta zresztą sama się niejako narzucała każdemu głębiej myślącemu. Przypominamy słowa listu ks. Czartoryskiego, który uważał wprawdzie taki krok za „czyn rozpaczy“, ale bądź co bądź najgodniejszy Polaków. Taką samą opinię żywiło wielu niższych wojskowych, głośno nawet się z nią odzywało [1]). Z Warszawy zgłosił się do wodza naczelnego gwardyan bernardynów warszawskich wraz z pułkownikiem Boguckim, przysłani przez

---

jest autentyczną, ten tylko wniosek wyciągnąć można, że ks. Józef dla jakiegoś urojonego pojęcia o honorze, pojęcia z gruntu fałszywego, poświęcał przyszość i los kraju.

[2]) *Bignon* l. c. 322. ks. *Eustachy Sanguszko* (Pamiętniki 136) pisze: ile tylko miałem wstępu do ufności księcia, (Józefa) tyle starałem się skłonić go, by zbiwszy wszystkie siły, ruszył naprzeciwko generałowi Sackenowi“ ...„Przekładałem księciu, że zawiedzeni i w tej kampanii na dobrych chęciach Napoleona, do naszego dobrego bytu tylko sami dążyć mamy wolność i prawo. Tym obrotem mogliśmy, podług wypadków, lub dalej układać się z Francuzami, lub zasłużyć zbrojną postawą na uwagę Rosyi i na oddzielny układ.“

tamtejszych patryotów, ażeby „czynić osobno i narodowie bez oglądania się na Francyę“ [1]), to znaczy, aby ruszyć zbrojno z Krakowa w głąb kraju i rozpocząć samodzielną akcyę zaczepną. Nie dość na tem. W d. 29 kwietnia zebrana w Krakowie rada ministrów oświadczyła ks. Józefowi, że „powszechne życzenie, stan obecny rzeczy, dobry duch i za-

[1]) Kronika emigracyi polskiej (Paryż 1837 r.) V, 260. Autor, Orchowski, pisze: „wojsko niedrobne pod wodzą Poniatowskiego, twierdze Gdańsk, Modlin, Zamość, liczną zajmowały obronną siłę. Postanowiono z rzeczy takowych położenia korzystać. Na początku lutego 1813 r. w Warszawie zebrano się i uradzono czynić osobno i narodowie, bez oglądania się na Francyę. Urządzenia, odezwy były przyjęte. A z temi pułkownik Bogucki z gorliwym przeorem X X Bernardynów, kapłanem dawniej legionowym we Włoszech, do Poniatowskiego, w okolicach Krakowa z wojskiem narodowem stojącego, był wysłany, aby pod mury Zamościa tenże wódz starał się wszelkie siły zgromadzić. Posłańcy z wezwaniem szczęśliwie przez moskiewskie posterunki przebyli. Ale Poniatowski do boju waleczny, do przedsięwzięć podobnych mało zdatny, odpowiedział, że rozkazy od Napoleona odebrał, wojsko polskie przez czeską ziemię prowadzić.“ „—mówię o tem (dodaje Orchowski) z świadomości, bo czynny byłem w naradach.“

pał wojska, tudzież ostatnie układy w Wiedniu, podług których może działać osobno, zdają się być mocnemi pobudkami do skłonienia go, aby jeszcze pozostał na lewym brzegu Wisły, z czego także mogłaby wyniknąć wielka korzyść dla sprawy powszechnej przez czynienie dywersyi w tyle nieprzyjaciela“. Rada zwracała uwagę wodza polskiego, że długi marsz przez kraje niemiekie, może zmniejszyć liczebność korpusu polskiego (jak się w rzeczy samej stało), i „pociągnąć za sobą takie skutki, jakieby mogła sprawić strata ludzi w bitwie z nieprzyjacielem“. Na to ks. Józef odpowiedział, że gdyby uparł się przy Krakowie, „zostałby sam odosobniony“ i że „wojska rosyjskie w tej stronie, połączone z Prusakami, są w nierównie większej od niego sile, że mają przeważającą artyleryę, kiedy on mało co posiada amunicyi, mianowicie działowej“; że „skład jego korpusu jest taki, iż mimo najlepszego ducha i zapału, jaki go ożywia, niepomyślny wypadek bitwy mógłby go dezorganizować zupełnie“; że „gdyby szło tylko o osobiste wystawienie się jego, wodza, nie wahałby się ani chwili z poświęceniem osoby swojej, lecz tu idzie o zachowanie korpusu na większy pożytek

sprawy powszechnej i własnej ojczyzny“. Rada ministrów, wobec tych twierdzeń ks. Józefa, cofnęła swoją uchwałę i zgodziła się na odwrót do Saksonii [1]). Nikomu więc, tylko wodzowi naczelnemu należy przypisać to z wielu względów zgubne postanowienie i na nikim, tylko na nim ciąży za to odpowiedzialność przed historyą i narodem [2]).

---

[1]) *Askenazy* l. c. 227.

[2]) Nie jest to wyłącznie nasza opinia. Widzieliśmy, że wielu współczesnych ją głosiło. Głosi ją znakomity strategik polski *Prądzyński*, w swem dziele „Czterej ostatni wodzowie polscy,“ głosił ją generał *H. Dąbrowski*, który powiada o ks. Józefie, że w tym wypadku „więcej myślał o swej sławie jak o dobru narodu,“ głosi ją sumienny i duchem polskim przesiąknięty historyk *T. Korzon* (Kościuszko 526) mówiąc, że ks. Józef w Krakowie zachował się „nie jako wódz siły zbrojnej narodu polskiego, lecz jako oficer, jako sługa wierny i honorowy zdobywcy „Napoleona“; głosi ją *Maurycy Mochnacki*, (Powstanie nar. pol. I, 6) w słowach: „wypadało nam więcej rachować na własne siły, i gdy temu sprzyjały okoliczności, potężniej się utwierdzić we własnej ziemi, nie zaś tak ślepo przywiązywać się do szczęścia, a potem do przeciwnego losu francuskiego bohatera.“ Tym dziwniejszym wobec tego wydaje nam się hymn pochwalny, jaki wyśpiewał p. *Askenazy* l. c. 228 dla tego kroku

Bądź co bądź zapłacił tę decyzyę krwią swoją. Nie jest to jego winą, że miał umysł słaby, że nie dorósł do wysokości wielkich wypadków, w jakie wciągnięty został. Dwa ra-

---

ks. Józefa. Zapalny i niezrównoważony ten historyk utrzymuje, ze w takiem postąpieniu wodza polskiego „był nietylko honor i sumienie prywatnego człowieka, lecz była oraz prawda, była mądrość był nieomylny imperatyw interesu i dobra publicznego," że ks. Józef „stawał się w tej chwili najpierwszym obywatelem, który z powszechnej ruiny siły materyalnej, wynosił ocaloną siłę moralną," i ze „całopalne postanowienie polskiego wodza rzuciło realną podstawę pod Królestwo Kongresowe."

Oczywiście trudno się dziś sprzeczać, jaki byłby wynik pozostania korpusu polskiego w kraju wobec spełnionych i niepowrotnie minionych faktów. Ale niepodobna dojrzeć w odwrocie ks. Józefa do Saksonii „prawdę, mądrość, nieomylny imperatyw interesów dobra publicznego." Że ks. Józef nie kierował się w tym razie interesem i dobrem publicznem, ale jedynie wybujałym honorem żołnierskim, to, zdaniem naszem, nie ulega wątpliwości. Zdrowa, polska opinia narodu wtedy i dziś utrzymywać musi, że „interes i dobro publiczne" wymagało z ostatkiem siły zbrojnej zostać w kraju i bronić go do upadłego, a nie pędzić za Napoleonem, który nigdy a wtedy wcale nie myślał o Polsce, tylko o sobie wyłącznie. Staraliśmy się tego dowieść powyżej w naszych rozmyślaniach.

zy miał w swym ręku losy Polski, i dwa razy uśmiechem fortuny nie pogardził, ale go nie dostrzegł. Rezultatem ostatniego jego błędu był nowy podział kraju (Prusy zabrały całe Księstwo Poznańskie) i ze szczątków Księstwa Warszawskiego utworzone zostało tak nazwane przez Mochnackiego „Królestwo Kongresowe“.

Przechodząc do rozpatrzenia czwartej wielkiej wojny o niepodległość, t. j. powstania i kampanii 1831 r. stanowczo możemy powiedzieć, że i tym razem przegrana była winą wodzów i powodem upadku sprawy polskiej. Naród, jak zawsze tak i teraz, wszystko zrobił, co zrobić mógł, ale krótkowidzące lub niedołężne ręce naczelników zmarnowały i ten wysiłek potężny i stosunkowo dość szczęśliwe okoliczności zewnętrzne. Naczelnicy ci, mianowicie: Chłopicki, Skrzynecki i Krukowiecki, oprócz kilku pomniejszych, popełnili cztery kardynalne, śmiertelne błędy, które zadały cios powstaniu i powaliły je ostatecznie. Rozpatrzmy szczegółowo te błędy, a przedewszystkiem postawmy pytanie: czy w ogólności możliwem było wtedy wywalczenie zwycięskie niepodległości? Odpowiedź na to, pierwszorzędnej wagi pytanie, da nam obrachunek sił wojennych polskich i rosyjskich.

Armia polska, w chwili wybuchu powstania, liczyła niespełna 30 tysięcy ludzi pod bronią i 106 dział. Ale organizacya wojska polskiego była tego rodzaju, że siły te można było z łatwością podwoić. Termin służby wojskowej był dziesięcioletni, ale właściwie nikt tyle lat nie przebywał w szeregach. Po sześciu lub ośmiu latach udzielano urlopy, tak że powołując tych urlopowanych można było postawić pięćdziesiąt do sześćdziesięciu tysięcy starego i wyrobionego żołnierza. Z nich to poformowano trzecie i czwarte bataliony w piechocie, oraz piąte i szóste szwadrony w kawaleryi, a te właśnie bataliony i szwadrony były bodaj czy nie najlepsze. Ostatecznie doprowadzono siły armii do 60,000, a z załogami w twierdzach i rezerwami, oraz mnóstwem nowych formacyi od 90 do 100 tysięcy i 140 dział, oprócz tych, jakie znajdowały się na wałach Zamościa, Modlina i Warszawy [1]). Była to więc armia, jakiej Polska

---

[1]) Jakkolwiek nie piszemy historyi powstania i wojny 1831 r. i dla naszego założenia wystarczają cyfry przybliżone, wszelako nie jest bez interesu zestawienie podań historyków tak swoich, jak i obcych, co do liczby wojska polskiego. Zestawie-

przedtem nigdy nie posiadała, bo to co nam historycy opowiadają o siłach, walczących

---

nie to wykazuje, jak dalece niedokładne i różniące się między sobą miano pod tym względem podania.

Barzykowski w swej historyi powstania, opierając się na papierach sztabu polskiego, przechowanych w Paryżu, powiada, że w chwili wybuchu, było pod bronią niespełna 30,000 ludzi. *Mierosławski* takąż samą mniej więcej cyfrę podaje. *Prądzyński* w swym memoryale, napisanym dla Cesarza Mikołaja I-go, zaznacza wyraźnie, że „ogólna liczba żołnierzy, od czasu utworzenia Królestwa Polskiego, nie dochodziła nigdy do 30 tysięcy ludzi, pozostających w służbie czynnej.“ *Chrzanowski* (*F. v. Smitt*, Feldherrn-Stimme, 3) zapewnia, że w chwili wybuchu powstania, wojsko polskie składało się z 29 batalionów piechoty (włącznie z saperami i weteranami) i 36 szwadronów jazdy, 96 dział, z tych 24 artyleryi konnej i kompanii kozłów rakietniczych. *Brzozowski* w książce, skreślonej dla ministeryum francuskiego i ogłoszonej w r. 1833 w Lipsku (La guere de Pologne en 1831) twierdzi, że „cała armia polska z weteranami i żandarmami liczyła 31,000 ludzi.“ *Kołaczkowski* we „wspomnieniach“ swoich (Księga IV) ocenia siły polskie na 31,700 ludzi (26,300 piechoty i 5,400 jazdy). *Leon Dębowski*, w „Moich wspomnieniach“ (tom II) utrzymuje, że siły polskie „wynosić miały przeszło 30 tysięcy ludzi, lecz że zawsze odliczyć należało chorych, inwalidów, weteranów, żandarmów i odkomenderowanych za remontami, do ekstradycyi zbie-

pod Grünwaldem, o stu tysiącach szlachty, pokonywujących kozaków pod Beresteczkiem,

---

gów, tudziesz urlopowanych i do posług wewnętrznych, stan ludzi, istotnie wystąpić mogących do szeregu w chwili powstania wynosił 25,675.“ Widzimy, że różnica z poprzedniemi cyframi jest poważna bo czterech do pięciu tysięcy. *Ryszard Spazier* (Geschichte des Aufstandes des polnischen Volkes in den I. 1830 u. 1831) zapewnia, że armia polska liczyła 30,400 ludzi (20,800 piechoty, 5,400 jazdy 3,000 artylerzystów, 1,200 saperów i żandarmów) i 100 dział. Zjadliwy niemiec rosyjski *Fryderyk v. Smitt*, przepisujący po większej części Spaziera, Brzozowskiego i Prądzyńskiego w swem dziele (Geschichte des polnischen Aufstandes u. Krieges in den. I. 1830 n. 1831), wydanem w Berlinie w r. 1848, ocenia siły polskie na 35,000 (26,100 piechoty, 6,800 jazdy i 2,100 artylerzystów). Wreszcie *Puzyrewski* (Wojna polsko-ruska (tak!) 1831 r.) utrzymuje, że ogólna ilość wojska polskiego wynosiła 35 tysięcy ludzi (28,000 piechoty i 7,000 jazdy). Tajemniczy autor „zajmujący wyższe stanowisko w urzędzie,“ jak się zdaje, Rosyanin, w książce p. t. „powstanie nar. polskiego w świetle krytyki mocarstw europejskich,“ ocenia siły polskie (p. 8) na 26,000 piechoty, 6,800 jazdy i 106 dział. Różnice między podaniami polskiemi a obcemi są znaczne. Wyłączając Dembowskiego, który zanadto nizko ocenił siły polskie (nie wliczył on, jak inni, weteranów i żandarmów) wszyscy mniej więcej zgadzają się, że armia nie liczyła więcej nad 30,000. Skąd Smitt i Pu-

o takiejże ilości wojska, bijącego się z Karolem Gustawem przez trzy dni pod Pragą,

---

zyrewski wzięli cyfrę 35,000, nie wiemy, zdaje się że obrachowali je według etatu, jaki winno mieć wojsko (900 ludzi w batalionie, 180 koni w szwadronie), ale wiadomo przecie, że żadne wojsko niema nigdy etatowej liczby w szeregach, że zawsze znajdują się chorzy, zbiegli, wysłani gdzieś i t. p. Wobec tych wszystkich danych, przyjmujemy cyfrę wojska polskiego w chwili wybuchu na 30,000, i zdaje się że nie bardzo od istotnego stanu rzeczy się oddalimy.

Co się zaś tyczy zwiększenia tej armii przez władze powstańcze, niemniej poważne spotykamy sprzeczności. *Prądzyński* nie daje cyfr ścisłych. Oblicza on zwiększoną piechotę na 42 bataliony i 120 dział, z których 48 wielkiego kalibru. *Brzozowski* ogólną ilość wojska liczy na 54 bataliony 107 szwadronów i 136 dział, ale z tej cyfry tylko 42 bataliony i 66 szwadronów właściwie stawało do boju, reszta bowiem tworzyła albo załogi fortec albo odrębne oddziały, albo była dopiero w formacyi. Armia więc czynna (rachując 850 ludzi w batalionie i 160 koni w szwadronie) wynosiła 49,260 do 50 tysięcy ludzi. Ogółem więc, według obrachunku Brzozowskiego, stało pod bronią 76 do 77,000 ludzi. *Kołaczkowski* inaczej oblicza i podnosi ogólną siłę polską do 98,100 ludzi. Piechoty miało być 89 batalionów (po 800 ludzi), jazdy 127 szwadronów (po 150 koni) artyleryi dział 150. Cyfry te są zbyt wysokie i Kołaczkowski widocznie bierze w rachubę wszystkie zaczęte lub zamierzone formacye,

jest oparte na podaniach bardzo nieścisłych, nieuzasadnionych żadnymi dokumentami autentycznemi, na obliczeniach wreszcie przybliżonych. Jakkolwiek relacye o armii pol-

---

które albo nie doszły do skutku, albo w znacznie mniejszej sile wystąpiły do boju. *Dembowski* zapewnia, że doprowadzono armię do 70,761 (piechoty 51,133, jazdy 15,312, artyleryi 3770 i pozasłużbowych 264) i dział 132. *Spazier* biorąc w obrachunek wszystkie nowe formacye, oraz gwardyę ruchową, oblicza siły polskie na 130 tysięcy ludzi, ale zaraz powiada, że na linię bojową mogło wystąpić tylko 64,000 ludzi (43,500 piechoty, 17,000 jazdy i 4000 artylerzystów ze 136 działami). *Smitt* oczywiście skorzystał z tego przesadzonego rachunku Spaziera i także oblicza ogół wojska polskiego na 130 tysięcy, z którego przeszło 80,000 wyprowadza na linię bojową (66 batalionów, 118 szwadronów) i 142 działa. *Puzyrewski*, w faktycznych danych dość niekrytyczny, poszedł za tem nieuzasadnionem podaniem i powiada, że armia polska liczyła 130 do 140 (??) tysięcy, ale że wyprowadzić w pole mogła nie więcej nad 60,000,

Takiemi są te sprzeczne podania, których oczywiście pogodzić nie będzie można, dopóki nie będą ogłoszone papiery sztabowe polskie. Co do nas, kombinując te relacye, przyjmujemy liczebność armii polskiej na 90 do 100,000 a w tej, która występowała do boju—na 60,000, i w gruncie rzeczy, nie wiele zapewnie różnimy się od cyfr istotnych,

skiej z 1831 r. także nie grzeszą ścisłością, wszelako nie mogą się wiele różnić od istotnej liczby walczących, i cyfra 90 do 100 tysięcy nie wydaje nam się przesadzoną. Był to więc olbrzymi wysiłek narodowy, jakiego nigdy wielka i cała Rzeczpospolita dawna nie dokonała. Dodajmy, że żołnierz w ogólności, zwłaszcza w starych pułkach, był wyborny, wyćwiczony, dzielny, mężny i ożywiony gorącym zapałem. Uzbrojenie tylko nie wystarczało dla wszystkich nowych formacyi, część ich aż do końca stawała w szeregach z kosami. Doskonały znawca przedmiotu i Rosyanin, generał Puzyrewski, w swem dziele o wojnie 1831 r. taką ocenę wojska polskiego daje [1]): „armia polska odznaczała się w boju zarówno gwałtownością ataku, jak i waleczną wytrwałością obrony. Całe pułki stare ginęły na miejscu, nie cofając kroku (pułk 4-ty pod Ostrołęką); nowozaciężni zaś, ożywieni zapałem, starali się walczyć o lepsze ze starymi żołnierzami. Czynna jazda polska była bardzo dobra, mianowicie piąte i szóste szwadrony, ale nieliczna; nowe pułki znacz-

[1]) „Wojna polsko-rosyjska“ (przekład polski wydanie M. Orgelbranda), p. 29.

nie ustępowały starym, jako mniej wyćwiczone i dobrych koni nie posiadające; to też Polacy chętnie do bitew obierali miejscowości nierówne, któreby paraliżowały działalność wybornej jazdy rosyjskiej. Artylerya pod względem składu i zapału, była najlepszym rodzajam broni w armii, ale z powodu braku dział, Polacy cenić je musieli i często zmuszali baterye do przedwczesnego schodzenia z pozycyi.“

Siły rosyjskie przewyższały polskie, ale na razie nie przedstawiały takiej przewagi, by 50 do 60 tysiącami dzielnych i dobrze prowadzonych żołnierzy, nie mogły być pokonane. Według obliczeń polskich wynosiły one 130 do 132 tysięcy, z których na linię bojową mogło wystąpić około 80,000; według autorów rosyjskich liczba wojska nie przenosiła 114 tysięcy. Była to więc przewaga w każdym razie znaczna. Artylerya ciągnęła 336 dział wobec 140 polskich. Z tem wszystkiem jednak, te wielkie stosunkowo siły, rozrzucone były na dużych przestrzeniach, ściągały się powoli, maszerowały od północy, wschodu i południa, i potrzebowały trzech blisko miesięcy czasu, by się skoncentrować, a właściwie dopiero ku końcowi wojny znalazły się

w ścisłym ze sobą związku. Tymczasem Polacy zgromadzeni w punkcie środkowym, w osi tej obszernej peryferyi od Petersburga aż do Wołynia, mogli z siłą 50 tysięcy ludzi, każdej chwili debuszować z Warszawy i rzucać się zwartą masą na rozdzielone korpusy nieprzyjaciela. Pokonanie więc częściowe było możliwem; jakoż parokrotnie takie operacye przedsiębrano, ale albo połowicznie, albo tak nieudolnie, że zamiarów swych niedokonano, a to z winy wodzów. W ogólności, zdaniem naszem, jakeśmy to już zaznaczyli, cztery kardynalne błędy popełniono, a mianowicie:

1. Nie zajęto Brześcia Litewskiego i nie rozbito korpusu Rosena.

2. Dokonano awanturniczej wyprawy na gwardye.

3. Dopuszczono przeprawy Paskiewicza przez Wisłę pod Osiekiem.

4. Zdradziecko poddano Warszawę.

Rozpatrzmy po kolei te błędy i wyszukajmy winnych.

Po wybuchu powstania, w samym jego początku, dwa korpusy nieprzyjacielskie mogły mu zagrażać bezpośrednio. Pierwszym z nich był oddział gwardyi, konsystujący

stale w Warszawie; drugim korpus litewski, będący pod wodzą generała Rosena i rozłożony na szerokich kwaterach w okolicach Wilna, Białegostoku, Grodna i Mińska.

Pierwszy z tych oddziałów składał się z dwóch pułków piechoty gwardyackiej: litewskiego i wołyńskiego, razem cztery bataliony; z trzech pułków jazdy: ułanów, huzarów grodzieńskich i kirasyerów podolskich, wogóle dwanaście szwadronów z garstką kozaków. Artylerya piesza stała w Górze Kalwaryi nad Wisłą, a konna w Skierniewicach i liczyła dział 24. Siły tego korpusu wynosiły około 7,000 ludzi [1]).

Oddział ten, wycofawszy się szczęśliwie z Warszawy, pozbawiony jednak ciepłego ubrania, żywności, pieniędzy, odbywał z W. Ks. Konstantym uciążliwy marsz wśród ostrej pory roku, po drogach błotnistych, ku Wiśle

---

[1]) *K. Forster*, „Powstanie narodu pol.“ 26, oblicza korpus rosyjski na 5425 ludzi (3600 piechoty, 1800 jazdy i 25 artylerzystów, liczby te jednak są niedokładne. *F. v. Smitt*, Geschichte des pol. Aufstandes I, 103 liczy 7000 ludzi. *M. Brzozowski*, La guère de Pologne, 5, rachuje „około 8000 ludzi.“ *Puzyrewski*, „Wojna polsko-ros. 26, liczy 6851 ludzi. Wogóle nikt nie podaje cyfr ścisłych.

górnej do Kozienic, a przeprawiwszy się pod Puławami, szedł na Lubartów, Parczew do Włodawy, by tam Bug przekroczyć. Marsz ten był dość powolny, bo trwał od 3 do 15 grudnia i wojsko znużył i osłabił mocno. W czasie pochodu zmarło wielu żołnierzy z chorób i wycieńczenia, a jeszcze większą liczbę musiano pozostawić na drodze. Konie padały ciągle. Wśród szeregów wlokło się mnóstwo wszelkiego rodzaju wehikułów, pełnych kobiet, dzieci i chorych. W szeregach tych upadek ducha był zupełny, począwszy od naczelnego zwierzchnika, aż do prostych żołnierzy.

Otóż, skoro już porwano się do broni, należało wszystko czynić, co mogło z jednej strony nieprzyjaciela osłabić, z drugiej samo powstanie wzmocnić. Najzwyczajniejszy więc rozsądek nakazywał zniszczenie tego osłabionego i zniechęconego korpusu, posuwającego się leniwie po drogach błotnistych ku Bugowi. Myśl ta głośno była wypowiadana przez wiele osób [1]), domagano się nawet bardzo

---

[1]) W klubie patryotycznym, który wieczorem d. 2 Grudnia zebrał się w salach redutowych, Mochnacki zaproponował między innemi, ażeby

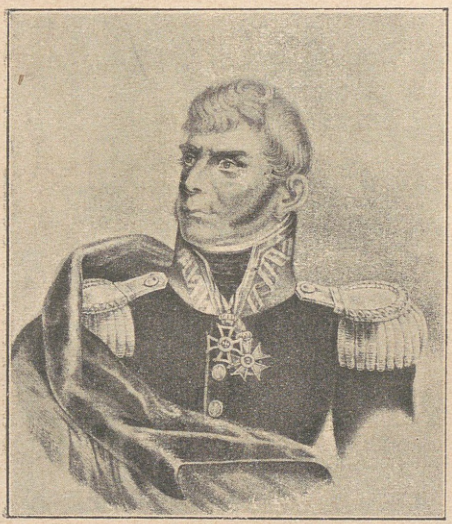
gwałtownie uderzenia na ów korpus, ale oparł się temu ówczesny wódz polski, generał Józef Chłopicki.

Jest to jedna z tych postaci dziejowych, które, zdaje się, posiadają wszystkie dane potemu, by na wieki utrwalić się na kartach historyi w wawrzynie chwały nieśmiertelnej, a jednak wskutek pewnych braków umysłowych lub wad charakteru schodzą do poziomu mierności. Człowiek ten miał w swym ręku losy Polski, a z nią Europy i świata całego, mógł urość na taką postać, którąby stanęła w kształtach śpiżowych obok największych założycieli państw, a jednak wszystkiego tego nie uczynił i stał się jedną z najgłówniejszych przyczyn upadku sprawy, którą los mu powierzył.

W chwili, gdy stanął na czele powstania, liczył lat 59 (ur. 1771 r.), był więc u schyłku wieku męskiego, ale zachował całą rześkość ciała i przytomność umysłu, zahartowa-

---

„generał Chłopicki natychmiast otrzymał rozkaz uderzenia na gwardyę Carewicza, wzięcia ich w niewolę, albowiem nie z Konstantym w Warszawie ale z Petersburgiem w Wilnie układać się nam potrzeba.“ (Czytaj: *M. Mochnacki,* „Powstanie narodu polskiego,“ II, 213. Wydanie berlińskie z r. 1863).



Grzegorz Józef Chłopicki.

Ówcześni wojownicy polscy, jeszcze nieotrząśnięci z pyłu wielkich wojen Napoleońskich, we Francyi i jej generałach widzieli wszystko, co jest najdoskonalszego. Łatwo więc pojąć, jaki wpływ musiały wywrzeć na umysły pochwały marszałka Sucheta, jego słowa, że Chłopicki godzien być wodzem naczelnym [1]). Tę sławę utrwalił i rozpowszechnił generał Józef Mroziński, wydrukowawszy w r. 1819 w „Pamiętniku Warszawskim“ opis obrony i zdobycia Saragossy, przyczem nie szczędził zasłużonych zresztą pochwał Chłopickiemu. U ogółu polskiego, który nie czytał ani Sucheta, ani Mrozińskiego, Chłopicki zyskał so-

[1]) Suchet w r. 1810 oblegał Tortozę, gdy dowiedział się, że dowódca hiszpański Villa Campa organizuje powstanie na jego tyłach. Wysyła więc przeciw partyzantowi hiszpańskiemu Chłopickiego, o czem tak pisze w swym pamiętniku: „czując potrzebę powierzenia wyprawy przeciw tak dzielnemu jak Villa Campa nieprzyjacielowi, godnemu jego generałowi, uznałem Chłopickiego za najodpowiedniejszego, dla znamienitego talentu wojennego i ogromnej energii w wykonywaniu obrotów.“ Gdy Legia Nadwiślańska wychodziła z Hiszpanii, Suchet tak się z nią pożegnał: „rozstaje się z walecznymi i z generałem, którego przeznaczeniem jest dowodzić naczelnie.“

bie tem uwielbienie, że nie ulegał kaprysom i uniesieniom naczelnego wodza ówczesnego, W. Ks. Konstantego, i nie chcąc narażać się na przykrości, dumnie i chmurnie wystąpił z wojska i żył w Warszawie prywatnie. To uczyniło go popularnym i ulubieńcem ludności warszawskiej, i nie było człowieka, który spotkawszy na ulicy tę postać rycerską, dźwigającą na sobie wszystką chwałę dwudziestoletnich bojów polskich, ubraną w płaszcz i jasny kapelusz *à la Bolivar*, nie uchylił przed nią głowy; nie było przekupki i dorożkarza, któryby mu się nie ukłonił i nie witał go dobrodusznem: „dzień dobry panu generałowi“.

Ale ten ogół, czczący bohaterską postać Chłopickiego, nie wiedział, że człowiek ten, przywykły do życia czynnego, do wielkich i silnych wrażeń, jakie daje wojna, w spokojnem i mieszczańskiem otoczeniu szukał tych upajających sensacyi w kartach, i jak zwykle bywa u namiętnych graczy, nie przebierał w towarzystwie, szargał wśród otoczenia pospolitego i niewłaściwego dla wojownika polskiego swój nimb sławy bojowej [1]).

---

[1]) *K. Kołaczkowski*, „Wspomnienia,“ IV, 15, po-

Z tem wszystkiem był to niepospolity charakter i niepospolita zdolność wojskowa. Oświecenie jasne tej postaci o rzymskim profilu twarzy, o dumnem, sokolem wejrzeniu, nad którem unosiły się gęste, marsowe brwi, wymagałoby osobnych studyów, jak również wytłumaczenie jego stanowiska w powstaniu. Liczył on na to, że sprawa cała da się załatwić na drodze pokojowej, że nie przyjdzie do wojny, i dla tego pozwolił spokojnie wycofać się siedmiotysięcznemu korpusowi gwardyackiemu z Królestwa.

Są wprawdzie pisarze, którzy twierdzą, że nie mógł korpusu tego powstrzymać, że musiał pozwolić na jego odejście z braku sił. Można się zgodzić na to, że niebezpiecznem było atakować go pod Warszawą. Wszystkie siły polskie w stolicy do d. 3 grudnia, t. j. do chwili wymarszu oddziału rosyjskiego ku Ko-

---

wiada o Chłopickim; „...grając w karty namiętnie, mimowolnie wprowadzony został w towarzystwo generałów rosyjskich i do nich większą część dochodów przegrywał.“ „...lubił stół dobry, skimbądź grywał bez wyboru osób i miejsca, u wód lub w Warszawie, dużo próżnował, żadnych dzieł wojskowych nie czytywał, przytem miał temperament popędliwy i drażliwy“...

zienicom, wynosiły zaledwie jakieś pięć do sześciu tysięcy ludzi i dział 12 [1]), i to samej piechoty, kiedy właśnie W. Książę rozporządzał przeważnie jazdą, która na obszernych polach Mokotowskich mogła bardzo korzystnie działać. Wprawdzie za tą garstką wojska, stał uzbrojony lud warszawski, który może biłby się zrazu dobrze, ale przy pierwszem niepowodzeniu pierzchnąłby, wywołał nieład w szeregach i spowodował klęskę stanowczą. Chłopicki zresztą nie wierzył w żadną ruchawkę; napatrzył się na nią do sytu w Hiszpanii i wiedział, co ona warta. Wobec tego

---

[1]) W chwili wybuchu garnizon warszawski, który wziął udział w powstaniu, składał się z niecałego pułku grenadyerów gwardyi, których *L. Dembowski* oblicza 460 głów i pułku 4-go piechoty 1600 (Dembowski liczy 1400, batalionu saperów 600 i jedenastu kompanii wyborczych 2400, szkoły podchorążych 300, dwu bateryi artyleryi około 200, ogółem 5,500 do 6000 ludzi. *K. Forster* liczy 7620 ludzi, a z szaserami gwardyi 8120. Niektórzy pisarze, zwłaszcza obcy, utrzymują, że siły te wynosiły do 10,000, co jest oczywistą przesadą. Nawet z pułkiem strzelców Szembeka, nie naliczylibyśmy jeszcze 10,000 ludzi, a przecież pułki te przybyły do Warszawy dopiero wtedy, gdy W. Książe rozpoczął odwrót.

wszystkiego nie można mu wziąć za złe, nawet, gdyby był dążył do tego, by sprawę całą rozstrzygnąć mocą oręża a nie układów, że nie atakował W. Księcia pod Warszawą. Zanadto był doświadczonym żołnierzem, by nie widział możliwości zupełnej porażki.

Ale inna jest rzecz, gdy takiego ataku nie przypuścił w czasie długiego, dwa blizko tygodnie trwającego odwrotu W. Księcia. Miał już wtedy pod ręką w Warszawie pułk pierwszy strzelców Szembeka, pułk ósmy liniowy Skrzyneckiego, pułk grenadyerów i strzelców konnych gwardyi, co razem wynosiło z poprzedniemi przeszło 10,000 ludzi. Wszakże z uwagi, że z sił tych niemożna było zupełnie ogołacać Warszawy, gdzie już żywioły ultrarewolucyjne podnosiły głowę i programowi, jaki sobie założył Chłopicki, zaszkodzić bardzo mogły przez powstanie przeciw powstaniu, to wszakże miał na drodze odwrotu W. Księcia liczne oddziały, które go mogły zaskoczyć od czoła i tyłu. W Radomiu stał piąty pułk liniowy, drugi pułk liniowy w Końskich i Opocznie. W Lublinie kwaterował trzeci pułk liniowy; w Krasnymstawie, Chełmie, Lublinie i Włodawie stały dwa pułki ułanów: drugi i czwarty; w Kozienicach, Ra-

domiu, Puławach, Kocku i Radzyniu cztery kompanie artyleryi. Było więc czem otoczyć znużony oddział gwardyi rosyjskiej, zniechęcony i pozbawiony wszystkiego, i wziąć do niewoli, zwłaszcza, że służyło tam wielu Polaków, którzyby chętnie brać się dali, a osłabienie nieprzyjaciela o siedem tysięcy ludzi, zyskanie około pięciu tysięcy karabinów, trzech tysięcy koni i 124 dział, nie było rzeczą do pogardzenia.

Niektórzy pisarze utrzymują dla usprawiedliwienia Chłopickiego, że oprócz wojska będącego w Warszawie, inne pułki konsystujące na prowinyi nie przystąpiły jeszcze do powstania i wogóle nie wiedziano, jak się one zachowają i czy usłuchają rozkazu atakowania W. Księcia. Słaba to obrona i przy bliższem zastanowieniu zgoła błędna. Wszak te same pułki, o których usposobieniu powątpiewano, na rozkaz dany z Warszawy, usuwały się przed W. Księciem, i wszystkie, bez żadnego wahania, powoli, w miarę otrzymanych ze stolicy wiadomości, brały stronę ruchu. Jazdą wprawdzie w Lubelskiem dowodził syn osławionego zdrajcy z kampanii 1792 r., książę Wirtemberski, który na wieść o powstaniu natychmiast wystąpił z woj-

ska polskiego, i który, dajmy na to, nie byłby może usłuchał rozkazu uderzenia ze swą brygadą na cofającą się gwardyę rosyjską. Ale niewątpliwą jest rzeczą, że ta brygada nie byłaby także powolną rozkazom swego brygadyera.

Zdaniem więc naszem, nie może ulegać kwestyi, że gdyby były przyszły z Warszawy odpowiednie rozkazy, korpus gwardyi uledz by musiał. Ale Chłopicki rozkazów takich nie wydał i wydać nie chciał, bo w swej upartej głowie ułożył sobie całą sprawę załatwić na drodze pokojowej, stąd nie chciał przeciwnika rozdrażniać, ani też pierwszy kroków zaczepnych rozpoczynać.

Lecz jeżeli można mu jeszcze wybaczyć wypuszczanie oddziału gwardyi, usprawiedliwione do pewnego stopnia tem, że W. Książę, wyruszając z Wierzbna, oddał się pod opiekę honoru narodowego i wyraził pewność, że w odwrocie swoim nie będzie zaczepiany, to już pozostawienie w spokoju korpusu litewskiego, było błędem nie do darowania, błędem ciężkim, którego w żaden sposób, żadnym sofizmatem usprawiedliwić nie można. Bo nawet, jeżeli Chłopicki na drodze układów chciał sprawę załatwić, to właśnie im do-

tkliwszeby zadał nieprzyjacielowi na początku ciosy, i imby w groźniejszej wobec niego stawał postawie, tym łacniejby zamiary swoje przeprowadzić zdołał.

Korpus litewski pod wodzą barona Rosena, wraz z przyłączonym do niego oddziałem gwardyi W. Księcia, liczył według źródeł rosyjskich [1]), około 45,000 ludzi, ale rozrzucony był od Grodna do Dubna, od Brześcia do Słucka i Słonima. W takich szerokich kwaterach, wśród późnej jesieni, dżdżystej i chłodnej, gdy drogi, zwłaszcza na Litwie, przedstawiają jedno morze błota i trzęsawisk, skoncentrowanie tego korpusu w Brześciu i Białymstoku, wymagało najmniej dwa tygodnie czasu. A przytem, jeżeli weźmiemy na uwagę, że w Petersburgu dowiedziano się o wybuchu powstania dopiero d. 7 grudnia, że nim tam się zoryentowano, wydano rozkazy i rozkazy te przesłano korpusowi, to wyda nam się zupełnie naturalnym fakt, że Rosen skupił się na linii Brześć — Białystok dopiero pod koniec grudnia.

Miał więc Chłopicki miesiąc czasu, w którym po jego stronie była przewaga. Gdyby

---

[1]) *Puzyrewskij* l. c. 35.

był wyruszył d. 5 grudnia, gdy już wszystkie pułki polskie przystąpiły do powstania, z tem co było pod bronią, t. j. z trzydziestu tysiącami ludzi, na Brześć, a więc w sam środek rozrzuconych kwater Rosena, byłby pojedyncze jego pułki, brygady i dywizye bił i rozpraszał, uniemożliwiłby ich koncentracyę, zmusił do nagłego, i w warunkach nader niekorzystnych, odwrotu, jednem słowem zadałby temu korpusowi klęskę stanowczą i jeżeli nie o całe 40, to przynajmniej o jakie kilkanaście tysięcy, zmniejszyłby siły nieprzyjacielskie.

Już sama okoliczność, że Chłopicki występował skupiony i przez to przeważną siłą mógł atakować rozdrobnione części wroga, zapewniała mu niechybne zwycięstwo, ale prócz tego korpus litewski, ze względu na usposobienie i stan swego ducha, dla polskiej akcyi zaczepnej stawał się łatwą zdobyczą. Wszyscy pisarze, tak polscy jak i obcy, jednogłośnie na to się zgadzają, że głównie złożony z Białorusinów, ludu zahukanego, ociężałego i pozbawionego bystrego pojęcia, miał wszystkich niższych oficerów Polaków, z których wielu należało do stowarzyszeń tajnych. W takich warunkach bardzo jest prawdopo-

dobnem, że korpus litewski wogóle nie stawiałby atakowi wojska polskiego żadnego, a przynajmniej bardzo słaby opór. Miano też w sferach rządowych rosyjskich poważne obawy co do tego korpusu i co żywo większą część oficerów Polaków przeniesiono do innych pułków w głąb Rosyi, a natomiast przysłano oficerów gwardyackich, a mimo to później pod Wawrem całe pułki broń składały, a większość jeńców, tak żołnierzy jak i oficerów wstąpiła w szeregi polskie i była im wierną [1]).

Ciężki więc błąd, zdaniem naszem, popełnił Chłopicki, nie atakując zaraz w pierwszej połowie grudnia 1830 r. korpusu litewskiego. Rozbicie tych pierwszych sił rosyjskich stanowiło już samo przez się piękną zdobycz, dawało nam mocny punkt oparcia w Brześciu, który można było ufortyfikować, jak to Dybicz później zrobił, i otwierało drogę ku Wilnu, gdzie, usadowiwszy się, można było po kolei atakować ciągnące od północy, wschodu i południa różne oddziały rosyjskie; prze-

---

[1]) Czytaj raport Dybicza do Cesarza z Mińska mazowieckiego z d. $^{16}/_{28}$ Kwietnia, (*F. v. Smitt*, Feldherrn-Stimmen p: 187 i 198).

nosiło się wojnę poza granicę Królestwa, które tym sposobem stawałoby się niewyczerpanym i bogatym składem wszelkiego rodzaju nienaruszonych zasobów wojennych w ludziach, żywności i sprzęcie wojskowym.

Myśl natychmiastowego atakowania korpusu litewskiego, leżała, że tak powiem, w powietrzu, była na ustach wszystkich. Krukowiecki radził: „ruszyć całą siłą zbrojną za Bug na korpus Rosena, złożony z samych naszych rodaków, (z wyjątkiem generałów sztaboficerów i mniejszej połowy oficerów), wcielić ich do naszych pułków i uderzyć na dywizyę: huzarów Bezobrazowa i ułanów Włodka. Obiedwie te dywizye także z samych naszych rodaków są złożone“ [1]). Chrzanowski w połowie grudnia podał dyktatorowi plan ataku na korpus litewski; plan ten mógł być wykonany w pierwszych dniach stycznia, gdy siły polskie przez usztyftowanie trzecich i czwartych batalionów, oraz piątych i szóstych szwadronów, dosięgały 50 tysięcy ludzi. Chrzanowski radził, aby te siły, jakie miano pod ręką, skoncentrować między Narwią i Bu-

[1]) *K. Forster*, „Powstanie narodu polskiego‘, część III, 3.

giem, t. j. między Łomżą, Śniadowem i Zambrowem, i z wytyczną na Białystok wcisnąć się między dwie masy koncentrującego się korpusu litewskiego, oddzielone od siebie przestrzenią 120 wiorst, i po kolei je pobić. „Gdyby, pisał [1]), ku końcowi grudnia nagle z 30-tu tysiącami piechoty i 6,000 jazdy wyruszono przeciw szóstemu (litewskiemu) korpusowi, to nie ulega żadnej wątpliwości, że przedsięwzięcie naszeby się powiodło. Śmiałość sama tego ruchu, którego się niespodziewano, byłaby zaważyła wiele na szali, nie mówiąc o innych przyczynach, sprzyjających tej operacyi.“ Następnie radził zająć Wilno i stosownie do okoliczności działać, mianowicie przeciw nadciągającemu pierwszemu korpusowi.

Plan ten tak jasny i tak wyraźne zapowiadający korzyści, odrzucony został przez Chłopickiego, który z uporem trzymał się swej myśli pokojowego rozwiązania zadzierzgniętego węzła polsko-rosyjskiego, i tym sposobem zadał głęboki cios powstaniu. Wina więc tego pierwszego błędu, bardzo szkodliwego dla sprawy, przypisana być musi wy-

[1]) *F. v. Smitt* l. c. 9.

łącznie Chłopickiemu, jako wodzowi naczelnemu [1]).

Niektórzy pisarze polscy i obcy stają w obronie Chłopickiego i twierdzą, że atakowanie korpusu litewskiego, nietylko nie byłoby przyniosło żadnych korzyści Polakom, ale owszem naraziło ich na klęskę. Znakomity strategik Ignacy Prądzyński w swym memoryale, skreślonym w Gatczynie 1832 r. na rozkaz Mikołaja I-go [2]) powiada, że „Chłopicki, gdyby się na to zdecydował, mógł bardzo łatwo samymi pochodami zniszczyć jądro swej armii, a uganianiem się za bardzo niepewnymi rezultatami udaremnić nową organizacyę wojska“. Ale tę opinię, wtedy tylko mogącą mieć pewne uzasadnienie, gdyby Chłopicki działał ze złą wolą i był zdrajcą,

---

[1]) Dodajmy, że nawet minister Lubecki był za wkroczeniem na Litwę, acz z innych, niewojskowych powodów: „Skoro powstanie już zrobiono (mówił) powinniśmy silnie uzbrajać się, być gotowymi do wojny, nawet udawać jakobyśmy na Litwę wkraczać chcieli, bo to traktowanie ułatwi, wszelkim negocyacyom nada wagi i do koncesyi prędzej skłoni“ (*Barzykowski*, Historya powst. list. I, 428).

[2]) „Pamiętnik historyczno-wojskowy“ (przekład polski) p. 56.

sam Prądzyński w swej innej późniejszej rozprawce [1]), zmienił i powiada, że przez odpowiednią akcyę „korpus litewski jeżeli nie zupełnie przepolszczony, to zupełnie zdezorganizowany być nie mógł“. Gdyby nawet plan Chrzanowskiego, właśnie dla obawy, aby jądro armii polskiej przez pochody na grzązkim gruncie między Narwią i Bugiem, nie zostało zniszczone, mógł się wydawać niebezpiecznym, to należało działać z wytyczną na Brześć, do którego można było dotrzeć w dwu najwyżej marszach, po wybornej drodze bitej, po której wszelkie dostawy dla armii z szybkością i wygodą zasilałyby wojsko operujące Słuszną też na pierwszy zarzut Prądzyńskiego robi uwagę Puzyrewski [2]), że przez taką akcyę „oszczędzając środków krajowych, w razie powodzenia, armia zwycięska wzrastałaby tylko i nabywała trwałej moralnej spójności.“ Inny generał rosyjski Neidhardt o planie Chrzanowskiego tak się odzywa [3]): „plan ten niewątpliwie zapowiadał wielkie korzyści. Wierność korpusu litewskiego była bardzo

---

[1]) „Czterej ostatni wodzowie“ p. 77.
[2]) „Wojna polsko-rosyjska,“ p. 53.
[3]) *Fr. v. Smitt* l. c. 93.

podejrzaną, a inne wojska były jeszcze daleko. Rosén, gdym do niego w pierwszych dniach grudnia (starego stylu) przybył, spodziewał się takiej operacyi (ataku polskiego); ja sam przypuszczając to, robiłem liczne rekonensanse w okolicach Białegostoku. Wszystkie okoliczności w początku sprzyjały powstańcom i prowincye litewskie byłyby prawdopodobnie podniosły sztandar powstania.“ Wyznanie cenne naocznego świadka i znawcy ma tutaj pierwszorzędne znaczenie.

Inny autor polski, od początku powstania złowróżbną niewiarą w możność zwycięstwa przejęty, generał Kołaczkowski twierdzi [1]) z niezachwianą pewnością, że „przeciągnięcie korpusu litewskiego na naszą stronę lub rozbrojenie go, do liczby tych marzeń należało, których rewolucya tyle podobnych urodziła. Posunięcie się z Brześcia Litewskiego w głąb kraju, np. ku Wilnu lub ku Mińskowi, również niepewne, jak może i niebezpieczniejsze skutki byłoby niezawodnie za sobą pociągnęło“; że „im bardziej zapuszczalibyśmy się w głąb Litwy, tym większe niebezpieczeństwo ze strony południowej armii Brześciowi i War-

[1]) „Wspomnienia,“ IV, 26.

szawie zagrażało". Pomijając pierwszą część tych zarzutów, których fałszywości wobec powszechnych relacyi wszystkich pisarzy wiarogodnych, a nawet samego Dybicza, o usposobieniu i stanu ducha korpusu litewskiego dowodzić tu nie potrzebujemy, (zresztą nie szło tu o przeciągnięcie go na stronę polską, ale o pobicie), na poważniejsze zastanowienie zasługuje tylko przypuszczenie, że armia południowa rosyjska, w czasie naszego marszu na Wilno, mogła przez posunięcie ku Brześciowi odciąć Polaków od Warszawy. Hipoteza ta nie jest wyłączną własnością Kołaczkowskiego; wypowiedział ją przed nim gadzinowy historyograf Fryderyk Smitt w swej (okradającej z prawdziwie niemiecką bezceremonialnością Spaziera, Prądzyńskiego, Brzozowskiego i innych) książce [1]), który utrzymuje, że „stojący w prowincyach Nadbałtyckich i na Żmudzi korpus pierwszy piechoty, jak również korpus jazdy na Podolu, otrzymały rozkaz natychmiast ruszyć w pochód; pierwszy z wytyczną na Białystok z pozostawieniem jednej dywizyi w Wilnie; drugi z wytyczną na Chełm, co później zmieniono na

[1]) Geschichte des polnisches Aufstandes u. Krieges I 178.

kierunek do Brześcia". „Widać z tego—kończy Smitt—że nie brakowało wojska w kraju, któreby wszelkie usiłowania powstańców zgniotło".

Bezzasadność tego twierdzenia okazuje się z samego zestawienia dat. Chłopicki, gdyby był przyjął projekt atakowania Rosena, mógł był wyruszyć przeciw niemu z tem, co miał pod ręką, t. j. z dwiema dywizyami piechoty i dwiema jazdy, najpóźniej jeżeli już nie d. 5-go to d. 10 grudnia. Tymczasem w Petersburgu dowiedziano się o wybuchu powstania dopiero d. 7 grudnia. Pytamy, czy w ciągu trzech dni, zdołanoby się tam zoryentować w położeniu, dowiedzieć o akcyi zaczepnej Chłopickiego, powziąć plan, zredagować i wysłać rozkazy na Żmudź i Podole? czy wreszcie pierwszy korpus piechoty i jazda podolska zdołałyby w przeciągu tak krótkiego czasu zaskoczyć Polaków od tyłu? Czy, nimby one wyruszyły, Chłopicki nie miałby aż nadto swobody do pobicia Rosena? Wreszcie czyż potrzebowałby aż do Wilna się posuwać? Dość było zająć Brześć, by na tem środkowem stanowisku przeciąć odrazu siły rosyjskie na dwa wielkie odłamy, północny i południowy, które mogłyby się połączyć chyba

po długim, okolnym marszu, omijając bagna Pińskie, co oczywiście było bardzo ryzykownem, wymagało wiele czasu i wiele natężeń. Sam zaś Chłopicki, będąc oddalonym od Warszawy zaledwie o dwa dni marszu, po wybornej drodze bitej, skupiony, upojony tryumfem, czyż mógł się odcięcia obawiać?

Błahym nam się również wydaje zarzut tegoż Smitta, jakoby wojsko polskie nie mając ani wozów, ani taboru, ani zapasów żywności, mogło puszczać się na tak daleką i awanturniczą wyprawę, która je odrazu pozbawiała podstawy operacyjnej i punktu oparcia, jaki dawała Warszawa, Modlin, Serock. Naprzód nie była to wyprawa daleka, bo jakieś kilkadziesiąt mil z dogodną komunikacyą, nie odcinała nikogo od podstaw, a zresztą czyż Dybicz, maszerując do Polski, z tego punktu widzenia nie przedsiębrał także wyprawy awanturniczej? Wkraczał w kraj nieprzyjazny, na ziemię, palącą mu się pod nogami, z nader stosunkowo małymi zasobami żywności, tak że brak jej nieraz krępował jego operacye, podczas gdy Chłopicki posuwając się na Litwę, znajdował ludność przychylną, chętnie dostarczającą mu wszystkiego, zwiększającą ochotnikami jego szeregi,

a w dodatku, co jest bardzo ważnem, działał zaczepnie i przenosił wojnę w granice nieprzyjaciela, skąd mógł czerpać pełną dłonią nieprzebraną ilość wszelkiego rodzaju zasobów.

Słowem, z jakiegobądź punktu widzenia rozpatrywać będziemy ten błąd Chłopickiego, zawsze uważać go musimy za bardzo doniosły i stanowczo szkodliwy dla powstania. I jak wszystkie dotychczasowe błędy w walkach naszych o niezależność, o których dotąd mówiliśmy, nie był on winą narodu, bo ten instynktem niejako wiedziony, głośno domagał się wyprawy na Litwę, ale winą naczelnika i wodza Chłopickiego, i na nim, na nikim innym tylko na nim, powtarzamy, ciąży przed sądem historyi odpowiedzialność. Jak zawsze, tak i teraz Opatrzność odmówiła nam, w dniu ostatniego wielkiego wysilenia narodowego, człowieka, któryby umiał niem pokierować należycie i skorzystać z nastręczających się szczęśliwych okoliczności. Niestety! nic w życiu i historyi się nie powtarza i taki wypadek jak bezbronność nieomal korpusu Rosena, którego rozbicie odrazu przewagę wojenną na naszą stronę przechylało, drugi raz już się nie przytrafi.

Mimo to jednak, ze wszystkich wodzów, którzy przewodniczyli naszym ojcom w ich wojnach o niepodległość, Chłopicki jest jedynym mężem, który przez swe doświadczenie wojenne, niepospolite talenty wojskowe, wyborną szkołę, jaką przeszedł, wreszcie przez swój charakter nieugięty, miłość i wiarę, jaką wzbudzał w wojsku, mógł pragnienia narodowe urzeczywistnić. „Człowiek niezwykły, powiada o nim Brzozowski [1]), który będzie dla potomności zagadką, który mógłby przez wszystkie wieki błyszczeć sławą bohatera, a który wskutek błędnej myśli, przy której się uparł, pozbawił się wieńca nieśmiertelności i pogrążył swą ojczyznę w przepaść niedoli, a jednak pomimo błędów, oczy wszystkich Polaków będą zawsze na niego zwrócone. Taką jest przewaga charakteru i geniuszu.“

Lecz przejdźmy do innych błędów tej, tak niefortunnie zrazu rozpoczętej wojny.

Za drugi błąd, pełen najzgubniejszych skutków, uważamy nieszczęśliwą, w swym końcowym akcie tragiczną, wyprawę na gwardye.

Hetmanił teraz wojsku polskiemu generał

---

[1]) La guerze de Pologne en 1831, p. 70,

Jan Skrzynecki, człowiek, który jest uderzającym przykładem siły opinii, choćby najfałszywszej. Wszędzie, a u nas podobno najczęściej się to powtarza, że raz wypowiedziane o kimś mniemanie, utrwala się na zawsze, przechodzi do pism drukowanych i do historyi. Takiemu losowi uległ Skrzynecki, a opinię o nim urobił nie kto inny, tylko Prądzyński. Genialny ten strategik, poeta w dziedzinie wojskowości, umysł twórczy i marzycielski zarazem, uległ powszechnej wadzie tego rodzaju inteligencyi, zwłaszcza nieopartych na silnym charakterze, że zapałał gorącą, prawie namiętną nienawiścią do Skrzyneckiego za to, że wszystkie jego plany, choćby najoczywiściej korzystne, odrzucał, albo—przyjąwszy je—skrzywił i zmarnował w wykonaniu. Upust tej nienawiści lotnego umysłu do inteligencyi średniej miary, dał Prądzyński naprzód w słynnym memoryale, a raczej akcie oskarżenia, który skreślił w lipcu 1831 r. i który przedstawił radzie wojennej, zebranej w Warszawie d. 27 lipca. Oto co sam o tym memoryale opowiada [1]): „Kie-

[1]) Pamiętnik historyczno-wojskowy o wojnie polsko rosyjskiej p. 201 (wydanie drugie).

rując się głosem mego sumienia, napisałem memoryał, w którym wyłożyłem cały bieg wojny i starałem się uzasadnić przekonanie, że naczelne dowództwo jest ciężarem zbyt wielkim na siły Skrzyneckiego. Chciałem w ten sposób skłonić Skrzyneckiego do dania przykładu, jak należy się poświęcać dla spraw ogólnych i myślałem, że dobrowolnie złoży z siebie naczelne dowództwo, aby zająć natychmiast stanowisko skromniejsze, ale równie ważne, gubernatora Warszawy, albo, jeśli można, członka rządu. Uwagi te zakomunikowałem ks. Czartoryskiemu.“ Niebawem memoryał ten ukazał się we wszystkich dziennikach warszawskich, a choć Prądzyński zapewnia, że stało się to bez jego woli i wiedzy, przypuszczać należy, znając jego charakter, że było przeciwnie.

Z tego to materyału korzystał pierwszy poważniejszy historyk powstania, Maryan Brzozowski, w swej książce, wydanej w Lipsku 1833 r., by odmalować Skrzyneckiego jako wodza bez talentu i jako człowieka bez charakteru. Podobnież i drugi dziejopis powstania Ryszard Otto Spazier czytał rzeczony memoryał i acz z większą od Brzozowskiego wstrzemięźliwością, niemniej przeto nie szczę-

dził barw, by potępić wahania się, obawy, zamiłowanie w wygódkach filisterskich naczelnego wodza polskiego. Tym sposobem, powoli, dzięki Prądzyńskiemu, ustalała się opinia o Skrzyneckim, ale niebawem miało ją uzupełnić nowe oskarżenie, z tego, co i poprzednie pochodzące źródła. Mówimy tu o relacyi Prądzyńskiego, skreślonej w r. 1832 w Gatczynie, relacyi w najwyższym stopniu rozgoryczonej i namiętnej, gdzie Skrzynecki w jak najjaskrawszych barwach nieudolności zarysowany został. Relacya ta leżała długo w rękopiśmie, ale niektórzy historycy powstania, jak sprzedajny Fryderyk v. Smitt, jak Ludwik Mierosławski, mieli do niej przystęp i oczywiście przejmowali się opiniami, wypowiedzianemi gorąco, namiętnie, z pozorną logiką, usprawiedliwioną zresztą końcowymi faktami upadku powstania. Zwłaszcza żmijowatą jadowitością ziejący Smitt bardzo był rad, że miał taki materyał pod ręką, przy pomocy którego mógł szkalować Polaków, ich wodza i wojsko do sytu.

Ale Prądzyński nie poprzestał na tem; w swem ostatniem, po śmierci wydanem, skądinąd niewątpliwie znakomitem dziełku, w którem przed sąd historyi powołał czte-

rech ostatnich wodzów polskich (ks. Józefa Poniatowskiego, Kościuszkę, Chłopickiego i Skrzyneckiego) wydał na Skrzyneckiego wyrok taki sam, jaki już poprzednio głosił, tylko w formie o wiele ostrzejszej i bezwzględniejszej. „Wszystkich, główniejszych przymiotów, potrzebnych wodzowi, pisze Prądzyński, odmówiła mu (Skrzyneckiemu) natura, a nawet obdarzyła go niektóremi wadami, własnościami wręcz przeciwnemi. Brakowało mu zupełnie rozsądku wojennego, determinacyi i czynności; i owszem, był leniwy i wygodniś, a przeciwnem mu było to, co właściwem żołnierskiemu powołaniu było, i tak np. nie lubił konnej jazdy i największą miał odrazę do zgiełku obozowego, zapachu prochu i dlatego też główne kwatery swoje będzie brał zwykle daleko od wojska. Nawet męstwo jego, które wychwalano, było o wiele niższe od owej wrodzonej waleczności, która u Chłopickiego tak świetnie jaśniała. Całe męstwo Skrzyneckiego było kunsztowne; być może, iż zasługa tym większa dla niego, że umiał naturę swoją przezwyciężać; ale dla polskiej sprawy wyniknie stąd potężne nieszczęście, albowiem odraza wodza nietylko do boju, ale zgoła do całego życia wojennego,



Jan Zygmunt Skrzynecki.

będzie go trzymała w oddaleniu od bojów, nawet od obozów, zgoła od wszelkiego działania, skoro się ujrzy oswobodzonym od żelaznego prawa wyższej władzy wojskowej. Jak się tylko ujrzy bez żadnej nad sobą kontroli, będzie dla niego niepodobieństwem wyrzec się, choćby na dzień jeden, wygódek codziennego życia, na czem działania wojenne będą nadspodziewanie cierpiały. Skrzynecki miał bardzo wiele ambicyi, ale nie owej ambicyi wielkiej, która jest koniecznie potrzebną, aby wielkich rzeczy dokonywać, ale która także wymaga, aby wiele ważyć, chcąc wiele zyskać. Ta myśl, aby się stać oswobodzicielem narodu, wskrzesicielem ojczyzny! Ale dla dopięcia tego wielkiego celu, aby stawić całe swoje życie i powierzone sobie wojsko, ta szczytna myśl, mówię, nigdy się generałowi Skrzyneckiemu nie uśmiechnęła...“ „Jego ujmująca, a przytem imponująca powierzchowność, były dostateczne do zrobienia z niego znakomitego dowódzcy dywizyi piechoty, lecz zawsze tylko pod okiem dzielnego wodza. Sam sobie zostawiony, w żadnym przypadku nie był zdolny na wojnie sam cośkolwiek zdziałać. Na nieszczęście ojczyzny, dostało mu się powołanie, któ-

remu ani w cząstce nie był w stanie podołać.“

Dzięki tym namiętnym, pełnym goryczy sądom Prądzyńskiego, ustaliła się opinia o Skrzyneckim, że nikt inny, tylko on swą nieudolnością pogrzebał powstanie, a z niem kraj cały [1]). Nie mamy wcale zamiaru bro-

[1]) Krukowiecki miał taką samą nieomal opinią o Skrzyneckim jak i Prądzyński. W liście pisanym do Szembeka d. 11 Kwietnia 1831 r. (wydrukował go *K.Forster*, Powst. nar. pol. III, 46) pisze: „Wierz mi, znam tego człowieka oddawna. Jest ambitny i zarozumiały w najwyższym stopniu. Jego zdolności militarne są małe, tym więcej, że czytanie dzieł wojskowych i zapamiętanie ich w części nie jest jeszcze ich przyswojeniem sobie. Dbając o tego człowieka, jak się zwykle dba o tych, którym się coś dobrego zrobiło, częstokroć chciałem naprowadzić na dobrą drogę Skrzyneckiego, ale jego upór jest nieprzełamany i prawie zawsze kończyłem mą rozmowę z nim słowami: „nie będzie z ciebie nigdy nic ważnego, bo masz spaczony rozum.“ Całą jego zasługą wojskową jest jego odwaga fizyczna.“ Krukowiecki był osobistym nieprzyjacielem Skrzyneckiego, stąd trzeba jego opinie przyjmować ostrożnie. Jakkolwiek list powyższy nie był znany ogółowi, wszelako wiemy, że Krukowiecki swego zdania o wodzu naczelnym nie chował pod korcem, i gdzie tylko mógł, to mu szkodził.

nienia zwycięzcy z pod Dębego, bo w rzeczy samej dowództwo naczelne było dla niego ciężarem nad siły, i popełnił on wiele błędów, które w znacznej części przyczyniły się do przegrania tej ostatniej naszej wielkiej wojny o niepodległość, ale niemożemy się zgodzić na to, by mu odmówić wszelkich przymiotów wodza, by jego kunktatorstwo włożyć na karb mniemanego lenistwa. Inne były przyczyny, może mylne, ale bądź co bądź bardzo poważne takiego jego działania.

Skrzynecki nie był bez przeszłości i bez doświadczenia wojskowego. Zaciągnąwszy się do szeregów Księstwa Warszawskiego, brał udział we wszystkich następnych wielkich wojnach Napoleońskich. Odbył kampanią 1812 i 1813 r. w dywizyi Dąbrowskiego, który wspomina o nim, jako o dobrym oficerze sztabowym [1]). W r. 1814, gdy uformowano

---

[1]) *Generał Weyssenhoff* w swych „Pamiętnikach“ opowiada, że w bitwie pod Borodinem dywizya kirasyerów rosyjskich, rozbiwszy dwa pułki jazdy Neapolitańskiej, wpadła w pogoni na kompanię grenadyerską pułku 16-go piechoty Księstwa Warszawskiego, dowodzoną przez kapitana Skrzyneckiego. Grenadyerzy tak dzielnie się bronili, że zrobiwszy sobie przedpiersie z trupów kirasyerów, odparli ich,

we Francyi ze szczątków piechoty polskiej jeden pułk, któremu nadano nazwę Nadwiślańskiego, o dwu batalionach, to komendantem jednego z tych batalionych został Skrzynecki, drugiego Muchawski. Umyślnie przytaczamy nazwisko tego ostatniego, gdyż po uwięzieniu Krasińskiego, dowódzcy pułku, za to, że poddał Prusakom, wraz z generałem Moreau, twierdzę Soissons, Muchawski, jako starszy szef batalionowy, objął nad całym pułkiem komendę, i zdarzyło się, że w bitwie pod Arcis-sur-Aube, Napoleon przed natarciem jazdy nieprzyjacielskiej schronił się do czworoboku, utworzonego przez te dwa bataliony. Otóż stąd sława nie mała dla Skrzyneckiego, choć nienawistny mu Prądzyński utrzymuje, że przynależy się ona właściwie Muchawskiemu. Nie wdając się w rozstrzygnięcie tej kwestyi, zaznaczamy tylko, że jak Chłopickiemu pamiętniki Sucheta i relacya Mrozińskiego zrobiły opinię w narodzie, tak ów czworobok, broniący Napoleona przed wiel-

---

nie straciwszy ani jednego żołnierza. Skrzynecki otrzymał za to krzyż legii honorowej, a *Segur* w swej historyi nazwał kompanię batalionem, a Polaków Francuzami, nie wspomniawszy o Skrzyneckim.

kiem natarciem szwadronów prusko-rosyjskich, zwrócił na Skrzyneckiego uwagę powszechną i wytworzył mu opinię oficera mężnego i w boju przytomnego.

Niektórzy pisarze zarzucają mu zmienność przekonań, że kiedy za młodu, za czasów księstwa warszawskiego, był liberałem, „umysłem niezależnym“, jak to wtedy mówiono, to później, za Królestwa Kongresowego, a zwłaszcza gdy został wodzem naczelnym, był klerykałem, a nawet dewotem. Zarzut tej zmienności przekonań dowodzi właśnie, że Skrzynecki był człowiekiem wyższym i myślącym, bo tylko głowy tępe i inteligencye małe przy raz powziętych przekonaniach całe życie trwają, bo niezdolne są do samokrytyki, do zastanawiania się i odczuwania prądów chwili. Wszystko na świecie jest zmienne i nic nie stoi na miejscu; gdyby lądzie uparcie wierzyli dzisiaj w to, w co wczoraj wierzyli, nie byłoby postępu i świat skamieniałby i zmartwiał, jak Chińczycy.

Oprócz owej tradycyi o czworoboku pod Arcis-sur-Aube, przyczyniły się wiele do wyniesienia Skrzyneckiego na wodza naczelnego bitwy pod Dobrem i pod Grochowem. Wszyscy pisarze, swoi i obcy, jednogłośnie przy-

znają, że pod Dobrem, gdzie sam dowodził, prowadził bitwę mężnie, wytrwale i rozumnie. Nienawistny nam, pruską perfidyą przejęty kompilator Smitt, powiada, że „spotkanie to obu stronom zaszczyt przynosi“; sam Prądzyński nie może zataić, że Skrzynecki mądrze i dzielnie tu sobie poczynał. Pod Grochowem uparcie bronił swą dywizyą Olszynki, a podczas szalonej szarży jazdy rosyjskiej z kirasyerami na czele, gdy wszyscy generałowie polscy potracili głowy, jeden tylko Skrzynecki jej nie stracił, utrzymał swą dywizyę w porządku i walecznie nią odwrót armii zasłonił.

Oto były tytuły, wynoszące go na stanowisko Naczelnego wodza, które wszystkim innym wydawało się zadaniem ciężkiem i nikt, szczerze mówiąc, oprócz może, „wartogłowa“ Umińskiego, nie chciał brać na siebie, w chwili tak rozpaczliwej, jaką były pierwsze dni po Grochowie, tak trudnego i odpowiedzialnego zadania. Skrzynecki go się podjął i, rzec można, w dniach lutowych on swą mężną, spokojną postawą, swą zapobiegliwością i energią ocalił powstanie, które wielu miało już za przepadłe, a umiejący górnie na sejmie rozprawiać posłowie kazali na łeb na szyję

swoim Wojciechom bryczki zaprzągać, by heroicznie do Miechowa umykać.

Jakimże więc sposobem, pytamy, człowiek tak dzielny, tak energiczny, tak mężnie walczący pod Dobrem, ocalający swą zimną krwią armię polską pod Grochowem, podnoszący potem w szeregach upadłego ducha, jakim sposobem taki wódz stać się mógł później niedołęgą, nieukiem, tchórzem nawet, jak go maluje Prądzyński? Zagadka byłaby trudną do rozwiązania, gdyby nie to, że Skrzynecki należał do rzędu tych starych żołnierzy, weteranów napoleońskich, którzy jak Chłopicki, Łubieński, Żymirski, Chrzanowski i wielu innych, nie wierzyli w możność pokonania słabemi siłami polskiemi potężnej Rosyi. Wykształcony politycznie, przekonany był, że tylko przy pomocy interwencyi obcej Polska może odzyskać swój byt niezależny. Dlatego unikał bitew, bo lękał się na, zawsze niepewny, los walki, narażać jedyne siły, jakie miała Polska, stawiać wszystko na kartę. Pokonawszy Rosena i zmusiwszy Dybicza do zaniechania przeprawy przez Wisłę, sądził, że dosyć zrobił, że zabiezpieczył na długo istnienie powstania i że teraz nie należy walczyć, ani marnować sił polskich, ale użyć wszelkich

zabiegów, by sprowadzić upragnioną interwencyę.

Że to było mniemanie błędne, że ono zgubiło Skrzyneckiego, a co większa Polskę, któż dziś zaprzeczy? Francya, na którę we wszystkich naszych powstaniach zwracaliśmy oczy błagalne, nie myślała nam wcale pomagać i wyraźnie to dawała poznać. Prusy otwarcie były nam nieprzyjazne i gotowe w razie potrzeby wkroczyć do Królestwa; jedna tylko Austrya mogła skuteczną podać nam rękę i zapewneby ją podała, gdybyśmy Dybicza wyparli i w pościgu za nim zaszli choćby nad Dźwinę. Wszelako Skrzynecki innego był przekonania i przy przekonaniu tem stał z uporem i zaciętością niczem niezachwianą, i któraby zaszczyt jego charakterowi i patryotyzmowi przyniosła, gdyby można było wierzyć w skuteczność takiego programu. Nie ulega jednak wątpliwości, że i Skrzynecki wcześniej czy później byłby się przeświadczył o błędności swej teoryi i byłby walczył do ostatka, aby albo zwyciężyć, albo heroiczny grób przygotować powstaniu. Wreszcie, może się i w tem nie mylił, że przedłużając walkę do nieskończoności, byłby nakoniec wywołał niepokój i zawikłania

w świecie, które spowodowałyby może wielką burzę europejską, a z nią dla nas zbawienie, bo Polskę tylko taki wulkaniczny huragan wszecheuropejski może na wierzch wyrzucić.

Skrzynecki jednakże, mimo takich swoich przekonań, nie zawsze mógł w nich wytrwać. W sztabie jego znajdowało się wielu oficerów, naglących do działania, zachęconych tryumfami Stoczka, Dembegc, Igań, przekonanych, że tylko energiczną akcyą zaczepną Polska z tych zapasów śmiertelnych może wyjść zwycięską. Zwłaszcza Prądzyński w twórczości swego nerwowego geniuszu, w swej marzycielskiej płodności umysłowej, widział, i miał pod tym względem słuszność, że dochodzimy do ostatnich granic naszych wysileń, że niebawem będziemy do cna wyczerpani, że zatem, jeżeli teraz nie odniesiemy zwycięstwa, to przedłużająca się wojna w rezultacie będzie walką o to, kto dłużej wytrzyma, a rzeczą aż nadto było widoczną, że Rosya co do tego była w położeniu korzystniejszem. Naglił do działania, radził z chwilowej naszej przewagi skorzystać, z entuzyazmu, panującego w wojsku, i tworzył plany po planach, które wódz naczelny odrzucał, a Prądzyński, widząc marnujące się swoje genialne po-

mysły, uczuł głęboką nienawiść do swego zwierzchnika. W tej walce Skrzyneckiego, opartego na swym programie problematycznym, z całą falangą otaczających go sztabowców, szukających w rządzie, sejmie i opinii publicznej poparcia, wódz naczelny nakoniec uległ i zgodził się na rozpoczęcie awanturniczej, ryzykownej, niebezpiecznej nadzwyczajnie wyprawy na gwardye.

Przyznajmy jednak, że pomysł tej wyprawy nie był własnością Prądzyńskiego, ale Chrzanowskiego. Jeszcze w początku marca, zaraz po obiorze Skrzyneckiego na wodza naczelnego, Chrzanowski proponował, aby postawiwszy załogę w Warszawie, z główną siłą iść przez Modlin na prawy brzeg Narwi i stoczyć bój z gwardyami [1]). Projekt ten nawet

[1]) Sam Chrzanowski w swym memoryale p. t. „Operacye wojenne w Polsce w r. 1831," skreślonym na żądanie władz rosyjskich *F. v. Smitt*: Feldherrn-Stimme, p. 20, tak o tem pisze: „...posunąć się przez Modlin, Narew przekroczyć i nagle napaść na gwardye, które między Bugiem i Narwią stały. Przeciw każdemu innemu odosobnionemu korpusowi, któryby zostawiono jego losowi, aby dokonać przeprawy przez Wisłę, taki środek byłby bezskuteczny. Ale ponieważ były to gwardye, które zamierzano napaść, to było prawie pewnem, że feldmarszałek

chwilowo został przyjęty i rozpoczęto już niektóre ku temu celowi ruchy, gdy nakoniec Prądzyński przeważył i zdołał namówić naczelnego wodza do wyprawy na Rosena, zakończonej tryumfami Dembego i Igań. Ale gdy Skrzynecki po tych zwycięstwach pozostał przez parę tygodni bezczynnym, a Prądzyński nie mógł go namówić do uderzenia na Dybicza, podniesiono więc na nowo projekt wyprawy na gwardye. „Operacya ta, pisze Prądzyński [1]), była teraz więcej na czasie, aniżeli w marcu, gdyż feldmarszałek (Dybicz) nie mógł obecnie bezpośrednio po naszem odejściu przeprawić się przez Wisłę, a także armii jego nie mogliśmy atakować z takiem powodzeniem, jak w chwili, gdy była rozproszona po obozach. Proponując tę operacyę, miałem myśl taką, żeby niespodzianie i gwałtownie wpaść na gwardyę, rozbić ją, zanim feldmarszałek będzie mógł pośpieszyć jej z pomocą, i szczątki jej odpędzić daleko, oraz otworzyć przez województwo Augustowskie drogę, którąby Litwa mogła przy-

---

(Dybicz) wszystko porzuci, by im na pomoc pośpieszyć."

[1]) „Pamiętnik historyczno-wojskowy," 126.

słać nam posiłki. Ponieważ zaś należało przypuszczać, że krok ten zwróci na nas całą armię rosyjską, więc w takim razie mieliśmy się trzymać względem niej obronnie za Bugiem, przecinając jej komunikacye z Prusami, skąd przychodziła do niej przeważna część zapasów od chwili, gdy powstanie na Litwie uniemożliwiało przysyłanie ich wprost z Rosyi. Zresztą tym ruchem przeszkodzilibyśmy feldmarszałkowi do przejścia Wisły w niższej jej części, gdyż mieliśmy już niektóre wiadomości o istnieniu tego projektu.“

Przypatrzmy się bliżej, o ile te nadzieje miały podstawę rzeczywistą. Gwardye, tworząc prawe skrzydło głównej armii Dybicza, rozłożone były na wygodnych i szerokich kwaterach między Bugiem i Narwią, z jedynym mostem na tej ostatniej pod Łomżą, silnie ufortyfikowaną. Cała ta ufortyfikowana okolica Polski, ten kąt, leżący między dwiema rzekami, przedstawia dziś jeszcze, pomimo znacznego wytrzebienia lasów, mnóstwo pozycyi łatwych do obrony niewielkiemi stosunkowo siłami. W 1831 roku pokrywały go wielkie bory, przez które biegły drogi, albo piaszczyste wśród suszy, albo pełne grzązkiego błota przy pierwszym lepszym deszczu,

tworząc długie i ciasne przesmyki (defilé). Mnóstwo rzeczek i strumieni, z setkami na nich mostków, tu i owdzie bagna przecięte wązkiemi groblami, a wszystko to ocienione wielkiemi lasami, dawało możność długiej i upartej na każdym kroku obrony.

Już sam teren tak przecięty i obronny, nie nadawał się do szybkiej, piorunowej akcyi przeciw gwardyom. Przytem w sztabie polskim obliczano je zanadko nizko, na 18 tysięcy ludzi, kiedy one w rzeczy samej liczyły z korpusem Sackena blizko 27 tysięcy i dział 84 [1]). Co do ich wartości bojowej, ta niezaprzeczenie była wysoką. Żołnierz był wyborny, uzbrojony doskonale, a pułki celnych strzelców finlandzkich posiadały dalekonośną broń dziwerowaną. Przeciw takiemu korpusowi, Skrzynecki wyruszył w niespełna 30 tysięcy i dział 72 [2]), żołnierza przejętego wielkim zapewne entuzyazmem, bardzo wa-

[1]) *Puzyrewskij* l. c. p. 241. *F. v, Smitt* l. c. tablica II, tom II, 212 oblicza gwardye na 28,390 ludzi i dział 80 (gwardye 24,173 dział 72—Sacken 4217, dział 8.

[2]) Według *Puzyrewskiego* l. c. 243. Skrzynecki liczył 28,800 ludzi, według *Kołaczkowskiego* IV, 116, miał 29,800.

BIBLIOTEKA Głów. Szpitala Wojsk. Ujazdowskiego

lecznego, ale w gruncie rzeczy pod wielu względami niższego od tych wyborowych oddziałów rosyjskich. Stałe pułki polskie, tak dzielny i niezłomny opór stawiające pod Wawrem i Grochowem, w dotychczasowych bitwach stopniały znacznie, zwłaszcza, że wszędzie ich używano, w każdej potrzebie wysuwano naprzód, nie wiele licząc na nowe formacye i nie ufając im wcale. Dla utrzymania w pełności batalionów i szwadronów, przed wyruszeniem na gwardye, rozwiązano rezerwowy korpus Paca, złożony z nowozaciągniętego żołnierza i nim uzupełniono wprawdzie szeregi, ale ujęto im wiele dawnej tęgości, a nadewszystko wytrzymałości w ogniu i umiejętności spokojnego pod nim manewrowania. W dodatku większa część trzecich batalionów tych nowych formacyi nie miała karabinów, tylko kosy, tak że w zajętej Łomży pułkownik Szymanowski, dopiero zdobytymi karabinami uzbroił przeważną część swego pułku, oznaczonego numerem 16-ym.

Chcąc więc w takich warunkach i na takim terenie, atakować i pokonać gwardye rosyjskie należało na nie uderzyć nie w jakieś niepełne 30 tysięcy ludzi, ale co naj-

mniej w 50 tysięcy, tak żeby na każdej pozycyi można je było oskrzydlać i przewagę liczebności zgniatać. Skoro już Skrzynecki zdecydował się na tę ryzykowną i niebezpieczną wyprawę, to powinien był wszystko, co tylko w jego mocy było, czynić, by jej zapewnić powodzenie. Tymczasem on, wyruszywszy z Jędrzejowa z pięćdziesięciotysięcznym blizko korpusem, rozdrobnił go tak, że do głównej operacyi pozostało mu zaledwie 29 do 30 tysięcy ludzi i dział 72, t. j. akuratnie tyle ludzi i armat, ile ich miały gwardye. Przedewszystkiem grubym było błędem detaszowanie 4,000 ludzi pod Dembińskim ku Ostrołęce przeciw Sackenowi, a następnie 12 tysięcy i dział 20 pod Łubieńskim dla obsadzenia Nuru, z poleceniem czuwania nad ruchami Dybicza. Korpusik ten był za słaby, by mógł przeszkodzić marszowi Dybicza w pomoc gwardyom, a do obserwacyi za zbyt silny. Na to wystarczało kilka szwadronów jazdy pod roztropnym oficerem, ale Skrzynecki należał właśnie do rzędu tych miernych wodzów, którzy wszędzie się chcą zasłaniać i niczego nie osłaniają, bo wszędzie są słabi.

Dzięki tym błędom, przy umiejętnym oporze gwardyi, korzystających z konfiguracyi

gruntu, Skrzynecki, który na tę wyprawę wybrał się z niechęcią, jedynie pod naciskiem sztabu swego, rządu i opinii, po pierwszych potyczkach zwątpił o sobie i o możności osiągnięcia jakiejkolwiek korzyści. Oddalając się od swej podstawy operacyjnej, czuł on całą ryzykowność takiej awanturniczej wyprawy, ciągle był niespokojny o swe tyły i o to, że Dybicz lada chwila mógł wyruszyć z nad Kostrynia i ścisnąć armię polską między sobą i gwadyami. To mu odbierało śmiałość i spokój. Że Dybicz nie prędko się ruszył, że nieprędko dowiedział się o wymarszu armii polskiej, którą sądził, że ma ciągle przed sobą, że się dał nakoniec zwieść, było to szczęśliwym wypadkiem, na który przezorny wódz liczyć był nie powinien, i Skrzynecki nie liczył i obawiał się ciągle [1]). Stąd

---

[1]) „Pytamy się, powiada *W. v. Willisen* (Theeorie des grossen Krieges II, 61) coby zrobił generał polski, gdyby d. 19 Maja otrzymał wiadomości, że Umiński został przeważną siłą zaatakowany i do Pragi odrzucony, i nieprzyjaciel robi przygotowania pod Górą, do przeprawy przez Wisłę. Niepodobieństwem byłoby dalej prowadzić operacyę przeciw gwardyom, zwłaszcza gdyby te cofały się w kierunku należytym t. j. ku armii głównej, a nie

jego wahanie, gdy gwardye skoncentrowane ostatecznie pod Śniadowem stanęły, gotowe do przyjęcia bitwy. I tu wódz naczelny popełnił znowu błąd, że ich nie atakował. Skoro już dotąd dotarł, i po to tu zresztą przyszedł, żeby się bić, należało bitwę wydać, a gdy jej nie wydał i gwardye w końcu rozpoczęły odwrót, zdaniem naszem, zupełnie niepotrzebny, bo były prawie równe co do sił, to pościg za nimi do Tykocina zgoła był bezcelowy i zwiększający tylko niebezpieczeństwo położenia.

Jednem słowem, wyprawa awanturnicza i ryzykowna sama przez się źle wykonana, chybiła zupełnie i zakończyła się katastrofą Ostrołęcką. Bitwa ta, która złamała siłę polską, przypomina słynną batalię pod Fontenoy. Jak tam o klin angielski, który wszczepił się w szeregi Francuzów, rozbijały się po kolei regimenta tych ostatnich, tak tutaj o kilkanaście batalionów rosyjskich, które przeszły Narew i zająwszy silną, po za wa-

w fałszywym na Białystok.“ Oto w czem leżała ryzykowność tej wyprawy i gdyby Dybicz miał głowę, mógł teraz zaraz jednym ciosem pokonać powstanie. Na szczęście ten zruszczony niemiec był miernością nad miernościami.

łem szosy pozycyę, rozbiła się, rzucana częściowo, cała armia polska. Ta tylko różnica między Fontenoy a Ostrołęką, że tam wódz francuski, Maurycy Saski spostrzegł się dość wcześnie i zaprzestawszy cząstkowych ataków, zgromadził wszystkie swe siły i jednem taranowem uderzeniem obalił nakoniec Anglików, gdy tu generał polski do samego końca nie przestał atakować to pułkami, to dywizyami coraz mocniej usadowionego nieprzyjaciela i wskutek tego ze straszliwemi stratami odpierającego Polaków.

Nie wdając się w szczegóły tej bitwy, będącej formalną katastrofą, zaznaczymy tylko, że była ona końcowym aktem pełnym grozy i krwi, lekkomyślnie poczętego i źle wykonanego planu, mającego wszystkie cechy awanturniczości. Wyprawa na gwardye ułatwiła tylko nieprzyjacielowi wykonanie oddawna powziętego zamiaru, przejścia Wisły, w dole tej rzeki, pod Nieszawą. O projekcie tym miano niejakie, acz niedokładne wiadomości w sztabie polskim i uważano, nie bez słuszności, taką operacyą za bardzo ryzykowną i nieomal niewykonalną. Dybicz, chcąc ruszyć w Płockie z nad Kostrzynia, musiałby odbywać wobec całej armii polskiej, rozło-

żonej równolegle do niego i czołem do Siedlec, niebezpieczny marsz flankowy, narażając się na dosiebne jej ciosy z boku. Tymczasem wyprawa na gwardye ułatwiła mu ten ruch, z którego rozpoczęciem od paru tygodni się wahał, bo doskonale pojmował całą jego ryzykowność [1]). Znalazł się więc pod Ostrołęką, połączył z gwardyami, urósł w siłach, pobił armię polską i miał teraz już swobodną drogę w Płockie.

Takiemi były skutki wyprawy na gwardye, wyprawy ryzykownej, niechętnie przyjętej przez Skrzyneckiego i źle przez niego wykonanej. Zadała ona tak wielki cios po-

[1]) Dybicz dość niechętnie przystępował do planu przejścia Wisły w jej dolnym biegu pod Nieszawą, planu powziętego w Petersburgu i niewątpliwie bardzo ryzykownego. W raporcie swym do Cesarza z Żukowa d. $^{30}/_{12}$ *Kwietnia* 31 r. (*F. v. Smitt*, Feldherrn-Stimme, 192) pisze, że plan ten „z tego tylko względu zasługuje na pierwszeństwo, że zapewnia nam znaczną pomoc ze strony Prus“ i gdyby zaś Prusacy tej pomocy nie dali, zwłaszcza, że kwarantana choleryczna utrudnia wszelką komunikacyę z Prusami, „to możliwości operacyi nad dolną Wisłą plan ten jest pozbawiony, i wtedy nic nie pozostaje, jak wrócić do pierwotnego planu nad górną Wisłą.“

wstaniu, że dalsze jego trwanie byłoby już tylko powolnem konaniem, gdyby nie to, że do ostatniej chwili Opatrzność nie przestawała nam zsyłać szczęśliwych okoliczności, które nas mogły odrazu postawić na nogi, gdybyśmy, niestety! potrafili z nich należyte korzyści wyciągnąć.

Tą szczęśliwą okolicznością, tym ostatnim uśmiechem fortuny był marsz nowego wodza rosyjskiego Paskiewicza w dół Wisły dla przeprawienia się przez nią na lewy brzeg pod Osiekiem. Pomysł tej niebezpiecznej operacyi, jakeśmy już wspomnieli, nie był płodem głowy nowego wodza, który wogóle nie odznaczał się pomysłowością i lotnością umysłu. Projekt ten, oparty jedynie na skrytej pomocy ze strony rządu pruskiego, powstał w Petersburgu, jeszcze w kwietniu, gdy przeprawa Dybicza w górze Wisły pod Tyrzynem, wskutek klęski Rosena zaniechaną być musiała. Paskiewicz był tylko wykonawcą cudzej myśli, a że był ukochanem dzieckiem fortuny, więc operacya ta powiodła mu się zupełnie i całkowicie.

Że to był domysł bardzo ryzykowny, czyż potrzeba dowodzić? Dokonywać marszu, mając na swem lewem skrzydle Modlin, War-

szawę i skupioną w niej armię polską i posuwać się po drogach bocznych, przez kraj przerznięty licznymi i bystrymi strumieniami, przez ciasne przesmyki leśne, gdzie rozwinąć się nie można było, odcinać się dobrowolnie od swej podstawy, od swego kraju i zasobów, jest zawsze operacyą bardzo niebezpieczną [1]).

---

[1]) Znakomity pisarz wojenny *W. v. Willisen* l. c. II, 104, powiada o tym planie, że „szydził on ze wszystkich uznanych reguł srtategii“ i że nie zaślepia go powodzenie tego planu, bo „zawdzięcza on je nie doskonałości operacyi, ale ogromnym błędom przeciwnika.“ „Wprawdzie okazało się, że jeden z powodów, który dla nas przedsięwzięcie to czynił ryzykownem, a mianowicie niepewność położenia na Litwie, nie istniał wcale, gdyż wtedy, gdy feldmarszałek Paskiewicz puścił się w drogę, rzecz ta już była skończona i Rosyanie z Wilna wyruszyli naprzód. Jasnem jest także, iż zasady strategiczne, dla których wielu operacyę tę uważało za niemożliwą, gdyż pociągała ona za sobą utratę ostatniej linii komunikacyjnej z Rosyą, dzięki okolicznościom nie mają znaczenia. Wszelkie obejście z porzuceniem swych komunikacyi, bez stanowczej przewagi liczebnej, jest zawsze przedsięwzięciem szalonem. Ta operacya więc byłaby przeciwną najprostszym zasadom strategii, gdyby nie miano wprost za sobą najpewniejszych przez Prusy komunikacyi. Jeżeliby armia rosyjska wyrzuconą zo-

Paskiewicz, pomimo braku wyższych talentów wodza prawdziwego, doskonale to rozumiał, że gdyby nagle, gdy armia rosyjska zagłębiła się w bagna i lasy między Wkrą i Skrą, Skrzynecki wystąpił z całą siłą polską z Modlina, mógł armię nieprzyjacielską rozbić częściowo, spychać jednę kolumnę na drugą i wyprzeć do Prus, lub utopić w Wiśle. W razie nawet, gdyby był pokonany, to zwycięstwo rosyjskie nie mogło być zupełne. Armia polska miała za sobą Modlin, pod którego szańce i działa mogła się schronić w ciągu jednego marszu, a zwycięstwo takie, nie dając Paskiewiczowi stanowczej korzyści, było półtryumfem, bo pokonanych długo ścigać nie mógł i przynosiło mu zawsze pewne straty, obciążało olbrzymi i tak już tabor armii mnóstwem rannych, których, nie mając gdzie podziać, trzeba było wlec za sobą; opóźniało wreszcie sam akt przejścia Wisły, główny i jedyny cel tego niebezpiecznego ruchu. Gdyby zaś Paskiewicz, zaplątany w leśne i błotniste przesmyki, został pobity, wtedy klęska

---

stała do Prus, to znalazłaby tam osłonę przeciw pościgowi i środki powrócenia kiedyby chciała do Polski.“

dla niego byłaby zupełną, ogromną i niczem niewynagrodzoną. Powtarzamy, rozumiał on to doskonale i jedynem jego życzeniem było: dojść do mostów pod Osiekiem bez stoczenia bitwy. Tak dalece był niespokojny i lękliwy w tym swoim pochodzie, że gdy mu generał Witt, prowadzący straż tylną, doniósł w d. 12 Lipca o ukazaniu się wojska polskiego, na łeb na szyję, wśród nocy dżdżystej i burzliwej wyruszył z Płocka w straszliwym nieładzie nocnego i forsownego marszu, byle od domniemanej armii polskiej oddzielić się rzeką Skrwą [1]). Niestety! nie była to armia

) *Toll* l. c. 279 opowiada o tym nocnym marszu co następuje: „artylerya i ciężary więzły w błocie aż po osie, i posuwały się naprzód z nadzwyczajnym wysiłkiem. Jazda i piechota maszerowała po prawej i lewej stronie drogi przez pola zasiane lub świeżo zorane; przy każdym mostku cała ta masa tłoczyła się, mieszała ze sobą i przedstawiała obraz największego nieładu. Sam feldmarszałek od godz. 2-ej na koniu, nieustannie naglił do pośpiechu; piechota musiała maszerować podwójnym krokiem, jazda kłusem, słowem wszystko podobne było do pobitej i uciekającej armii. Piękna nasza gwardya, zwłaszcza kawalerya, musiała po większej części kłusować; pierwsze szwadrony przeszły jeszcze jako tako przez obsiane pola, następne miały już błoto po brzuchy końskie, a ostatnie musia-

polska, ale słaba, sześć do ośmiu tysięcy ludzi wynosząca dywizya Milberga, który „stary pretoryanin,“ nie miał wcale ani rozkazu, ani ochoty przeszkadzania pochodowi Paskiewicza.

Ale skoro ten ostatni tak się lękał bitwy, to właśnie Skrzynecki powinien był zmusić go do niej, bo na wojnie to zawsze czynić trzeba, czego się nieprzyjaciel obawia. Lecz Skrzynecki o tem nie myślał; nie myślał nawet uderzyć na armię rosyjską w chwili, gdy przeprawia się na lewy brzeg Wisły, gdy ciągnąc olbrzymi tabor (6,500 wozów), z natury rzeczy samo przejście przez długi, blizko półtora kilometra mający most, odbywać się mogło powoli i trwało 65 godzin [1]). Wódz

---

ły się bokiem przesuwać, bo niepodobna było tą samą maszerować drogą. Piechota brodziła przez kałuże i stawy, mając wody do piersi, wielu się przewróciło. Słowem ten marsz nocny, jakiego przez cały czas mej służby nie miałem, nie tylko zmęczył wojsko bez żadnej potrzeby, ale oddziałał przygnębiająco na ducha armii.“

[1]) *F. v. Smitt*, Feldherrn-Stimme, 284. Na str. 299 powiada on: „Skrzynecki w swej głupocie nie stawiał mu (Paskiewiczowi) przy przeprawie przez Wisłę, żadnych przeszkód i tego przejścia, które $^{1}/_{13}$ Lipca mogło być skończone, dokonał feldmar-

dzielny i energiczny, byłby poczekał na chwilę, gdy jedna połowa armii nieprzyjacielskiej znajdowała się już na lewym brzegu, druga jeszcze na prawym, i z przemagającą siłą 50 tysięcy wojowników na nią uderzył. Dopieroż byłoby wesele dla Bemowskich kartaczy, przeszywających ciągliwemi strzałami te długie kolumny, cienkie jak kiszki, tłoczące się na moście! Wszelkie szanse ludzkiego obrachunku są zatem, że wódz naczelny polski byłby odniósł stanowcze, pełne ogromnych, nieobliczonych następstw zwycięztwo. Pobiwszy prawobrzeżne kolumny, wrzuciwszy je do Wisły lub wygnawszy do Prus, postawiłby te, które już rzekę przeszły, w położeniu bez wyjścia, w niemożności posuwania się ku Warszawie i mające jedyne ujście albo do Prus, albo ku południo-wschodowi, ku szykującemu się do przeprawy przez górną Wisłę, Rydygierowi w Lubelskiem. Ale taki marsz pobitego, znękanego nieprzyjaciela, przedstawiał tyle trudności, że nietylko Paskiewicz, ale najdzielniejszy, z najlepszą gło-

---

szałek w tydzień potem i nawet w obec takiego odkładania nie spotkał ani jednego nieprzyjaciela na drugiej stronie rzeki."

wą wódz, nie byłby go prawdopodobnie wykonał bez klęski, a przynajmniej bez strat olbrzymich. Ucieczka zaś do Prus jakież wrażenieby zrobiła w świecie, jak wysoko podniosła urok oręża polskiego jakie nieobliczone moralne i materyalne mogła mieć następstwa! [1]).

Ale, powtarzamy, Skrzynecki o tem nie myślał. Roman Sołtyk opowiada [2]), ze słów posła Gostkowskiego, przyjaciela Skrzyneckiego, anegdotę następującą: że w chwili, gdy nadeszła do Warszawy pierwsza wiadomość o marszu Paskiewicza, Gostkowski znalazł się u wodza naczelnego i zastał go, chodzącego po pokoju wielkimi krokami. „Teraz mam ich tu, gdzie chciałem, wołał Skrzynecki —

---

[1]) Niektórzy pisarze niemieccy, jak generał *Brandt*, (Pamiętniki) ,jak *Droysen*, (Geschichte der preusischen Politik) utrzymują, że marszałek pruski Gneisendu miał rozkaz, aby w razie pobicia Paskiewicza, wkroczył natychmiast do Królestwa, bez odnoszenia się do Berlina, z odsieczą dla pokonanych Rosyan. Mogło to być, ale wątpimy, czy Prusy na taki krok by się zdecydowały, gdyż mogło to wywołać bardzo poważne następstwa i komplikacye.

[2]) La Pologne, précis historique et militaire de sa révolution. Tom II (Paris 1833).

ruch ten musi rozstrzygnąć wojnę, bo cóż znaczy zwycięstwo na prawym brzegu Wisły? Trzeba zawsze od początku zaczynać.“ Poczem zaczął rozwijać korzyści bitwy pod murami Warszawy, bo „naprzód będę walczył na silnie umocowanej pozycyi, a przytem Rosyan zaatakować mogę od skrzydła, debuszując z Modlina; nareszcie wojska polskiego nie narażam na żadne niebezpieczeństwo w razie, gdyby mi się nie powiodło zwyciężyć; Rosyan zaś w razie zwycięstwa, na długiej drodze odwrotu, mogę zupełnie zniszczyć.“

Opinię taką Skrzynecki kilkakrotnie wyrażał. Do Andrzeja Zamoyskiego, wyjeżdżającego z misyą dyplomatyczną do Wiednia, mówił w końcu czerwca [1]): „Silni jeszcze jesteśmy, wszelako muszę ci powiedzieć, że obecnego wojska będę strzegł jak oka w głowie, bo straciwszy jedno wojsko pod Grochowem, drugie pod Ostrołęką, wątpię, żebyśmy potrafili, obecnie straciwszy, nowe uformować. Kraj dużo już dał, czy jeszcze dać może? Nie wiem. W takiej niepewności, naj-

[1]) „Moje przeprawy.“ Pamiętnik Andrzeja hr. Zamoyskiego o czasach powstania Listopadowego, II, 23.

większa mi przystoi ostrożność, będę Fabiuszem: *cunctando restituit rem*". „...Myślą więc moją jest nie szukać nieprzyjaciela, unikać bitwy walnej, stanowczej, wytrzymywać go. Będziemy manewrowali, niechaj męczy swoje wojsko. Dam mu przejść przez Wisłę, a będę na niego czekał nad Bzurą, w okolicy Łowicza; tam, jeżeli mie będzie atakował, bitwę przyjmuję. Jak się uda, skutek okaże; jeżeli mnie pobije, cofnę się pod Warszawę i pod szańcami stanowcza będzie rozprawa. Taki mój plan, od niego nie odstąpię. Przypuszczając, że ja nieprzyjaciela pobiję, to go do Prus wpędzę". Ulubioną więc Skrzyneckiego myślą było stoczenie pod Warszawą decydującej batalii z Paskiewiczem i dla tego nie przeszkadzał ani jego skrzydłowemu pochodowi przez Płockie („na co wojsko męczyć? mówił do Zamoyskiego [1]), przejścia przez Wisłę nie mogę mu wzbronić"), ani przeprawie przez Wisłę, ani długiemu marszowi ku Warszawie po lewym brzegu rzeki.

Z tem wszystkiem Skrzynecki, ulegając naciskowi opinii publicznej, rządu i generałów swoich, dwukrotnie zrywał się do walki

[1]) Loc. cit. II, 24.

z Paskiewiczem i, jak się zdaje, wbrew swemu przekonaniu, zdecydowany był stanowczo stoczyć z najazdem śmiertelną bitwę, ale w obu razach utrzymała go od tego kroku, którego całe niebezpieczeństwo rozumiał, wiadomość o zbliżającej się jakoby interwencyi zagranicznej. Przypatrzmy się tym dwu momentom wojny 1831 r., mającym pierwszorzędne znaczenie historyczne, bo one taki a nie inny nadały kierunek wypadkom i ostatecznie zawyrokowały o losach naszej nieszczęśliwej ojczyzny.

Skrzynecki, jeszcze w pierwszych dniach ryzykownego marszu Paskiewicza, wysłał był do Modlina dwie dywizye piechoty (Milberga i Sierawskiego) a z jazdy dywizyę Turny i brygadę Ambrożego Skarzyńskiego. Wojsko to, bardzo nieliczne, posunęło się do Płońska i jego okolic, ale nic stanowczego nie przedsięwzięło przeciw armii rosyjskiej, która właśnie w tej chwili zaplątaną była w ciasne, lesiste i bagniste przesmyki między Wkrą i Skrwą. Sam zaś wódz naczelny w cztery dni potem z dywizyą pieszą Małachowskiego i jazdą Kazimierza Skarzyńskiego ruszył do Modlina, jak powiadamy, stanowczo zdecydowany do stoczenia bitwy. Tutaj w Modlinie

przez tydzień naradzano się i spierano, gdzie i jak ową bitwę wydać Paskiewiczowi, gdy nagle w d. 16 lipca, od agentów polskich w Paryżu, generała Kniaziewicza i Ludwika Platera, otrzymano wiadomość przez Brykczyńskiego, że minister francuski Sebastiani, dotąd okazujący wyraźną obojętność dla sprawy polskiej, raptem oświadczył pewnej Polce, w Paryżu przebywającej, że pragnąłby się spotkać u niej z naszymi agentami. Ci ostatni, uwiadomieni o tem, nie omieszkali oczywiście zadość uczynić temu żądaniu, a wówczas w poufnej rozmowie generał Sebastiani oświadczył, że jeżeli powstanie utrzyma się jeszcze dwa miesiące, Francya wda się w sprawę polską [1]).

[1]) Niektórzy pisarze utrzymują, że prawie takież samo zapewnienie otrzymał w tym czasie książe Konstanty Czartoryski, agent polski w Wiedniu, od księcia Metternicha. Wiadomość ta zdaje się być fałszywą. W pamiętniku *A. hr. Zamoyskiego* „Moje przeprawy," niema o tem nigdzie wzmianki, owszem Metternich stale radził, ażeby Polacy poddali się Cesarzowi Mikołajowi. *K. Forster*, Powstanie nar. pol. I, 58, zapewnia, że „minister spraw zagranicznych we Francyi, generał Sebastiani, napisał... prywatny list do Skrzyneckiego, w którym (liście) radził oszczędzać rozlewu krwi, zapewniając,

Wiadomość ta tak wpłynęła na Skrzyneckiego, który zresztą był tego przekonania, że Polska sama nie jest w stanie pokonać Rosyi i wybić się na niepodległość bez pomocy obcej, że umocnił się tylko w pierwotnem swojem postanowieniu unikania bitew, by siłę zbrojną zachować nienaruszoną i powstanie przedłużyć. Zaniechał więc natychmiast zamiaru stoczenia batalii, opuścił Modlin i tym sposobem pozwolił Paskiewiczowi na wykonanie ryzykownego marszu i przeprawienie się bez przeszkody przez Wisłę na nieszczęście kraju i jego przyszłości. „Jakże się rozjaśniło poważne oblicze feldmarszałka Paskiewicza — woła jego niemiecki panegirysta F. Smitt—gdy d. 18 lipca, właśnie w chwili najtrudniejszej i najbardziej decydującej, otrzymał od hrabiego Witta doniesienie, że „nieprzyjaciel d. 17 rano ze wszystkiemi swemi siłami cofnął się przez Płock do Modlina“. Nie lękał się on (Paskiewicz) bitwy, ale w tej

---

że przed upływem dwóch miesięcy niepodległość Królestwa Polskiego konstytucyjnego będzie zapewniona przez przyjazne starania gabinetów, interesowanych w jej otrzymaniu.“ O ile to jest prawdą, nie wiemy.

chwili, gdy się gotował do przeprawy, nie była mu ona rękę.“

Słowa te podchlebcy niemieckiego i zjadliwego naszego wroga przekonywują niestety! aż nadto wyraźnie, jak wielki błąd popełnił Skrzynecki i jak dalece zaszkodził sprawie ojczystej! Owe „poważne oblicze“ Paskiewicza nie byłoby się rozjaśniło, owszem bladością trwogi powlokło, gdyby mu w d. 18 lipca, ów „graf Witt“ był doniósł, że cała armia polska maszeruje, by z wojskiem rosyjskiem stoczyć walkę śmiertelną. I jeżeliby ta walka była zwycięską, co było prawdopodobnem, jakież olbrzymie skutki, jakież następstwa dla obu stron, jak zmieniona postać świata politycznego!

Lecz Skrzynecki zapowiadając swemu otoczeniu, na podstawie doniesień agentów polskich w Paryżu, że „w ciągu dwu tygodni zajdą bardzo poważne wypadki“, nie chciał wcale stoczyć tego boju, którego Paskiewicz tak się lękał i który tak wielkie za sobą pociągał konsekwencye. Niemniej cofnął się od konieczności walczenia i drugim razem, gdy na skutek rady wojennej, złożonej z członków rządu, posłów i dwunastu generałów, otrzymał w d. 22 lipca rozkaz, aby przybliża-

jącemu się ku Warszawie Paskiewiczowi wydał bitwę, gdy wydalając się ze stolicy zalecał, by we wszystkich kościołach wznoszono modły o pomyślność oręża polskiego. Niewątpliwie wódz naczelny teraz zdecydowany był na ową bitwę, jakkolwiek uważał ją za błąd, za „stawianie losów ojczyzny na jedną kartę.“ Jednakże, chcąc być posłusznym woli rządu i sejmu, z bólem serca postanowił walkę ową stoczyć. Nim jednakże wyjechał z Warszawy, w d. 30 lipca wieczorem od agenta polskiego w Berlinie przybył list, w którym, powołując się na słowa tamtejszego ambasadora francuskiego, hr. Flahault, wzywał władze polskie, ażeby wstrzymały się od stoczenia bitwy stanowczej, gdyż rozpoczęte zostały pertraktacye w sprawie polskiej. Skrzynecki, uwiadomiony o tem, miał zawołać: „i w takich okolicznościach chcą mię zmusić do bitwy!“ A gdy jeszcze, w dodatku do tego, sztab polski, a zwłaszcza generał Chrzanowski oświadczył, że bitwa pod Sochaczewem grozi jeżeli nie zagładą, to odcięciem armii polskiej od Warszawy, wódz naczelny zaniechał pierwotnego zamiaru i bitwy owej, tak upragnionej, nie stoczył. W kilka dni później, usunięty z naczelnego

dowództwa, przestał kierować losami tej wojny i niebawem zeszedł zupełnie ze sceny historycznej polskiej.

Skrzynecki więc, choćbyśmy najpobłażliwiej sądzili jego działalność jako wodza naczelnego, przyczynił się bardzo wiele do nieszczęśliwego wyniku tej ostatniej wielkiej walki o naszą niezależność. Naród uczynił co mógł, wystawił ogromną w stosunku do swej liczebności armię, zaopatrzył ją we wszystko, ze zdumiewającą ofiarnością dźwigał ciężar nierównego boju przez kilka miesięcy, na to, by całe to jego wysilenie w rękach nieudolnego wodza zmarniało.

Usunięcie Skrzyneckiego było wynikiem całego szeregu błędów, które popełnił, ale było także wielkim błędem ze strony tych, którzy przyczynili się do jego upadku.. Sądząc z jego słów, oraz z jego charakteru, pod murami Warszawy, przyciśnięty do jej okopów, pod hukiem szturmowym pół tysiąca dział, byłby się zapewne wyleczył ze swej wiary w obcą pomoc, ocknąłby się w nim dawny bohater z pod Dobrego i Olszynki i stoczyłby śmiertelną walkę, prowadzoną z uporem i wytrzymałością, któraby może inne koleje nadała wypadkom. Wprawdzie jest

to błędem zrozpaczonych graczy i miernych wodzów, że pragną odzyskać to, co utracili, jednym wielkim rzutem fortuny. Rzadko się rzeczy tak układają, by cały szereg błędów można było ocalić i wyprostować jedną szczęśliwą batalią, ale nie ulega wątpliwości, że przy Skrzyneckim obrona Warszawy zgoła inny miałaby charakter.

Powiedzieliśmy już, że obrona ta była niesfornie, bez naczelnego i jednolitego kierunku, a nadewszystko zdradziecko prowadzoną. Szańce, usypane pod przewodnictwem Kołaczkowskiego, Malletskiego i Bontemps'a, przedstawiały rozległą linię obronną, od Czerniakowa aż do Marymontu sięgającą, zawierającą siedemdziesiąt kilka osobnych dział, usypanych w gruncie piasczystym, nie wszędzie opalisadowanych, rzadko ostrzeliwających się wzajemnie, z których tylko cztery punkta, t. j. Królikarnia, Wola, Parysów i Marymont, przedstawiały istotnie obronne i silniejsze okopy. Ale te cztery małe kotliny, jako odosobnione i nieostrzeliwane z boku, były prawdziwem gniazdem dla pocisków, i nieprzyjaciel łatwo je mógł zasypać gradem granatów i zniszczyć, co też w rzeczy samej się stało. Bodaj czy nie najsilniejszymi były okopy

Parysowa i Marymontu, może dlatego, przez ślepą tradycyę, że tutaj niegdyś, za Kościuszki, Prusacy główne przypuszczali szturmy, ale wtedy nie było Modlina, który dziś mógł grozić atakującym dotkliwym ciosem z tyłu.

Dla obrony tych rozległych fortyfikacyi, na przestrzeni 16-tu wiorst się ciągnących, trzeba było najmniej 60 tysięcy ludzi i 300 dział, a tymczasem obsadzono szańce zaledwie połową jednych i drugich (ludzi 32,000, dział 132). Wprawdzie posiadano o wiele znaczniejsze siły, które można było użyć do obrony Warszawy, ale te, czy przez szczególnego rodzaju zaślepienie, czy przez zdradę, rozrzucono bez naglącej potrzeby po całym kraju. Od armii głównej odłączono naprzód Łubieńskiego z dywizyą wybornej jazdy Ambrożego Skarzyńskiego, dziewiątym pułkiem piechoty i bateryą artyleryi konnej, ogółem około 4-ch tysięcy ludzi i wysłano w województwo płockie, ażeby je oczyścił z nieprzyjaciela i starał się o dostawę żywności stamtąd dla Warszawy; następnie, co o wiele ważniejsze, wysłano pod wodzą Ramorina dwie piękne dywizye piesze Bielińskiego i Sierawskiego, oraz dywizyę kawaleryi pod Millerem, ogółem około 24 tysięcy ludzi i dział 24, na prawy brzeg

Wisły przeciw posuwającemu się pod Pragę, Rozenowi, ażeby go stamtąd odpędziły i dostawę żywności dla Warszawy zarządziły [1]). W tej wysyłce ze stanowiska, grożącego

---

[1]) Projekt wysyłki Ramorina pochodził od Krukowieckiego (*K. Forster* l. c. II, 100). W przedstawionym radzie wojennej d. 19 Sierpnia projekcie między innemi pisał: „podzielić wojsko na dwie części. Z tych jednę wysłać na prawy brzeg Wisły dla przysposobienia wojsku i mieszkańcom stolicy żywności i furażu, których zapas tutaj znajdujący się, wystarczyć zaledwie może na kilkanaście, niektórych zaś artykułów na kilka tylko dni. Drugą część użyć do obrony stolicy, w przypadku gdyby marszałek Paskiewicz chciał do niej szturm przypuścić; czego, jeżeli każdy swą powinność z całem poświęceniem zechce dopełniać, mniej się obawiać należy, jak tego, aby nieprzyjaciel, przeciąwszy już zupełnie nasze komunikacye, nie postanowił głodem nas pokonać,; co może łatwo zrobić, ponieważ na nowej swojej linii operacyjnej po przejściu Wisły obranej, może z największem dla siebie bezpieczeństwem sprowadzać potrzebne zapasy dla swego wojska nie tylko z prowincyi naszych, przez niego zajętych, ale z Prus, niosących mu we wszystkiem, jak wiemy, pomoc.“ Taki projekt podał Krukowiecki, na samej jednak radzie wojennej głosował za stoczeniem walnej bitwy pod Warszawą, lubo w zwycięstwo stanowczo nie wierzył

śmiertelnem dla kraju niebezpieczeństwem, blizko 24 tysięcy ludzi, może nie było zdrady wyraźnej, boć uczyniono to między innemi za radą generała Umińskiego, a stary huzar nie był nigdy zdrajcą, ale tylko głową słabą i wichrowatą, ale była karygodna lekkomyślność, jakaś niepojęta obojętność wobec zbliżającej się burzy szturmowej. Pozorem, dla którego tej wysyłki dokonano, była, jakeśmy rzekli, naprzód obawa przed brakiem żywności, a potem konieczność odepchnięcia Rosena od Pragi. Co do pierwszego, to według relacyi współczesnych, miała tylko na jedenaście do dwudziestu dni żywności, a na pięć dni do dziesięciu dni karmu dla koni [1]), ale wiadomo dobrze, co trzymać należy o braku żywności w wielkich miastach. Skoro miano jej na kilkanaście dni, to znaczy, że starczyłoby jej na kilkadziesiąt, gdyby dobrze poszukano, gdyby przetrząśnięto piwnice i śpiżarnie różnych kupców i łyków warszawskich,

[1]) Według raportu szefa sekcyi żywności A. Polkowskiego z d. 18 Sierpnia (*K. Forster* l. c, p. 96), żyta, przenicy, mąki, chleba i sucharów było na głów 50,000 i 15,000 koni na dni 10, legumin na dni 20, wódki na dni 10, owsa i jęczmienia na dni 11, siana na dni 5.

którzy w obawie przed szturmem, przed domniemanym widokiem gorejących swych kamienic i składów z flanelą i pieprzem, drżeli już z góry i rozpaczliwe miny stroili. A przytem, jeżeli można jeszcze wytłumaczyć wysyłkę Łubieńskiego z małym, czterotysięcznym korpusikiem, którego nieobecność w dzień szturmowy nie wiele znaczyć mogła, dla oczyszczenia województwa płockiego i zebrania tam żywności, bo ta część kraju nie była zniszczoną i wyczerpaną, to już wymarszu przeszło dwudziestu tysięcy ludzi na brzeg prawy Wisły, w okolice, w których od samego początku wojna się toczyła i były do cna wyjedzone, tym pretekstem zgoła usprawiedliwić niepodobna.

Wyraźnie też to na radzie wojennej, d. 19 sierpnia zebranej, Chrzanowski zaznaczył, ale uwagi jego kapitulacyjnemi konkluzyami zamknięte, wysłuchane nie były, choć one w pierwszej części były słuszne i zdrowe [1]).

---

[1]) Krukowiecki na radzie wojennej d. 19 Sierpnia głosował, jakeśmy wspomnieli, za walną bitwą pod murami Warszawy, „nie żebym (mówił) miał w niej nadzieję pomyślnego skutku, ale że ją uznaję za najszlachetniejsze skonanie naszej sprawy.“ Umiński był za wysyłką Ramorina: „zosta-

Jedynym więc uzasadnionym powodem wysyłki Ramorina, było posuwanie się korpusu Rosena zbyt blizko pod Pragę i konieczność odrzucenia go daleko, by mieć na prawym brzegu swobodne i wolne od niebezpieczeństwa pole. Plan więc nie był zły i Ramorino, wyruszając z Warszawy w nocy z d. 21 na 22 Sierpnia, miał dwa tygodnie czasu do pokonania słabszego o wiele Rozena, (liczył z Gołowinem jedenaście tysięcy ludzi) i powrócenia na dzień szturmu do Warszawy, ale naprzód za wiele dano ludzi kondotyerowi francuskiemu, osłabiając

---

wiając (pisał) trzydzieści kilka tysięcy wojska w stolicy, które wystarczy do jej obrony, rzucić w ten moment korpus 18 lub 20-sto tysięczny na prawy brzeg Wisły, zniszczyć Gołowina i resztę Rüdigera w Lubelskiem, a tym sposobem obok najświetniejszych korzyści wojskowych, osiągniemy i tę najważniejszą, że stolica będzie mogła być zaopatrzoną na długi czas w żywność. Łubieński także za tym projektem przemawiał. „Jakkolwiek w tym projekcie (brzmi jego rada) upatruje tysiące trudności do zwalczenia... sądzę jednak, że w tym momencie niema nic lepszego do zrobienia.“ Za projektem tym głosowali także Skarzyński, Kołaczkowski, Małachowski, Bem, Prądzyński, Ramorino, słowem ogromna większość rady. (Czytaj *K. Forstera* l. c. p. 99—122).

przez to armię główną w stolicy, a potem całą akcyę powierzono człowiekowi, który wychodząc z Warszawy, już o nieposłuszeństwie i zdradzie myślał. Przedewszystkiem więc nie trzeba było stawiać na czele tej wyprawy cudzoziemca, który, miał jedynie na celu własne interesa, że do operacyi tej wpraszał się Prądzyński, który, podobnie jak Łubieński, chciał uciec z Warszawy przed sądnym dniem szturmu. Ale Krukowiecki temu się oparł, mówiąc, że były kwatermistrz generalny jest potrzebny w stolicy. Już sam ten fakt, że do korpusu Ramorina przyłączyli się wszyscy wielcy panowie, ks. Czartoryski, Gustaw Małachowski, ks. Sanguszko, dwu Sapiechów, trzech Potockich, Tytus Działyński, Aleksander Sobański i kilku innych, istna emigracya koblencka, wyraźnie zdawał się świadczyć, że korpus ten wzięli oni sobie za rodzaj straży przybocznej, którąby ich bezpiecznie odprowadzić mogła do granicy, wobec nieulegającego wątpliwości, w ich mniemaniu, upadku Warszawy. Zdrada więc od samego początku w tym korpusie tkwiła. I gdybyśmy nawet z wielką ostrożnością przyjmowali to, co mówi o tej zdradzie Ko-

łaczkowski [1]) i niejaki p. S. (podobno Dr. Stella-Sawicki) [2]), co następnie uzupełnia L. Mierosławski [3]), z relacyi francuskich towarzyszów Ramorina, o „bumażkach“ danych temuż przez parlamentarza Rosena w stodole w Tłuśćcu, to wszakże nieposłuszeństwo Kondotyera naprzód rozkazom Krukowieckiego w czasie szturmu, a potem Małachowskiego już po zdobyciu Warszawy, najlepiej dowodzi ohydnej zdrady.

[1]) *K. Kołaczkowski*, „Wspomnienia“ V, 82, opowiada, że w kilka dni po wyjściu korpusu Ramorina spotkał on (Kołaczkowski) w kwaterze głównej pułkownika Gallois, który pod Ołtarzewem wzięty został do niewoli, a teraz w cywilnem ubraniu zjawił się w Warszawie. Sprawę tę wyjaśnił mu w r. 1868 generał rosyjski Abramowicz, który w r. 1831 był adyutantem Paskiewicza. Abramowicz twierdził, że „pułkownik Le Gollois wypuszczony został na wolność pod warunkiem, aby propozycyę zrobił Ramorinie usłużenia sprawie rosyjskiej przez trzymanie w oddaleniu korpusu swego w czasie ataku Warszawy. Suma obiecana 20,000 czerwonych złotych. Le Gallois udał się do kwatery generała Ramorina. Co ukartowali, niewiadomo. To tylko pewna, że po wzięciu Warszawy, o nagrodzie obiecanej, marszałek (Paskiewicz) zapomniał.“

[2]) „Gazeta narodowa“ lwowska z r. 1867.

[3]) „Historya powstania narodu polskiego 1830 i 1831 r. Tom VII.

Otóż te dwadzieścia przeszło tysięcy bagnetów i szabel, ścigających wiatr w polu na Podlasiu, by w końcu haniebnie broń złożyć przed Austryakami, ujętych w decydującej chwili obronie Warszawy, stanowiło o jej losach, a zarazem o losach Polski. Paskiewicz bowiem, jakkolwiek jego siły dosięgały 71 tysiąca ludzi i dział blizko 400, jednakże uważał on nie bez słuszności, że z taką liczbą nie można się kusić o zdobycie Warszawy, posiadającej w swych szańcach siłę przeszło pięćdziesięciotysiączną, a za nią ulice najeżone barykadami i ludność, wrzącą gorącym zapałem bojowym. To też feldmarszałek rosyjski, któremu Warszawa wydawała się uzbrojoną od stóp do głów („mais ils sont fortifiès jusqu' aux dents") [1]), wahał się, co ma czynić i według wszystkich relacyi tak naszych jak obcych, raczej był skłonny jeżeli już nie do odskoczenia na południe ku Rydygierowi, to do regularnego oblężenia, by miasto zmusić głodem do kapitulacyi, a nigdy do taranowego i ryzykownego szturmu [2]).

[1]) *F. v. Smitt*, Feldherrn-Stimmen, 338.

[2]) Paskiewicz pierwotnie zamyślał dotrzeć tylko do Łowicza i tutaj zająć się zaopatrzeniem swej armii w żywność. „Jeżeli zaś, mówił, zapasy

W sztabie rosyjskim wiedziano o wysyłce Ramorina, ale nie wiedziano, jak daleko on zaszedł i czy w dniu szturmu nie znajdzie się na okopach Warszawy, by z ich szczytów dwudziestu tysiącami bagnetów nie strącić szturmujących kolumn rosyjskich w bezładny odwrót i porażkę. Wszystko więc zależało od tego, by dowiedzieć się, gdzie jest Ramorino, co myśli robić, czy i kiedy powróci; „oto Hamletowe być albo nie być (powiada Mierosławski), które trapiło w tej chwili główną kwaterę rosyjską w Nadarzynie.“

Otóż dla wydobycia tej tajemnicy wysłano w d. 4 września generała Dannenberga wrzekomo z propozycyami układowemi, a w gruncie dla zręcznego wypytania się o stan rzeczy w szeregach polskich, o miejsce pobytu i zamiary Ramorina. Na rozmowę tę wydelegowano ze strony polskiej na nieszczęście Prądzyńskiego, który znużony już był rewolucyą i wojną, przewidywał w swej wrażli-

---

kraju nie będą dostateczne, to cofnę się do Kowala a nawet dalej, bo armia nie może umrzeć z głodu.“ Słysząc to szef jego sztabu, Toll, zawołał: „trzeba wziąć Warszawę.“—„Nie, odrzekł Paskiewicz, czterdziestu tysiącami piechoty nikt Warszawy nie weźmie.“ *F. v. Smitt* l. c. 300).

wej i ulegającej wpływom naturze, blizki, rozpaczliwy koniec, żywił w głębi duszy kapitulacyjne zamysły, a nadewszystko był człowiekiem słabego charakteru i niepotrzebnie gadatliwym. Wygadał się też zupełnie na owej konferencyi pod karczmą Pociechą przed chytrym i przebiegłym Dannenbergiem, że Ramorino jest pod Brześciem Litewskim, że to „nas dezesperuje, iż się uparł całemi swojemi siłami doścignąć i dobić Rosena, nie zważając na kilkakrotny rozkaz powrotu do Warszawy.“ O to tylko szło Paskiewiczowi i postanowił skorzystać z nieobecności Ramorina, (który oczywiście będąc pod Brześciem, nie mógł ani dziś, ani jutro stanąć pod Warszawą) i taranowym szturmem zdobyć stolicy polskiej.

Taki był szereg błędów i gorszej od błędów zdrady, która Warszawę wystawiła na ciosy ogromnej przemocy nieprzyjacielskiej i w dwudniowym natężonym szturmie oddała ją na ofiarę najazdowi. O samym szturmie i obronie mówić tu nie będziemy, choć i ta była nieudolnie, niesfornie i niewłaściwie prowadzoną. Wodzowie polscy spodziewali się ataku od strony Mokotowa, lub po szosie Raszyńskiej z wytyczną do rogatek Jerozo-

limskich, i tam Umiński zgromadził 3/4 wszystkich sił polskich; tymczasem szturm nastąpił po szosie Błońskiej, ku rogatkom Wolskim i, nim się opatrzono, Wola, główna reduta polska, zorana kulami wroga, wpadła z bohaterskim Sowińskim w ręce nieprzyjaciół Bem, zabawiwszy się gdzieś do późnego poranku w mieście, nie stanął na czas z rezerwową pięćdziesięciodziałową artyleryą, by kartaczową ulewą rozbujane do szturmu kolumny rosyjskie rozmiażdżyć na krwawe błoto; w samej obronie szańców zachodnich nie było spójności, dość, że padła cała ich linia pierwsza i Paskiewicz mógł tryumf tego dnia święcić zupełnie.

Jednakże, gdyby tego sądnego dnia, o godzinie 5-ej wieczorem, gdy nawet ogień działowy z obu stron ustał i nieprzyjaciel, znużony wysiłkiem krwawym, ciężko oddychał, liżąc swe rany i zbyt szczodrze wypróżnione jaszczyki artyleryjskie z parków rezerwowych pod Solipsami, nowym oddechem kartaczowym zapełniał — gdyby, powiadamy, o tej godzinie, a lepiej jeszcze nazajutrz, o wczesnym świcie, nadbiegła odsieczna poręka Ramorina i debuszując z rogatki Mokotowskiej, a trafniej i skuteczniej z Jerozolimskiej, ba-

gnetami dwudziestu czterech świeżych batalionów i druzgoczącym wymiotem czterdziestu dział wszyła się w drzemiące zmorowym snem szeregi nieprzyjaciół, i krając je na pół, zachodziła lewem ramieniem naprzód, by w uścisk serdeczny przyjąć i Kreutza, i Szachowskiego i Pahlena, zmroczonych bojem wczorajszym i okaleczonych mocno; gdyby Bem zrestaurowawszy na folwarku Świętokrzyskim swe skołatane wczoraj doszczętnie 50 dział, poparł ten atak choćby najryzykowniejszem użyciem swej broni, dopierożby tryumf wczorajszy wyszedł wrogowi na niewynagrodzoną niczem klęskę! Drżał on też ciągle z obawy i już wczoraj z po za chmury dymu działowego tęskliwie spoglądał, rychło na jego krwią ociekłe bataliony zwali się ta odsiecz Ramorinowska, gdyż pomimo zapewnień Dannenberga, w tych czterdziestu godzinach, Polacy mogli przy woli czujnej i sprężystej, odstępcę i zdrajcę do porządku przywołać. To też, gdy po wzięciu ostrogu wolskiego, zakotłowała się kurzawa trzytysiącznego odwetu Majewskiego i Leskiego, wspierana bateryą Bagieńskiego, by ów nieszczęsny, ofiarny szaniec napowrót wyrwać z rąk wroga, wśród mas, zwalonych dokoła

Woli, rozniósł się nerwowy dreszcz trwogi: „ot, nareszcie Ramorino!“ [1]).

A Ramorino nie przybywał, przybyć nie chciał i nie mógł już teraz ze swojem wojskiem. Daleki odskok „tych durniów“, jak ich w swej żołdackiej krewkości nazywał Krukowiecki, czynił niemożebnem ich przybycie na czas dla odsieczy stolicy szturmowanej. A przytem, d. 6 września, godz. 5-ej wieczorem, wraz z umilknięciem gromów bojowych na zlanych krwią i usianych trupami polach Woli i Czystego, zastępca wodza, stary Małachowski, z insynuacyi Krukowieckiego, wysłał rozkaz do Ramorina, ażeby „zajął Kałuszyn z większą częścią piechoty, a Siedlce i okolice tego miasta swoją konnicą, ponieważ następne wypadki wymagać będą mogły połączenia wszystkich sił naszych.“ Ramorino więc, utkwiwszy w Kałuszynie, a więc o dwa co najmniej marsze od Warszawy, już teraz w żadnym razie na czas przybyć nie mógł zwłaszcza, że goniec z tym rozkazem dopadł Ramorina w pałacu Międzyrzeckim dopiero nazajutrz późnym wieczorem, gdy już ostatni czwartak i ostatni ósmak batalionów Borzęc-

---

[1]) *L. Mierosławski,* „Bitwa warszawska,“ I, 105.

kiego i Bobińskiego, padał w rozpaczliwym i zajadłym boju na cmentarzu luterskim, ostatni wymiot kartaczowy bateryi podrogatkowej Dorantowicza przeszywał cisnące się na oślep kolumny Szachowskiego...

Ale skoro nie miano zamiaru powoływać Ramorina do odsiecznej poręki, to pocóż krwawa i ofiarna obrona dnia następnego, rozsypujących się pod ulewą pocisków rosyjskich kretowisk warszawskich? Bo tylko w takim razie obrona ta mogła mieć racyę i konieczność, gdyby chciano wyczekać tej poręki, by z jej przybyciem, z poza pozostałych w naszej mocy ostrogów i wałów, wszyć się piorunowym klinem w przetrzebione i zamroczone szturmowym nieładem kolumny nieprzyjacielskie; albo też, żeby pod osłoną heroicznie konających żołnierzy na swych zatratnych stanowiskach, dokonać „jak nasi ojcowie pod księciem Józefem“ w r. 1809, zupełnej i doszczętnej ewakuacyi Warszawy. I taki zamiar rzeczywiście żywiono, z taką myślą się noszono [1]). Gdyby Warszawę od-

[1]) Krukowiecki między innymi projektami, projektami, które zamierzał przedstawić radzie wojennej w d. 19 Sierpnia 1831 r. proponował także:

dano Paskiewiczowi wypróżnioną z ostatniej szczypty prochu i ostatniego kawałka ołowiu, ze wszelkich zasobów, począwszy od guzika i podeszwy aż do armaty, ze wszelkich na-

---

„urządzić zawczasu sposób opuszczenia Warszawy z resztującem wojskiem, działami, amunicyami, magazynem na kilka dni, ażeby opuszczając stolicę, przeszedłszy na prawy brzeg Wisły i zniszczywszy most, działać w jednej myśli wszystkiemi korpusami.“ (*K. Ferster*, „Powstanie nar. pol. III, 98). Później jednak o tym zbawiennym projekcie mówił, ale go nie wykonał. Do swego szwagra Wolskiego odzywał się: „z za wysadzonego w powietrze mostu, przez szeroką Wisłę, równy z równym spokojnie się potargujemy.“ Gdy na to Wolski zauważył, że „to fortel zbyt przezroczysty, ażeby przebiegła Moskwa nań brać się dawała, że zatem nierównie uczciwiej i bezpieczniej, jak najwytrwalszym oporem samym sobie zdobyć nieturbowaną ewakuacyę Warszawy,“ Krukowiecki woła: dajże ty mi pokój z twoją wytrwałą obroną! wojsko w szańcach bić się już nie chcę; chyba odgrodzone Wisłą od niebezpieczeństwa, wróci do ładu i odwagi; muszę jakąbądź negocyacyą spokojny mu odwrót na Pragę i czas wywiezienia naszych magazynów do Modlina wyrobić. Wtedy się pokaże, czym się sprzedał Mikołajowi, jak wykrzykują klubiści.“ Mimo takich mów, sam w niczem się nie przyczynił do tej ewakuacyi. *L. Mierosławski*, „Bitwa warszawska I, 182).

wet okruszyn żywności, toby dopiero nadęty pęcherz sławy zdobywcy stolicy polskiej, opadł jak flak pusty i próżny! Wyszafowawszy na dwudniową, niesłychanie szczodrą i nierachującą się z jutrem palbę działową wszystką zawartość pociskową swych jaszczyków, wszystek oddech swych płuc śpiżowych, pozbawiony mostu na Wiśle, odcięty od podstawy operacyjnej, przygwożdżony do dygocącej pod jego nogami stolicy, głodny, okaleczony, obarczony liczną i niemą teraz działobitnią, kilkunastu tysiącami rannych i chorych, znalazłby się zwycięzca wczorajszy w położeniu rozpaczliwem i w konieczności wcześniejszego czy późniejszego odwrotu na południe ku Rydygierowi. A przez ten czas armia polska, złączona z Ramorinem, mając zupełną swobodę ruchów, oparta na Modlinie, mogła na prawym brzegu rzucić się na Rosena, oczyścić kraj do Bugu i poza Bug jeszcze i rozgłośny tryumf jutrzejszego kniazia warszawskiego zamienić na niepowetowaną klęskę... [1]).

---

[1]) Oto, co o stopniu paraliżu i rozbrojenia, na jakie nieprzyjaciel naraził się wzięciem Warszawy, pisze historyk tych strasznych dni: „nie tylko

Nie uczyniono tego, warszawskie hekatomby w bezpłodny wysiłek krwawy zmie-

---

z programatu i rozkazu, wybór wojska (rosyjskiego) przodował kolumnom szturmowym, ale z samej natury ciągłego ruchu zaczepnego wynikało osypywanie się w tył lichszego żołnierza za miernym, a cedzenie się na wierzch najzuchwalszego z oficerami na ofiarnej szpicy. Nie byłoby w tem nic anormalnego dla jednorazowego a szturmowego poskoku, bo takim nakładem polegli utorowali by przynajmniej masie niecofnięte zwycięstwo; ale tutaj w dwudniowych zapasach, po trzy i cztery razy musiano taczać te samą kolumnę z rozsypki do ponownego ataku, na eksterminacyjne przesiłowanie całego wojska trzy i cztery razy, aż do plew najordynarniejszych. Cóż może być warta piechota najazdowa po wytrąceniu jej z przewodnich kadrów? To też bez najmniejszej przesady, z nieomylnie racyonalnego wniosku dostrzega się zaraz, że wyjąwszy część gwardyi, w żaden ogień nie pędzonej, całe 58,000 walidnego wojska, jakie 8 kwietnia wkroczyło do Warszawy, było już tylko obwisłem cielskiem bez serca, bez kości ni muskułów. Jakoż szczególne, równie niezbędne najazdowi bronie, niemniejszemu uległy zniszczeniu. Wyborowa jazda gwardyi i kirasyerzy korpusu rezerwowego, a to bez cienia potrzeby, i istotnie samobójczej fantazyi, na nic wysiekane zostały. Artylerya rozbroiła się nie tylko prawie doszczętnem wypaleniem amunicyi, lecz równem a niepoprawnem zniszczeniem

niono i doprowadzono sprawę do zupełnego i tragicznego upadku. Wina w tem leży na Krukowieckim, który umiał krzyczeć, wymyślać na „durniów“ Ramorinowskich, na „za..ńców“ sejmowych, wynieść się wieczorem d. 7 września na Pragę i pozwolić na marne zakończenie tak heroicznie prowadzonej walki.

Nikt inny w tym ostatnim wysiłku narodowym nie jest winien, tylko Chłopicki, Skrzynecki i Krukowiecki, i oni, podobnie jak ich poprzednicy Kościuszko i Poniatowski, stają przed sądem dziejowym. Nie na-

---

swojego materyału, 5000 ładunków, porzuconych przez nas w Warszawie, zdobywcom nic nie wynagradzało, bo tylko po części pasowały do polowych kalibrów rosyjskich; zapasy zaś porzuconego prochu, dość zresztą szczupłe, na nic się bez odpowiednich pocisków nie przydały. Restauracyjnego materyału artylerya rosyjska ani krzty już w Warszawie nie zastała, bo takowy przez dwukrotną zmianę, nasze baterye polowe do ostatniego koła, do ostatniej lawety, do ostatniego też zaprzęgu dla siebie spożytkowały i nareszcie wygubionych kanonierów nie mogła jak my wałowymi zastąpić.“ *L. Mierosławski* l. c. II, 229).

ród, nie jego mniemany ustrój anarchiczny, nie jego prywata, zawiść, brak zmysłu politycznego i tyle innych wad, któremi tak hojnie swoi i obcy go obrzucają, ale naczelnicy, wodzowie, hetmani wyrokiem historyi obarczeni być muszą.

O powstaniu 1863 roku nie wiele mamy do powiedzenia, jako o błędzie tak wojskowym jak i politycznym, z którego ani wniosków, ani założeń żadnych wyprowadzić nie można. Było ono błędem nie już wodzów, nie pojedynczych ludzi, ale całego tłumu i niedouczonej młodzieży. Nie przedstawia też ono ani jednego faktu, na którymby oko historyka zatrzymać się mogło i poddać pod sąd dziejowy winnych lub niewinnych. Tu byli wszyscy winni i wszyscy niewinni; winni, że bez wojska, bez broni, bez pieniędzy i jakichkolwiek zasobów, lub nadziei pomocy zewnętrznej, porwali się na potężną monarchię; niewinni, bo czyn ich był płodem nieprzełamanych, karmionych długo i tajemnie, a więc tym silniejszych w swym objawie zewnętrznym, aspiracyi narodowych.

Pod względem wojskowym, najważniej-

szym w akcyi wydobycia się na wolność, powstanie to miało w sobie od samego początku zaród niepowodzenia koniecznego. Partyzantką, małą wojną, prowadzoną dość nieumiejętnie, nie pokonywa się stotysięcznej zrazu, a następnie trzechkroćstotysięcznej armii, jaka zalała w ciągu 1863 roku Królestwo, i nie zdobywa się niezawisłości. Teoryę tej wojny, jej niezbędność jakoby w Polsce, pozbawionej stałej armii, przelał w umysły ówczesnej młodzieży i ówczesnych kierowników powstania, naprzód Stolzman, a potem Borkowski. Pierwszy, zdatny oficer z 1831 r. kapitan artyleryi walecznie bijący się w obronie Warszawy, napisał książkę i wydał ją w Paryżu o partyzantce, przy pomocy której, twierdził i sądził, będzie można wywalczyć upragnioną niezależność. Książka ta stała się niejako ewangielią naszej młodzieży, która z kolei rzeczy, pragnęła „dosiąść owdowiałego siodła“ i jeszcze raz zmierzyć się z nieprzyjacielem.

Poparł tę teoryę, pozornie rozumną i prawdziwą, już w czasie samego powstania, drugi oficer z 1831 r. Karol Brzozowski, w swej książce, także wydanej w Paryżu, p. t. „Kilka uwag nad obecnem powstaniem w Polsce,“

i niejako utwierdził niewykształconych wojskowo kierowników rzeczonego powstania w tem mniemaniu, że partyzantką można będzie z czasem pokonać trzykroć stotysięczną armię nieprzyjaciela, zaopatrzoną we wszystko należycie i opartą o cztery a nawet pięć fortec, jeżeli wliczymy w to i Brześć Litewski.

„Partyzantka powstańcza, czyli wojna ludowa zaczepna i odporna, (powiada Brzozowski) zasadza się mianowicie na tem, ażeby małymi i licznie rozproszonymi po całym kraju oddziałami, dzień i noc bez przestanku ścigać, niepokoić, do upadłego męczyć, osłabiać i niszczyć nieprzyjaciela, uderzać na niego z boku i tyłu, przecinać mu wszelkie komunikacye, rozrywać jego siły, zabierać kasy i wszelkie dowozy, a w razie niemożności zabrania, niszczyć składy i zapasy wojenne i t. d.“

W teoryi wygląda to bardzo pięknie, ale w praktyce zgoła inaczej. Ta wychwalana ruchliwość oddziałów powstańczych ma swoje granice, bo siły ludzkie nie są przecie niewyczerpane. „Nękając dzień i noc“ nieprzyjaciela, sami się męczymy i od czasu do cza-

su potrzeba wypoczynku staje się konieczną. A gdzież ten wypoczynek bez punktów obronnych oddziały powstańcze znaleść mogą w kraju, przez wroga zalanym? Zresztą, powtarzamy, partyzantką niepodobna zniszczyć i zwyciężyć trzykroćstotytysięcznej armii. Hiszpanie nie byliby gierylasówką pokonali Napoleona I-go (bo jest to klasyczny przykład, na który powołują się zawsze nasi teoretycy powstania), gdyby nie dopomagali im Anglicy i gdyby Napoleon nie był zmuszony wskutek klęski 1812 roku wycofać z półwyspu swej armii.

Z tem wszystkiem Brzozowski był zanadto rozumnym i starym żołnierzem, by mógł sądzić, że siłami partyzantki uda się Polskę odbudować. Dodaje więc, że taka wojna „sama, bez pomocy uorganizowanej armii, nieprzyjaciela zwalczyć i zupełnie pokonać nie będzie w stanie.“ A skądże wziąść tej armii, gdzie i z czego ją wytworzyć? Na to pytanie odpowiedzi Brzozowski nie daje.

Nie bez przeważnego wpływu na umysły tych, którzy ruch zbrojny w r. 1863 wywołali był także Maurycy Mochnacki. Człowiek ten, obdarzony wielkim talentem pisarskim, wywierał silny, potężny urok na głowy i serca mło-

dzieży polskiej z doby przedpowstańczej. W znakomitem pod względem kunsztu dziejopisarskiego dziele, opisującem wypadki 1830-1831 r. powiada on: „...powstanie w Polsce nie powinno mieć jednego ogniska, jednego środka; niechaj je raczej ma w każdem miejscu, bo nie idzie narodowi o utrzymanie murów stołecznych, ale o uwolnienie całego kraju“ [1]). „...Polska, w pierwszych zwłaszcza chwilach powstania, nigdy nie miała, nigdy nie będzie miało tyle wojska regularnego ile Rosya. A zatem to wszystko pomaga jej interesowi, co najbardziej tryb wojowania oddala od tego porządku, od tej rutyny, jaką ściśle liniowe wojska nieprzyjacielskie w kraju naszym zachowywać muszą; krótko mówiąc—co wojnę niejako unieśmiertelnia, co ją czyni ziemiańską, chłopską. U nas przedewszystkiem trzeba się starać o to, ażeby z wrogiem ojczyzny miał więcej do czynienia lud, niżeli wyćwiczony żołnierz.“

Nie wspominamy tu już o Mierosławskim, który- także nieustannie prawił o partyzantce, o kosynierach, z „rękami czarnemi

[1]) (Powstanie narodu polskiego, I, 10 i nast. (wydanie berlińskie).

od pługa“, budował swe „lotne, jak szarża kawaleryjska, fortyfikacye“, i obiecywał, że przy pomocy takiej wojny, lud, „przyszły spadkobierca ojczyzny“ odbuduje Polskę od morza do morza. Wszyscy jednak, czy to Mochnacki, czy Brzozowski lub Mierosławski, uważali oddziały powstańcze za kadry, za szkielet przyszłej armii regularnej, która jedynie tylko mogła Rosyę pokonać.

Tymczasem dowódzcy powstańczy w 1863 r. prowadzili partyzantkę bardzo niedołężnie, rzadko zaczepnie, zawsze prawie odpornie i nie myśleli wcale o wytworzeniu stałej armii, co zresztą, mówiąc szczerze, było niemożliwem.

Z całego szarego tłumu tych dowódzców, włóczących się bezmyślnie po kraju i unikających boju, dwu zaledwie wystaje nieco ponad głowy innych, skupia na sobie garstkę promieni historycznych i zasługuje na baczniejszą uwagę, a mianowicie: Maryan Langiewicz i Zygmunt Sierakowski. Obaj służyli w obcych wojskach. Langiewicz w pruskiem i pod Garibaldim, Sierakowski w rosyjskiem i mieli jaką taką znajomość rzemiosła wojskowego, ale obaj nie okazali ani wyższych talentów, ani nie potrafili skorzystać należycie

z przyjaznych okoliczności i zasobów krajowych.

Pierwszy z nich, założywszy w samych początkach powstania w Sandomierskiem, w fabrycznych i lesistych okolicach Suchedniowa, Wąchocka i Bodzentyna, obozowisko powstańcze, zgromadziwszy tam około dwu tysięcy ludzi, nie skorzystał z dwutygodniowego przeszło czasu, jaki mu zostawili wodzowie rosyjscy, koncentrujący na łeb na szyję swe siły. Pierwszą czynnością takiego dowódzcy powstańczego powinno być wynalezienie jakiegoś mocnego punktu oparcia, gdzieby w razie silniejszego lub przemożnego nacisku mógł znaleść schronienie, gdzieby znużonym wojownikom swoim mógł choć chwilowy dać odpoczynek, gdzie wreszcie z niesfornych tłumów mógłby powoli wytworzyć regularne i bitne szeregi. Dla Langiewicza taki punkt oparcia sam się nastręczał w starym, pobenedyktyńskim klasztorze na św. Krzyżu, zbudowanym mocno na wysokiej i trudno dostępnej skale, otoczonym dokoła lasami i górami, pełnymi przesmyków wązkich, gdzie garść zrezygnowanych wojowników mogła całe pułki trzymać w szachu, do którego nakoniec prowadziło dróg niewiele i ciężkich

do przebycia z taborem i działami. Gdyby więc Langiewicz zamiast bezczynnego przepędzenia tych dwu tygodni w swych obozowiskach, zajął się był jakiem takiem obwarowaniem św. Krzyża, wycięciem w jego wiekowych murach strzelnic, usypaniem kilku szańczyków, zaopatrzeniem go w żywność na parę miesięcy, poczynieniem zasieków na drogach, doń wiodących, miałby choć na jakiś czas taki punkt oparcia, gdzieby powoli swych przygodnych ochotników mógł zamienić w karnych i bitnych żołnierzy. Wprawdzie później znalazł się on na tym św. Krzyżu, ale w warunkach takich, że stawał on się dla niego nie schronieniem, ale prawdziwą pułapką, z której co prędzej trzeba było się wynosić. Przybywał bowiem na to miejsce ścigany przez przeważnego co do liczby nieprzyjaciela, bez uprzednich przygotowań, bez umocnienia i zaopatrzenia w żywność naturalnej tej twierdzy i, niechcąc z głodu umrzeć na tem zatratnem stanowisku, musiał co prędzej je opuścić. Wywinął się z tego zatrzasku mistrzowsko pomyślanem ruchem, ocalił garść swych wiernych towarzyszy, ale nic więcej.

Nie twierdzimy wcale, by takie mocne

usadowienie się na św. Krzyżu ocaliło powstanie, lub wojnie nadało obrót zwycięski, ale przynajmniej swej kampanii Langiewicz nie byłby zakończył sromotną ucieczką do Galicyi i poddaniem się Austryakom.

Sierakowski, drugi z tych wodzów, zgromadziwszy znaczne, jak na powstanie, bo do trzech tysięcy podobno wynoszące siły na Żmudzi, nie myślał także o żadnym punkcie oparcia, ale usiłował dotrzeć do Połągi, by tam otrzymać zasiłek w ludziach i broni od błąkającego się po morzu okrętu pod wodzą Łapińskiego. Okręt uległ rozbiciu, a Sierakowski, pokonany przez generała Ganeckiego pod Birżami, śmiercią na szubienicy zakończył swą kampanię.

Obaj więc wodzowie, nawet w tym szczupłym zakresie, jaki ta beznadziejna wojna przedstawiała, nie zrobili tego, co mogli i powinni byli zrobić, i tworzą dalszy ciąg przykładów zmarnowania naszych wysileń przez nieudolnych naczelników. Poza tem, powstanie 1863/4 r. nie przedstawia żadnego materyału do poważniejszych rozmyślań. Była to wojna rozpaczy, stworzyła wiele heroicznych czynów, całe morze poświęceń i cierpień nadludzkich, daje obraz wysoko nastro-

jonego patryotyzmu, ale niestety! z góry skazaną była na przegraną bez nadziei i bez chwały! Zakończyła ona ostatni peryod naszych walk orężnych o niezależność, a zakończyła smutno, ponuro i bez sławy. Nie była epopeą, wyśpiewaną przez bagnet i lancę polską, jaką wypisał na kartach historyi rok 1831, ale nieszczęsną, krwawą, posępnie wlokącą się tragedyą, rozgrywaną w mrokach leśnych, gdzie nikt nie widział scen rozpaczy i gdzie nikogo nie było, coby je dla potomności mógł zanotować. Wojna to straszna, pełna łez i ponurych cieniów. Nie wydała ona ani jednego świetnego błysku, ani jednego wielkiego czynu, któryby wiekopomną pieczęcią zaległ na stuletnich naszych walkach. Boje te skonały cicho, gdzieś w głębi puszcz i borów ojczystych, bez odgłosu i bez jęku nawet...

Skończyliśmy nasze smutne i bolesne rozmyślania. Staraliśmy się w nich dowieść, że w całowiekowym peryodzie naszych walk o niezawisłość polityczną, naród dał dowody wielkich poświęceń, wielkiej wytrwałości, większej jeszcze ofiarności, a co za tem idzie i żywotności, a wszystkie te jego przymioty i ofiary zmarnowane zostały przez wodzów nieudolnych. Ani jeden z nich nie wyszedł ponad mierność, a jeżeli, jak Chłopicki, obdarzony był geniuszem wojskowym, to zato nie posiadał duszy polskiej, którą zatracił w swej kilkunastoletniej tułaczce poza krajem. Nie rozstrój więc wewnętrzny, nie deprawacya moralna, nie rozbieżność społeczna i prywatna, o co nas oskarżają nieprzyjaciele, pogrążyła kraj w przepaść, ale to, że przegraliśmy cztery wielkie wojny, a przegraliśmy dlatego, że nie mieliśmy wielkich wodzów,

genialnych hetmanów i statystów. Zdaje nam się, żeśmy tego założenia naszego dowiedli, i sądzimy, że dla dusz wątpiących o wartości narodowej, a takich jest wiele dzisiaj dzięki pesymistycznej literaturze historycznej doby ostatniej, praca nasza będzie pociechą, ukojeniem i otuchą, ożywi serca, wypleni zwątpienie...

O to nam też tylko chodziło.

Wyględówek-Radom 1901—1906 r.

1148



„NOWOŚCI LITERACKIE"

K. Tetmajer. Z WIELKIEGO DOMU. Cena kop. 65, w oprawie 85.
Jan Lorentowicz. MŁODA POLSKA I Cena kop. 65, w oprawie 85.
Mieczysław Srokowski. ICH TAJEMNICA. Cena k. 60, w oprawie 80.
T. Jaroszyński. W NAWIASACH ŻYCIA. Cena k. 60. w oprawie 80.
Jan Bełcikowski. LEON TOŁSTOJ. Cena kop. 80, w oprawie 1.
Maciej Wierzbiński. W PRZEKLĘTYM DOMU, I. Cena kop. 45, w oprawie 65.
Maciej Wierzbiński. W PRZEKLĘTYM DOMU, II, Cena kop. 45, w oprawie 65.
Jan Lemański. PRAWO WŁASNOŚCI. Cena kop. 65, w oprawie 95.
A. Kallas ONA I ONI. Cena kop. 60, w oprawie 80.
Stanisław Cieszkowski. ALEKSANDER I-szy A KONSTYTUCYA. Cena kop. 50 w oprawie 70.
Stefan Kiedrzyński. ROZKOSZ ŻYCIA. Cena kop. 50, w oprawie 70.
Gustaw Olechowski. WZDŁUŻ AZYI. Cena kop. 60, w oprawie 80.
A. N. Nowaczyński. CO CZASY NIOSĄ. Cena k. 60, w oprawie 80.
R. Svobodova. BŁOGOSŁAWIONY. Cena kop. 60, w oprawie 80.
Zygmunt Bartkiewicz. STARE GNIAZDA, NOWE PTAKI. Cena kop. 60, w oprawie 80.
Zygmunt Różycki. PŁOMIENNE KWIATY. Cena k. 60, w oprawie 80.
E. Topas-Bersztajnowa. Z NIZIN. Cena kop. 60, w oprawie 80.
Jerzy Kurnatowski. MORALNOŚĆ I ŻYCIE. Cena k. 60, w oprawie 80.
Jan Lorentowicz. MŁODA POLSKA. II. Cena k. 100, w oprawie 1.25.
J. St. Mar. HISTORJA DWOJGA LUDZI I JEDNEGO FILISTRA. Cena kop. 60, w oprawie 80.
Józef Jedlicz. JASNY I CZARNY. Cena kop. 60, w oprawie 80.
Wojciech Szukiewicz. SPÓŁDZIAŁANIE. Cena k. 60, w oprawie 80.
Tadeusz Konczyński. WYSPA SMUTKU. Cena k. 60.
Alfred Wysocki. SZKICE SKANDYNAWSKIE, k. 60.
Zygmunt Michałowski. DO CELU, Cena rb. 1 20.

Poleca się uwadze Miłośników wszystkich pamiątek:

ALBUM Z TEKI *J. Olszewskiego*, zawiera wybitne polskie postacie i widoki pamiątkowe, wyd. ozdobne na papierze kredowym z objaśnieniami historycznemi i wierszem Or-Ota, cena w oprawie . . 1 80

„Gazeta Warszawska"

(„GŁOS WARSZAWSKI")

NAJWIĘKSZE PISMO W WARSZAWIE

daje możliwie pełny wyraz polityki narodowej, życia polskiego i myśli polskiej we wszystkich dzielnicach.

„GŁOS WARSZAWSKI" zgrupował najwybitniejsze siły publicystyczne i literackie, które zapewniają mu możność należytego oświetlenia wszystkich objawów życia narodowego na całym obszarze, oraz we wszystkich jego dzielnicach.

Członkami Redakcyi, lub stałymi współpracownikami „Głosu Warszawskiego" są pp.:

Zygmunt Balicki, Kazimierz Bartoszewicz, Stanisław Bukowiecki, Ignacy Chrzanowski, Zdzisław Dębicki, Roman Dmowski, Jerzy Gościcki, Władysław Grabski, prof. Stanisław Grabski, Władysław Jabłonowski, Tadeusz Jaroszyński, Tadeusz Konczyński, Stanisław Kozicki, Maryan Lutosławski, prof. Wincenty Lutosławski, Erazm Majewski, Mieczysław Niklewicz, Adam Nowicki, Franciszek Nowodworski, Edward Paszkowski, Stefanja Podhorska-Okołów, Antoni Potocki, Władysław Prokesch, Henryk Sienkiewicz, Gustaw Simon, Zygmunt Skarżyński, Jan Stecki, prof. Adam Szelągowski, ks. Marcin Szkopowski, Feliks Szopski, Kazimierz Przerwa-Tetmajer, Jan Ursyn, Zygmunt Wasilewski, Bohdan Wasiutyński, Henryk Wiercieński, Ludwik Włodek, Władysław Żukowski, i inni.

W dziale powieściowym drukuje się obecnie oryginalną powieść historyczną:

Henryka Sienkiewicza p. t. „WIRY".

„GŁOS WARSZAWSKI" posiada korespondentów własnych w Krakowie, we Lwowie, w Poznaniu, w Wilnie w Kijowie, w Petersburgu, w Wiedniu, w Berlinie, w Paryżu, w Rzymie, w Londynie, w Konstantynopolu i we wszystkich ważniejszych ogniskach życia polskiego w Królestwie, na Litwie i na Rusi.

Głos Warszawski kosztuje:

	w Warszawie:	*na prowincyi:*	*za granicą:*
Rocznie	rb. 9 k. —	12.—	18.—
Półrocznie	„ 4 „ 50	6.—	8.—
Kwartalnie	„ 2 „ 25	3.—	4.50
Miesięcznie	„ — „ 75	1.—	1.50

Za odnoszenie do domu 5 kop. miesięcznie; zmiana adresu 20 kop.; cena numeru pojedynczego kop. 3.

Adres dla listów: **Warszawa, Głos Warszawski, skrz. pocz. 257.**

Kantor „Głosu Warszawskiego" **Szpitalna 14.**

Telefon redakcyi: **83,** administracyi **2551.**

PISMO POLSKIE PROWINCYONALNE

Gazeta Radomska

(Adres: **Radom „Gazeta Radomska“**)

POMIESZCZA:

Artykuły treści społecznej: ekonomicznej, rolniczej, przyrodniczej, archeologicznej, etnograficznej. Powieści, nowele, poezye. — Przeglądy literatury i sztuki. — Wiadomości urzędowe, miejskie, z okolicy, kraju, cesarstwa, ze świata politycznego. — Sprawozdania i informacye handlowe, przemysłowe, targowe oraz ogłoszenia.

Ze względu na dużą poczytność w całej ziemi Radomskiej, mającej tak blizkie i ścisłe stosunki z Warszawą, Gazeta nasza uważaną być może **za pismo najodpowiedniejsze do pomieszczania ogłoszeń.**

Wydawnictwo „Gazety Radomskiej“ uprasza uprzejmie o popieranie pisma i zachęcanie do prenumeraty.

Warunki prenumeraty (z przesyłką):

rocznie rb. **5**, półrocznie rb. **2.50**, kwartał. rb. **1.50**.

Warunki Ogłoszeń:

Na str. 1-ej za wiersz garmontowy lub jego miejsce **40** kop. Reklamy, Nadesłane **25** kop. Nekrologi — za wiersz petitowy lub jego miejsce **15** kop. Ogłoszenia zwyczajne: pierwszy raz **10** kop., następne po **6** kop. za wiersz petitowy lub jego miejsce.

Prenumerujcie i rozpowszechniajcie

Najtańszy dziennik społeczny, polityczny i literacki

p. t. **„WIADOMOŚCI CODZIENNE"!**

Pismo to ukazuje się codziennie rano, oprócz dni poświątecznych. Zamieszcza **szybkie i dokładne** wiadomości o tem, co się dzieje na ziemiach polskich i na szerokim świecie. Nie zaniedbując działu politycznego, **„Wiadomości Codzienne"** zwracają szczególną uwagę na pracę stowarzyszeń kulturalnych i oświatowych. **Szereg stałych korespondentów we wszystkich zakątkach kraju pozwalą redakcyi doskonale uwzględniać ten ważny dział.**

Oprócz stałych współpracowników, redakcyi **„Wiadomości Codziennych"** zapewnili współpracownictwo wybitni literaci i publicyści polscy.

Niezależnie od dziennika wszyscy prenumeratorzy **„Wiadomości Codziennych"** otrzymują raz na dwa tygodnie jako

DODATEK BEZPŁATNY

16-stronicowy arkusz **bardzo starannie opracowanej**

POPULARNEJ ENCYKLOPEDYI POWSZECHNEJ ILUSTROWANEJ

Nowoprzybywający prenumeratorzy początkowe zeszyty Encyklopedyi (do Nowego 1910 roku ukaże się 25) nabywać mogą po 2 kop. za zeszyt bez przesyłki pocztowej.

Przy niezmiernie bogatej, zajmującej i pouczającej treści niesłychanie niska cena pisma sprawiła już, że **„Wiadomości Codzienne"** są czytane przez najszersze warstwy społeczeństwa polskiego.

„Wiadomości Codzienne" kosztują:

w WARSZAWIE: rocznie rb. 3, półrocznie rb. 1 kop. 50, kwartalnie kop. 75, miesięcznie kop. 25. Za odnoszenie do domu w Warszawie dopłaca się kop. 8 miesięcznie.—
NA PROWINCYI: rocznie rb. 4, półrocznie rb. 2, kwartalnie rb. 1, miesięcznie kop. 35.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, ul. Chmielna № 23 m. 6, telef. № 63.94.

MAŃCZAK I DIETRICH

WARSZAWA,

Marszałkowska Nr. 101,

róg Alei Jerozolimskiej.

Zakład Zegarmistrzowsko-Jubilerski

Poleca:

Zegarki złote, srebrne i stalowe najlepszych fabryk: Mermod Frères, La Rochette, Borel fils & C-ie i t. d.

Zegary ścienne, Regulatory, Budziki

oraz złotą i srebrną biżuteryę.

Przy zakładzie wzorowa pracownia wykonywa:

Wszelkie reperacye zegarów i zegarków najbardziej skomplikowanych z długoletnią gwarancyą.

ZAMÓWIENIA I REPERACYE JUBILERSKIE.

„Goniec Wileński"

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

NAJTANSZE I NAJBARDZIEJ ROZPOWSZECHNIONE PISMO POLSKIE CODZIENNE NA LITWIE

Daje wyczerpujący obraz życia w 6 guberniach litewsko-białoruskich i informuje o ważniejszych zjawiskach we wszystkich dzielnicach Polskich w Rosji i zagranicą. Posiada licznych korespondentów własnych w kraju i zagranicą. Z obrad Dumy Państwowej i Rady Państwa prócz telegramów urzędowych, podaje korespondencje i telegramy specjalnego korespondenta. W odcinku, w marcu r. b. rozpoczął druk nowej, na tle wypadków ostatniej doby rewolucyjnej w Królestwie osnutej wielkiej powieści

HENRYKA SIENKIEWICZA

P. T.

WIRY,

KTÓREJ POCZĄTEK NOWI PRENUMERATOROWIE MOGĄ OTRZYMAĆ ZA DOPŁATĄ 75 KOP.

„GONIEC WILEŃSKI"

KOSZTUJE:

W WILNIE:	NA PROWINCJI:	ZA GRANICĄ:
Rocznie . 6 r. — k.	Rocznie . 8 r. — k.	Rocznie . . . 12 r
Kwart. . 1 „ 50 „	Kwart. . 2 „ — „	Kwartalnie . 3 „
Miesięcz. — „ 50 „	Miesięcz. — „ 70 „	Miesięcznie . 1 „
Za odnoszenie do domu mies. 10 k.		

Numer pojedyńczy 5 kop.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI

„GOŃCA WILEŃSKIEGO"

Wilno, Dominikańska Nr. 17.

Gazeta Rolnicza

CZASOPISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE.

Uwzględniając przedewszystkiem **potrzeby praktyczne** wszelkich gałęzi gospodarstwa wiejskiego, nie zaniedbując jednak systematycznego zaznajamiania czytelników z najnowszemi **zdobyczami wiedzy zawodowej**. Uznając zaś wielką doniosłość łączenia się Rolników w Towarzystwa i Syndykaty, podaje dokładne sprawozdania z posiedzeń, narad i przedsięwzięć wszystkich krajowych stowarzyszeń rolniczych.

Wszyscy prenumeratorzy „Gazety Rolniczej“ otrzymują bezpłatnie

DODATKI KSIĄŻKOWE

lub **karty albumowe** przedstawiające typy różnych zwierząt domowych, lub plany budynków gospodarczych, oprócz tego mają prawo nabywać, zgłaszając się bezpośrednio do Redakcyi

wszelkie wydawnictwa „GAZETY ROLNICZEJ“ za połowę ceny.

Prenumeratę, która wynosi rocznie rb. **9**, półrocznie rb. **4** k. **50**, kwartalnie rb. **2** k. **50**—najlepiej nadsyłać wprost do Redakcyi „Gazety Rolniczej“, **ulica Erywańska 16, tel. 58.42 w Warszawie.**

Z dniem 1 Stycznia 1910 r. wychodzić będzie nadal (rok V) w Włocławku (gub. Warszawska),

„Gazeta Kujawska",

pismo bezpartyjne, poświęcone sprawom i stosunkom Ziemi Kujawskiej oraz polityczno-społecznym zagadnieniom.

Gazeta Kujawska jest jednem z pism większego formatu, wychodzących na prowincji.

Gazeta Kujawska ugrupowała najwybitniejsze siły miejscowe, które zapewniają jej możność należytego oświetlenia wszystkich objawów życia tej części kraju we wszystkich jego dziedzinach.

Gazeta Kujawska pomieszcza stale odcinek powieściowy, który wyborem swym i wartością stanowi bardzo przyjemną lekturę dla szerokiego koła czytelników.

Gazeta Kujawska zasilaną jest dosyć obficie przez korespondentów stałych i przygodnych z kraju i różnych stron Europy i Ameryki.

Redaktor i wydawca: **Stefan Błędowski.**
Kierownik literacki: **K. Młodowski.**

Gazeta Kujawska kosztuje: Rocznie rb. 5, za odnoszenie do domu dopłaca się 10 kop. miesięcznie. Pocztą rb. 6. Opłatę można wnosić i kwartalnie gotowizną lub w markach pocztowych.

Ogłoszenia do gazety przyjmują wszystkie biura ogłoszeń w kraju i zagranicą.

BLUSZCZ

Największe i najpoczytniejsze pismo tygodniowe dla kobiet, literacko-społeczne, ilustrowane, pomieszcza prace pierwszorzędnych sił literackich.

Dla zapewnienia sobie powieści pierwszorzędnych, „BLUSZCZ“ ogłasza na 1 kwietnia 1910 r.

Konkurs z nagrodą 1000 rubli

na powieść obyczajową, współczesną.

Artykuły wstępne, artykuły treści społecznej, omawiające chwilę bieżącą i poruszające najżywotniejsze sprawy dotyczące kobiet. — **Powieści.** — **Nowele.** Prócz nowel piór najcelniejszych „BLUSZCZ“ w r. 1910 drukować będzie powieści *Kazimierza Tetmajera* „**GRA FAL**“ (początek przygotowano dla nowych prenumeratorów); M. Wierzbińskiego „**ŚWIĘTY FEN**“ i inne.

Dodatki poświęcone łączności kół kobiecych na ziemiach polskich.

Dział gospodarstwa domowego. ⟹ Przepisy kulinarne i t. p.

DODATKI KSIĄŻKOWE

w arkuszach, zawierają powieści i nowele znakomitych autorów obcych.

DZIAŁ KOSMETYKI

Rady i wskazówki zachowania hygieny piękności.

Odrębną część pisma stanowi

DZIAŁ MÓD

Jedyny i najobszerniejszy ze wszystkich, jakie są w pismach polskich, który zawiera rocznie **przeszło 4,000 rysunków** najświeższych modeli paryskich: sukien, okryć i kapeluszy damskich. — Osobne dodatki z ubraniami dziecięcemi. — Bielizna. — **Wzory robót kobiecych**, jak: hafty, gipiury, monogramy, roboty szydełkowe i t. p.

Niezależnie od powyższego działu „Bluszcz“ dodaje:

26 wielkich tablic krojów

dających możność wykonywania różnych ubiorów i robót w domu.

Prenumeratę najlepiej przesyłać pod adresem: Administracya „BLUSZCZU“ Warszawa, Nowy-Świat 41. Prenumerata „BLUSZCZU“ wynosi: kwartalnie rb. 1.80. z przesyłką pocztową rb. 2,50. w Cesarstwie Austryack: we Lwowie u Gubrynowicza i Syna kwart. złr. 3; na prow. z przes. poczt. złr. 3 cent. 50 w Krakowie u D. E. Friedleina: kwart. złr. 2 cent. 75, na prow. z przes. poczt. złr. 3 cent. 50.

Numery okazowe wysyłane na żądanie franko i gratis.

BIBLIOTEKA NAUKOWA
WAP
12168/1